



A3873

XIX

1889 Bole za 7 tom. — 5 Rs
45 złotych

WYBOR POEZYJ

Z PISARZÓW POLSKICH,

Z DOŁĄCZENIEM

PRZY ISZYM SPOSZYCIE

UWAG O ISTOTNÉM ZRZÓDLE, DUCHU
I CELU PRAWDZIWÉJ POEZYL.

P R Z E Z

ADAMA M. PIENKIEWICZA.

... nie bajką wiek złoty,
Był on, będzie, jest nawet, gdzie siedlisko cnoty
KRASICKI.

SPOSZYT TRZECI.

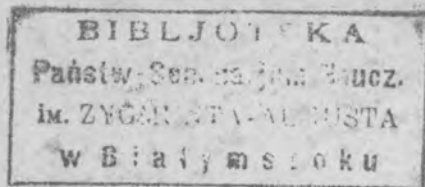
W I L N O.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1835.

N^o 1111 W 284

028158



Dozwala się drukować, pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1835. d. 7 Czerwca.

Cenzor *L. BOROWSKI.*



PRENUMERATOROWIE.

Anielski O.
Baginski Jan Doktor powiat. Lucyński.
Benistawski Kalesanty b. Marszałek Lucyński.
Benistawski Antoni Podkomorzy.
Benistawski Teofil Marszałek Rzeżycki.
Benistawski Leopold Deputat.
Benistawski Alexander Prezydent.
Benistawski August Sędzia.
Bohdanowicz Jan Sędzia.
Boski Ewaryst.
Browiński Józef.
Brzostowski Władysław Hrabia.
Brzozowski Onufry Assessor Sądu pow. Wołkowyskiego.
Chyżewski Stanisław Ks.
Czerczycki Grzegorz.
Czernicki Proboszcz Murowanej Oszmianki.
Dobkiewiczówna Anna Rotmistrzówna.
Dzierżkowska Regina.
Dziwoński Jan.
Feldmanowa Marszałkowa Oszmiańska.
Ginter Hrabia Adam.
Hilferding Jan Sekr. Koll. *Exempl. 2.*
Hrebicka Anna Horodniczyna.
Jagiello Professor Gymn. Śluckiego.
Iwanicka Maryanna.
Kamiński Faustyn. *Exempl. 4.*
Karolewicz Jakób v. Prałat, Kustosz Katedry Wileńskiej.
Kaszowska Franciszka z Hrabów Krasickich.
Korff Baron Kap. wojsk Ross.
Kossakowski Waleryan.
Kotiużyński Alexy Pijar.
Krzywicka Eliza P. pow. Kowieńskiego.
Kulakowski Franciszek Półownik.

Lwowicz Kalesanty Pijar.
 Markiewicz Dyonizy.
 Menue v. Proboszcz Widzki.
 Mirski Napoleon Pisarzewicz Litewski.
 Mószyński Antoni Pijar.
 Niekraszewicz Józef Sędzia Graniczny Oszmiański.
 Panasewicz Sekr. Sądu Ziemskiego Brastawskiego.
 Plater Hrabia Kazimierz Komandor Maltański.
 Płonkowski Hipolit Kaznodzieja Katedry Mińskiej.
 Pomarnacki Tadeusz Sędzia Ziemski.
 Potocka Hr. Tekla z Książąt Sanguszków. *Exempl. 2.*
 Radziwoński Matensz Sw. Teol. Mag. Dziekan Katedr. Wileń.
 Rosołowski Achilles.
 Rudzki Julijan.
 Sawicz Franciszek Ucz. Akad. Med.-Chir. Wileńskiej.
 Sierociński Stefan Dziekan Skwirski.
 Sokołowski Albert Sędzia.
 Sołtan Stanisław Półkownik.
 Sredziński Ludwik.
 Stejgwiłło Justynian Proboszcz Kijowski.
 Stetyński Wincenty.
 Swiderski Hilary Proboszcz Makarowiecki.
 Szachnówna Alina Marszałkówna Lucyńska.
 Szostakowski Józef Sędzia.
 Szostakowski Wincenty.
 Szański Franciszek.
 Szyszko Ignacy.
 Wereszczyński Józef Podkomorzy.
 Węclawowicz Onufry Sędzia Gran. Gub. Mińskiej.
 Wierzyński Andrzej Członek Sądu Ziemsk. Kowieńskiego.
 Zagurski Jan Choraży Pow. Lipowieckiego.
 Zargba Wincenty.
 Zbyszewski Nepomucen.
 Zdziechowski Józef *Exempl. 10.*
 Zdziechowska Pelagija z Hr. Krasickich.

Janina

Janina

CIĄG DALSZY

W I E R S Z Y F I L O Z O F I C Z N Y C H

POWAŻNYCH I TKLIWYCH.

W naszej mocy świat złotym uszczęśliwić wickiem,
Niech tylko człowiek pomni na to, iż człowiekiem.

KRASICKI.

ODA DO FORTUNY.

ŚLEPA losów szafarko, co brojąc swobodnie,
Uwieńczasz błędną ręką niesłychane zbrodnie;
Pókiż znikomym blaskiem otoczywszy lice,
Próżnym razić pozorem będziesz me źrenice?
Pókiż na twe ołtarze, bałwanie zwodniczy,
Kładź będziem na kolanach haracz niewolniczy;
I płonnych łask powabnem ułudzeni sidłem,
Ubóstwiać głupie fochy ofiarnem kadzidłem?

Gmin to tylko nikczemny, gmin nieoświecony!
Najpodlejszym twym czynóm wybija pokłony;
Tobie on wielkomyślność pochlebnie przyznawa,
Tobie chlubne mądrości, męztwa imie dawa:
Twoje kraszac występki, przez grubą ślepotę,
Z właściwych cnoty ozdób samę zdziera cnotę;
I tylko się kierując zdań omylnych stérem,
Największego złoczyńcę czyni bogatyrem.

Lecz cóżkolwiek on mniema, i twe faworyty
Wynosi pochwałami pod niebieskie szczyty,
Szukajmy cnót w nich samych; niech rozum osądzi
Swą króską, kto z nas prawdę mówi, a kto błądzi.

Ja nie widzę w ich sercach, krom zawiści lichiej,
Gniewu, zemsty, chciwości, zdrań, okrutnej pychy:
O dzika cnoto! cnoto niestęchana z wieku,
Co się z tak plugawego zbrodni zlewasz steku.

Nikt między bohaterów mój zdaniem nie siedzie,
Kogo mądrość w ich zacnym nie postawi rzędzie:
Jęć żadnym niekażone blaskiem bystre oko,
Przenika sług twych podłość pod świetną powłoką;
Ni kto kładnie za chlubę, że komu trafi płonny
Włożył wieniec na skronie bratnią krwią zbroczony.
Owszem twe dzielne wodze, i twe waleczniki
Ma często za szczęśliwe tylko rozbojniki.

Pewnie za rzeź swych ziomeków, za kraju pożogi
Hołd mych pochwał odbierać będzie Sylla srogi?
Lub, na co się myśl wzdryga, w herszcie Huńskiej trzody
Mam wielbić, że Macedon Perskie zbурzył grody?
Może pióro w przeważnych dzieł poczet policzy
Groźny umysł w odludnych kniejach zrosłej dzieczy?
Te ręce sposoczone, tę serca szkaradę,
Wylęgle na grom świata i wieczną zagładę?

Otwórzcie no szkarłatni zbójcy, wasze dzieje,
Izali myśl w nich strachem zdjęta nie struchleje?
Ujrzy tam brzydkiej dumy żałośne ofiary,
Wprzężone w świętokradzkie pęta możne cary;
Okropne miast podpały, zgwałcone świątnice,
Pełne ciał martwych tetry, pełne krwi ulice;
I w oczach zbliadłych matek dziateczki przed laty
Płytkimi waciekłych drabów skrajane bułty.

Błędny rozumie ludzki, pochlebstwo nikczemne!
Co tak wysoko cenisz rozboje wzajemne;
Czyliż na tém istotna królów stoi sława,
Że się lud nędzą karmi, a łzami napawa?
Ani da znać następny wiek o ich imieniu,
Chyba gdy nie zostanie kamień na kamieniu?
Czyliż, którego noszą Obraz, Bóg znajomy
Przez same tylko szturmury i ogniste gromy?

Lecz niechaj i tak będzie; że dank przedniej sławy
Zawist od niepokojów i wojennej wrzawy:
Któryż z owych ludzkiemi pysznych wodzów kłęski,
Samę tylko swój broni winien laur zwycięzki;
A nie raczej gnuśnego hańbie przeciwnika,
Choć mu gmin bramy stawia i pieśni wykrzyka?
Pewnieby przed Puńskimi zadrżał Rzym szeregi,
Gdyby był Emil nie miał głupiego kolegi?

A któż jest ów bohater, co wszystkie ozdoby
Własnej słusznie nabytkiem zwać może osoby?
Oto król; co go prawda torem swym prowadzi,
Co swój tron na cnot gruncie niewzruszonym sadzi:
Co w państwa rządach Tyta obrawszy modelem,
Najmilszym żądz swych szczęście ludu kładzie celem;
A strzegąc się pochlebstwa zdradliwej słodyczy,
Ojciec Ojczyzny, dni swe łask wymiarem liczy.

Wy, u których pożary i marsowe grotty
Pierwsze przed najświętszymi dzierżą miejsce cnoty!
Postawcie na myśl, zamiast zwycięzcy Eufrata,
Wzór Aten starożytnych, mądrego Sokrata.

Ujrzyście na królewskim pięknie majestacie
Ludzkość prawa dającą i słuszość w szkarłacie.
A on zuchwały gromca półków Daryusza,
Najpodlejsza z nim będzie w porównaniu dusza.

Przezań, dumo szalona, dumo nieużyta!
Próżno się chełpić, że ci, klęsk ludzkich niesyta,
Płodną w nieszczęścia ręką, zbroczone szkaradnie
Krwia i łzami, Bellona na skroń wieńce kładnie.
Darmo hardy tryumwir strachem bystrzej broni
Rzym niszczył, choć mu klęknął Lepid i Antoni:
Wtenczas go swym Augustem zwać począł, gdy trwogi
Zbywszy, pod słodkiem berłem wiek prowadził błogi.

Pokażcie wielowładni na oko rycerze,
Czyliż się męztwo wasze w każdej wyda mierze?
Czy go kiedy przeciwna nie odmieni chwila?
Póki się wam pochlebna fortuna przymila,
Tłumne was szczęście ślepi, świat wam bije czołem:
Lecz niech jeno by na krok wartkiem cofnie kołem,
Zniknie marny bohater; a co się krył na dnie,
Wynurzy słaby człowiek, kiedy maska spadnie.

Dosyć szczęścia, dosyć jest mieć cnoty pomierne,
Aby kto w jaźmo wprzegął narody obszerne.
Ten tylko na wielkiego zasługuje męża
Słusznie imię, kto samą fortunę zwycięża;
Kto czyli się z nim sprzęże, czyli się rozbraci,
W żadnej dobie stałego umysłu nie traci;
I zarówno przyjmuje, odmian nieświadomy,
Czy tryumfy Tybera, czy Wara pogromy.

Nigdy go w szczęściu płocha radość nie nadyma,
Bo ją na krótkiej wodzy baczny rozum trzyma:
Ni się w złym razie cofa; rad, że jego cnota
Blask bierze w przeciwnościach, jak w ogniu brant złota.
Nie ma świat trwałego: takeś zrządził, Boże!
Że co dziś pięknie świeci, jutro zgasać może.
Wszystko męsza fortuna, i ustawnie broi:
Sama mądrość na miejscu niewzruszona stoi.

Darmo mściwa bogini na twą zgubę gali,
Łądy zbroi orężem, rusza morskiej fali;
Tryumfujesz, Eneju, nad szczęściem i bogi;
Boś miał zawsze swój mądrość przewodniczką drogi.
Jój sprawą Rzym już prawie w rozpacz ostatniej,
Zburzył dumną Kartagę, pomścił się krwi bratniej;
Jój Boskim dążąc śladem, cyprysy żałobne,
Wpółród zguby, zamienił na laury ozdobne.

z JANA CHRZ. ROUSSEAU,
naśladował A. NARUSZEWICZ (*).

ODA NAMIĘTNOŚCI.

Co za poczet, przepadłszy gród Ereba ciemny;
Wije w twój duszy guiazdo, człowiecze niktęmny?

(*) Chociaż Literatura Polska posiada dwa późniejsze tłumaczenia tej wzorowej Ody, nie ubliżając jednak ich zaletom, przeniosłem do mojego zbioru najpierwsze Naruszewicza; który, czém był dla poezji, czém dla języka ojczystego, ta jedna Oda, pełna ognia i mocy, dostatecznie wyświeca. *Nota Wydawcy.*

Pod jak srogiemi, przebóg! spętane tyrany,
Brzęka niewolniczeni serce twe kajdany.

Już okrutnego jarzma znieść nie mogąc dalej,
Płacze rzewnie, i na swą niedolą się żali;
Jęczy, tęskni, ostatnich sił prawie dobywa,
Aza gwałtem okrutne potarga ognia?

Już w swych pętach spokojne, sroższej kaźni godne,
Mniema w gnusnym niewolstwie pędzić dni swobodne;
I smakując w nieczuciu, coraz bardziej nowem,
Znamione ślepo zmysły obarcza okowem.

W różnych mi się te kształtach widzieć dają dziwy:
Tu lew krwawą rozdziera paszczę żółto-grzywy;
I, to wściekłymi piany rozsierzdony pryska,
To jeżąc kudły, wzrokiem piorunowym błyska.

Tu chytry smok, nabrzmiały jadem niezliczonym,
Sprośnym siue zadzierżgi zawija ogonem:
Więc, żeby się tajemna nie odkryła zdrada,
Ciszekiem się do wnętrzości śliskim grzbiętem wkłada.

Każdy zwodniczym, rąbkim brzydką postać krasa,
Każdy się miłym wzrokiem pochlebia i łasi;
A niechcąc oczu zrazić pozorem brzydoty,
Bierze na się obtudnej zwierzchnie barwę cnoty.

Chciwa żyć przez śmierć bliźnich i krwi bratniej zgubę,
Ślepa zwycięzców duma z klęsk buduje chlubę;
A żądzą bohaterstwa, w témże sercu, które
Zażęga do walecznych dzieł, gasi naturę.

Cóż za zysk sławy owiej? już bystry miecz strawił
Tyle dusz; i za brudny męt Stygu przeprowił:

Igrają z popiołami wichry niehamowne;
Gdzie wprzód liczne wsi stały, i grody budowne.

Niknie przemysł, ustaje złoto-płodna praca:
Świat do pierwotnych pustyń zburzony powraca:
Fraszka wszystko; by jedno zbójca uwieczniony,
Oddał swe w Kapitolu bałwanom pokłony.

W cudniejszej na śmiertelny kształt dobie ukryta,
W okrutniejsze nas pęta chytra miłość chwytą:
Lecz dopiero ich ciężar czuje czelek niewolny,
Gdy już do przełamania nie ma siły zdolnej.

Próżno się rozum siląc na wywody sadzi,
Że się w tém sporna wola kocha, co jej wadzi.
Nie pomoże wyssana z najmędrszych ksiąg sztuka:
Rozum filozof, ale ma wolą nieuka.

Wszystko stracił niecnotą, i honor, i zdrowie,
I co mu szczędną dłonią zebrali przodkowie.
Zna, nieczując swęj doli, i tak błędny trzyma,
Że świat większych dostatków nad kęs ciała nie ma.

Godny takiej plód matki, zawiść podejrzliwa,
Dopadłszy z rąk Megery dumnego łuczywa,
Wyświeca wszystkie kąty; a wściekłe zapędy
Karmi, z próżnym popłochem, trwożliwemi błędy.

Równy jej cień znikomy, jak dzień jasny szkodzi:
Ciekawość niespokojna tysiąc myśli rodzi.
Wszędy widzi spółnika; sama przyjacięlem,
Sama chce być postrzałem i miłości celem.

Darmo, brzydka chciwości! łeb ukrywasz smoczy;
I pod zasłoną twe się ogniem iskrzą oczy;

Rzucasz wszędy wzrok bystry, ścigasza ostre spony,
Mniemając, że świat cały idź w twe winien plony.

Za tobą w tropy chodzi fałsz i zdrada krwawa:
Próżno się na zgwałcone słusność żali prawa.
Wehodziś w zimowę z człowiekiem; by na twe skinięcie
Sam sobie sprawiedliwość, sam czynił sumienie.

Słusznym gniewnego nieba uplątane łosem
W stalny łańcuch, nad kruszców nieużytym stosem
Schnie żarłoczne łakomstwo, nienawidząc ludzi;
I własnym się nabytkiem bez ustanku trudzi;

W największych się bogactwach skarży na chudobę,
Jak ów, co mu gorączka usciłła zrzuwa trębę,
Żłopa wodę ustawnie: i choćby go w bagnie
Znurzył; im więcej pije, tym usilniej pragnie.

Tu zazdrość zwiędła szkodnym oszczerstwa nałogiem;
Kręśli niewinne sprawy pickielnym ożogiem;
Na niej warkocz z Libijskich jaszczurów uwity,
A sęp wewnątrz krwawymi pastwi się jelity.

Wszystko jej czoło sępi, wszystko krzywem widzi,
Omdlęwa cudzém szczęściem, a cnotą się brzydzi.
Karmi się ludzką nędzą; a gdy się świat śmieje,
Ona sama z rospaczy jęczy, i żyje leje.

A któż twego szaleństwa, kto twój zemsty nie wie;
Na szkarady najsroższe rozchętany gniewie?
Ta żyje pije, ta czerni, tamta dołki kopie;
Twa bezecna namiętność, niszczy i krew żłopie.

Żadna cię baczność w tęgim zapale nie wzrusza,
Złość wszystkie przyrodzenia iskierki zagłusza:

Radbyś cały świat z gruntu wywrócił; a potem
I sam runął, ogromnym zatarty wywrotem.

Te są skutki obrzydła wściekłych chuci urzodo!
Które wieczny niepokój w sercach ludzkich wiodą!
Ziemia za twych zapędów fatalnym rozkazem,
Żywym piekła w mych oczach staje się obrazem.
ADAM NARUSZEWICZ.

WYJĄTEK Z PIEŚNI PIĘRWSZEJ
RAJU UTRACONEGO.

OBRAZ SZATANA.

PATRZAJ, mściwy zwycięzca zwołał półki swoje,
Już się pod górne zbliżyć musiały podwoje;
Patrz, już szumieć przestają bałwany ogniste,
Już więcej nawałnice nie ryczą siarczyste;
A góry, które na nas pierzechających padły,
Gniotą i przyduszają ognów pożar zjadły:
Może też już wyciskał wszystkie swoje strzały.
Nie słychać tych piorunów, które przedtém grzmiały,
I na skrzydłastych błyskach wartki biegąc lotem,
Okropnym wśródół przepaści huczały łoskotem.
Korzystajmy z tej chwili, której nam udziela,
Czy wzgarda, czy już syta złość nieprzyjaciela.
Widziszże tę równinę, miejsce spustoszenia,
Gdzie się smutny mdławego błysk iskrzy płomienia?
Idźmy tam, wyjdźmy z ogniów, tam spoczniemy sobie,
Jeżeli można spocząć w tak okropnej dobie.
Tam się wszyscy zebrawszy, będziemy rozważać,
Jak najwięcej naszego tyrana obrażać,

Jak powetować straty, jak wyjść z tej niewoli,
 Jak zadosyć niezwinie zawziętej nań woli.
 Szukajmy, jaki promyk nadziei nam błysnie,
 Lub jakie przedsięwzięcie rozpacz z nas wycisnie."

Tak mówił temu Satan, który był przy boku
 Złość szalona się iskrzy w rozjuszonem oku:
 Głowę podniósł zuchwałą nad wały ogniste,
 Na których leży jego ciało rozłożyste:
 A ogromna postawa członkami straszniemi,
 Tyle miejsca zajmuje, jak owi olbrzymi,
 Ziemi ród, i Tytanów srogich dumne syny,
 Głośne w wojnie z Jowiszem zuchwałemi czyny,
 Bryareusz i Tyfon, który Tarsu blisko
 Sławną niegdyś jaskinią miał za legowisko,
 Lub ile miejsca większy nad największe zwierzę,
 Lewijatan mieszkawiec Oceanu bierze.
 Tego majątek wieczorem zaskoczywszy w łodzi.
 Lękając się i nocy i morza powodzi,
 Gdy na norweskich brzegach śpiącego nadybie,
 Mniemając, że na wyspie kotwę topi w rybie,
 Ta gdy się w łuskę wperze, już próżen kłopotu,
 Oczekuje bezpiecznie jutrzeński powrotu.
 Tak był wielki herszt czartów, jak miejsce obszerne
 Olbrzymich członków brzemie zaległo niezmierne.
 Cały w więzy okuty, przez wyrok surowy,
 Bez woli Najwyższego nie mógł podnieść głowy:
 Lecz miał tę wolność, stogie by chucie wywierał,
 A tak zbrodnie do zbrodni, kary do kar zbierał,
 I sam się w potępienia przepaści pograżył.
 Bo człowick, na którego zgubę zdrajca dążył,

Łaskę niebios pozyska, i dobroć bez miary,
 Szczodłą dłońią największe wyleje nań dary.
 Tak się w czarnych zamysłach zawiedzie szkaradnie,
 A na niegoż potrójny wstyd, zemsta, gniew padnie.

Dźwiga się, wał siarczysty silną garnie dłońią,
 A za sobą bezdenną zostawuje tonią:
 Nakoniec wzmaga skrzydła gwałtownym obrotem,
 Gęste zmiata powietrze ociężałym lotem,
 I gnecie je niezmiernym swych członków ciężarem.
 Staje na tegiej ziemi: lecz i ta pożarem
 Nieustannym się pali: więc równie boleje,
 Tam wrzała ogniem woda, tu nim ląd goreje,
 Kolor jego się zdaje, nakształt skały, ciemny,
 Którą z dumnej Pelory wiatr ciska podziemny;
 Ani różny od owych bałwanów siarczystych,
 Które Etna z wnętrzości wyrzuca ognistych,
 A wiatr niosąc po ziemi, wzrusza nawałnice,
 Czarnym dymem okrywa całe okolice,
 A podgórze, na które ten szpetny klęj ścieka,
 Przykrym nader zapachem węż raz i z daleka;
 Taki był grunt i takie tam wrzały pożogi,
 Gdzie arcynieprzyjaciół wsparł przekłete nogi.
 Wierny za nim towarzyszył Belzebub się śpieszy,
 Kontent Szatan niezmiernie, Belzebub się cieszy,
 Że przecież się z przepaści wydzwignęli smutnej.
 Bogami się bydź sądzą, jakby z tej okrutnej
 "Ochłani wyszli mocą swojego ramienia:

Niechając znać, że to było z Stwórcy dopuszczenia.

„Toż królestwo! zawołał Szatan, też są kraje!

Takież to się nam państwo w podziale dostaje!

I te żałobne cienie okropnej jaskini,
 Dane są nam na miejsce niebieskiej świątyni:
 Niech tak będzie, gdy jeden wszystkiem dumnie włada,
 Najlepsza jest najdalsza od niego posada.
 Natura w równym z nami wydała go stanie,
 Siła mu nad równemi dała panowanie.
 Wiecznie się żegnam z wami, o szczęścia świątnice!
 Miejsca uciech! przyjmuję te straszne ciemnice:
 Witaj piekielny świecie! a ty niezmierzona,
 Głębi! nowego pana przyjm do twego łona.
 Taki umysł przynoszę w twój przestwór ponury,
 Co ni miejscem, ni czasem, nie zmienia natury.
 Duch sam sobie jest wszystkiem, miejsca mu nie trzeba,
 Sam sobie niebo z piekła, piekło zrobi z nieba.
 Tenże sam wszędzie jestem, nigdzie trwogi nie mam,
 Niech Bóg złoży pioruny, a Boga dotrzymam.
 Tu użyjem swobody najdroższych korzyści,
 Niczyjéj to mieszkanie nie wzbudzi zawiści.
 Tu panujem, przed nikim tu karku nie nagnę,
 A ja, choćby téż w piekle, panowania pragnę.
 I w piekle pięknie prawa najwyższości użyć,
 Lepiej w piekle panować, niżli w niebie służyć.“

z MILTONA, przeł. F. X. DmóchowSKI.

Z TRAGEDYI MNICH,

AKTU DRUGIEGO SCENA TRZECIA.

*(Ciemny kurtyarz przy bocznych drzwiach do kościoła;
 słysząc głos Zakonników modlących się w chórze.)*

C H Ó R *(za sceną).*

Módlmy się Panu!

M N I C H

(wchodzi i zbliżając się ku drzwiom kościoła staje.)

Tu krés; za próg ten jeszcze nie przestąpił,
 Gną się kolana, ile razy pragnę
 Przejść tę granicę. Wszystko w téj świątyni
 Tak mi ów straszny moment przypomina!
 Ołtarz, sklepienia, ciemność, każdy załóm
 Muru podobny, tenże sam. O! mamże
 Oglądać tyłu świadków mojej zbrodni?
 Mamże pójść liczyć krople krwi na ścianach,
 Wejść na te stopnie, z których niegdyś... Nigdy!
 Nie! tu zostanę, ztąd ich słyszeć mogę...
 Chciałbym się modlić, chciałbym rzewnie płakać,
 Biada mi! Oczy moje wiecznie suche,
 Serce do Nieba drogi zapomniało
 I Bóg już głosu mego nie rozumie.

GŁOS PIÉRWSZY *(w chórze).*

Duszo! czcij Boga, który światem rządzi,

Wielka jest jego potęga,

On głębi serca wzrokiem swoim sięga;

I myśli sądzi.

GŁOS DRUGI.

Wszemmochny Stwórco! Ojczy i Panie!

Ciebie ja szukam w strapieniach moich;

Niech mój głos rzewny, moje wołanie

Dójdzie do uszu twoich.

Dziki wróg na mnie zęb swój nasrożył,

Alem ja w Tobie ufność położył;

Gdy mię twych skrzydeł tarcza zasłoni,

Żaden mię grot nie dogoni.

GŁOS PIĘRWSZY.

Ach! kogo Twoja opuściła ręka,
 Jakże bezsilny i mały!
 Każdy go nieprzyjaciół zwycięża i nęka,
 Każdy wiatr go porwiał i bije o skały.
 Nieszczęśliwy wędrowiec rzucony w bezdroże,
 Próżno woła o gwiazdę i o ścieżkę pyta:
 Błąd go w puszczy zagłębia, strach za piersi chwytając,
 I w zimne prowadzi łożę.

C H Ó R.

Módlmy się Panu!

M N I C H.

Módlcie się za mnie. — O! modlitwa wasza
 Dójdzie do nieba, jako hymn ufności.
 Westchnienie prawej duszy, jest najczystszym
 Oddechem ziemi; hołd ten najgośniej
 Chóry Aniołów przed tron Boga wznoszą.
 Lecz w czyich piersiach jeden głos się wznosi,
 Jedna myśl czuwa, jak samotna palma
 W pustyni skwarem słońca wypalonych;
 Na czyj czołach w chwili urodzenia
 Szatan położył piętno swej własności:
 Niech się nie modli, niech przeklina tylko
 Ten groźny moment, w którym ziemię ujrzał.

GŁOS PIĘRWSZY (w kościele).

Nędzny grzeszniku! padnij na kolana!
 Przysięgę Boga twego nie miej za nic:
 W nim wszystka władza, w nim stałość doznana,
 I miłosierdzie bez granic.

Zaléj się łzami skrucy i pokory,
 Niech się twe serce zmiękczy i rozcni;
 On cię jak Ojciec, w przebaczeniu skory,
 Do łona swego przytuli.

GŁOS DRUGI.

Tys był niezgjętym dla twojego brata,
 Pęten mściwości i pychy;
 Tys gardził prośbą; a Bóg władca świata
 Słyszysz cię, prochu znikomym pychy.
 Już ci miał słyszną karę wymierzyć,
 Ale żal szczery dostrzegł w twoim jęku,
 I groźny piorun, co cię miał uderzyć,
 Zgaśł w jego ręku.

GŁOS PIĘRWSZY.

Zwróć ku nam, Panie, oczy łaskawe,
 Sprawiedliwości nie uzbrajaj swojej;
 Bo czyż serce tak czyste i prawe,
 Aby z ufnością i śmiało,
 Sądu Twój czekało
 I pomsty Twojej.

C H Ó R.

Módlmy się Panu!

M N I C H.

Wasz mi głos ufać, ufać nakazuje!
 Przed drzwiami tylu świątyń jużem błagał
 Nieba o łaskę, świat o przebaczenie.
 Okryty twardym włosem, leżąc w prochu,
 Przynajmniej płakać mogłem, i płakałem.
 Dziś zamiast ulgi, łzy mi odebrano!
 Dawniej widziałem litość. Nie raz mędrarz,

Który wyciągał rękę pod kościołem,
 Niepomny własnej doli, że iza w oku
 Na mój stan patrzył. Dziś postrzegam tylko
 Zimnych, ciekawych, przestraszonych ludzi.
 Lecz mamże bluźnić? o! nie, nigdy, nigdy!
 Żał zgasi piorun nieba, i zgryzota
 Stępi swe ostrze na tym samym gładzie,
 Który pokuta kolanami zetrze.
 Tylum zbrodniarzó! widział, w oczach moich
 Nie raz się rozpacz z życiem passowała:
 Przecież po długiej walce i pokucie,
 Występny grzesznik, jak niewinne dziecko
 W objęciach matki, w rękach śmierci usnął.
 I mój czas przyjdzie. Wszystko się zaczyna
 I kończyć musi; to jest godło ziemi.
 I ty straszliwy głosie mego serca,
 Musisz umilknąć, musisz także ustać.
 Kiedy grzmi niebo, kiedy wicher szumi
 I zgina lasy: głuchy na tę wrzawę
 Nieba i ziemi, ciebie tylko słyszę.
 Ale cię uspi ręka, co ucisza
 Ryk morskiej fali. Władza jej bez granic,
 Jak miłosierdzie, którym kierowana.

(po chwili)

Cóż to jest? Szalony! mogę mieć nadzieję
 W przepisach ziemi, w prawach innych ludzi?
 Biada mi, biada! Jak wir prochem miota
 Na wszystkie strony, tak myślami mémi
 Rzuca żelazna ręka przeznaczenia.
 Gdzież się mam udać! Co się kolwiek stanie

Ten próg przestąpię. Z żalem i rozpaczą
 Upadnę na twarz przed Obliczem Boga.
 Niech się sklepienie domu jego zwali!
 Śmierć da mi ulgę.

(Idzie i cofając się krzyczy)

Przebóg! Sędzio świata!

Krew na Ołtarzu! *(pada bez zmysłów).*

JÓZEF KORZENIOWSKI Prof.

BOLESŁAW SMIAŁY.

BALLADA.

UBRANY w szaty kościelne,
 Z potęgą od Nieba wziętą,
 Rozgrzeszać ludy śmiertelne,
 Papież odprowadzał Mszą świętą,
 Święte rozdawał odpusty;
 Lud tłumny zbiegł się z okół,
 Kornie mi całując usta
 Zimne podłogi kościoła.

Do ziemi spadły kolana,
 Cichość osiadła sklepienia,
 Gdy Bóg przez usta Kapłana
 Miał rozlać słowo zbawienia;
 Przebóg! lecz jakaż to trwoga
 Nagle pasterza przeraża?
 Krucyfiks z Obrazem Boga
 Upadł na stopnie Ołtarza.

Nieba! rzekł, jakież to zbrodzień
 Smie się znajdować tu z wami?
 Człek odpuszczenia nie godzien,
 Tchem swoim świętość dnia plami;
 Serce zamknięte przed skruchą,
 Próżną zgryzotą usycha,
 Niegodne słyszeć ich ucho
 Słowa zbawienia odpycha.

Nieszczęsny! zbrodni twych zbytek
 Przepełnił miarę szaleństwa;
 Wstań, opuść święty przybytek,
 Lub się bój mego przekłętwa.
 Z północnej przybyły ziemi
 Do Rzymu w niskiej pokorze,
 Klęczał pomiędzy wiernemi
 Pielgrzym w pokutnym ubiorze.

Lecz nikt go nie znał w tym mieście,
 W samotnej mieszkał gospodzie,
 Przez dni i nocy czterdzieście
 Poszcząc o chlebie i wodzie:
 Nikt silniej w pierś nie uderza,
 Nikt korniej nie schyla czoła,
 Jednak na słowa Papieża
 Powstał i wyszedł z kościoła.

I wzięwszy podróżne szaty,
 Powracał do kraju swego,
 Szedł gdzie skaliste Karpaty,
 Sarmackiej granicy strzegą,

Kędy się Warta rozwija;
 Zaprawdę, pięknie w tym kraju,
 Ale go Pielgrzym omija,
 Idzie na brzegi Dunaju.

Idzie na dziką pustynię,
 Samotna go wiedzie ścieżka
 W posępną, głuchą jaskinię,
 Gdzie obca słońcu noc mieszka.
 Miejsce to zewsząd zakryte
 Podniebnych modrzewi ciszą,
 W górze piorunem rozbite
 Czarne się skały kołyszą.

Promień letniego wieczora
 Rumienił wierzchołki Ossy (*);
 A dzwonek z wieży Klasztora
 Mięszał się z hymnów odgłosy,
 Gdy pielgrzym w smutnym milczeniu
 Zważał swój pobyt straszliwy,
 Przed nim na zimnym kamieniu
 Spoczywał Kapłan sędziwy.

„Niechaj cię Chrystus wysłucha,
 Rzekł, bogobojny Pielgrzymie!
 Miej ufność, grzech zmaże skrucha,
 Bóg szczerze modlitwy przyjmie.“
 Głos-li ten strwożył Pielgrzyma?
 Ogniem spłonęła twarz błada,

(*) Klasztor tego imienia.

Mierzy go długo oczyma;
Lecz nie mu nie odpowiada.

„Wracasz-li z Solimy grodu?
Rzekł Kapłan łagodną mową,
Masz-li Relikwie Wschodu,
Albo gałązkę palmową?“
— „Nie z świętej Solimy grodu,
Lecz wracam z Tybru nadbrzeża;
Zamiast Relikwii wschodu,
Niosę przekłętwo Papieża.“

— „Nieszczęsny! nie trać pociechy,
Strzeż się poddawać rozpacz;
Wyznaj ze skrucą twe grzechy,
Bóg ci przeze mnie przebaży.“
— „Ktoś ty jest, co chcesz Pielgrzyma
Nieszczęśliwego pocieszyć?
Gdy ten co Nieba klucz trzyma,
Gdy ten mię nie mógł rozgrzeszyć?“

— „Nie trwoż się myślami temi,
Z wyższych rozkazów tu dążę;
A wiedz, że co ja na ziemi,
Wszechmocny w Niebie rozwiąże.“
Pielgrzym więc zgjawszy kolana,
Tak mu swe serce otwiera,
Wtenczas gdy głowa Kapłana
Na drżących dłoni się wspiera.

„Czy cię tu Ojciec wysłał
Kraje Zachodu, czy Wschodu;

Wiesz kto był Bolesław Smiały?
Król Sarmackiego Narodu;
Chciwy nie łupów, lecz sławy,
Brał i rozdawał Korony,
Młody, ognisty, łaskawy,
Poddanym Ojciec lubiony.

„Jam nim jest, moje to ramie,
Wiodąc Książęcia prawego,
Na złotej Kijowa bramie
Wznowiło razy Chrobrego.
Ale tam gnusność obrzydła,
Stargawszy cnoty władanie,
W zgubie nagnała mię sidła;
Znasz-li ty roskosz Kapłanie?“

— „Pierwszym z Nieba upominków,
Pierwszym jest roskosz prawdziwa,
Roskosz, co z dobrych uczynków,
Z pełnienia cnoty wypływa.
Lecz, jak piastunka zdradziecka,
Jest roskosz, zmysły mamiąca,
Co utuliwszy płacz dziecka,
W bezdennej przepaść go wtrąca.“

— „Ach! tak jest: ona mię wpchnęła
W czarną występków zawiość;
A to, co miękkość zaczęła,
Zbrodnicza skończyła miłość.
W jej miękkim drzymiący łonie
Trudne narodem władanie,

W pochlebce złożyłem dłonie;
Ach! znasz ty miłość Kapłanie?“

— „Jak w ziemi słońca blask złoty,
Obfite kwiaty i żniwa,
Tak w duszy męstwo i cnoty
Rozwija miłość prawdziwa.
Cukrem rozlała trucizna,
Ogień, co wszystko pustoszy,
Taką jest, każdy mi przyzna,
Miłość zwierzęcej rokoszy.“

— „Kochałem młodą dziewczę,
Niestety! miłością drugą:
Sławni jej byli rodzice
Rodem, potęgą, zasługą;
Młodzian dostojny, bogaty
W rycerską chwałę i męstwo,
Liczne do ojca stał swaty,
Prosząc o córkę w małżeństwo.

„I już przy świętej Ofierze,
Dłoń ich związali Kapłani;
Gdy zbrojni wpadli rycerze,
Z mego rozkazu posłani:
Próżno na kochanka łonie
Tuli twarz łzami zalaną,
Młodzieniec zginął w obronie,
Dziewicę gwałtem porwano.

„Wtenczas, w kapłańskiej odzieży,
Stanisław Biskup Krakowski,

W obliczu dam i rycerzy,
Smiał mi ogłaszać gniew Boski,
Groząc mi klątwą Kościelną.
Gniew wziął rozumu władanie,
Przysiągłem zemstę śmiertelną;
Cóż to jest zemsta, Kapłanie?“

— „Napój, gdy go gniew cukrunie,
Może usta zwabić snadnie;
Lecz biada, kto go skosztuje,
Żal, rozpacz spoczywa na dnie.“
— „Ach! tak jest, tak jest niestety!
Nadto mię o tęp boleśnie
Ostrzegły zgryzot sztylety;
Ale już było niewczesnie.

„Na Skałce u stop Ołtarzy
Wskazałem zgubę Kapłana:
Trzykroć dłoń płatnych zbrodniarzy
Odparła siłą nieznana;
Lecz czegoż zemsta nie dopnie?
Przypadłem... Ojcie! drżysz cały...
Przypadłem — a święte stopnie
Krwią się niewinną oblały!...

„Między rozpaczą i szaleństwem
Odtąd się życie me wlekło:
Nie śmiałem umrzeć, nie śmiałem
W otwarte rzucić się piekło.
Zrzekłszy się Tronu, Korony,
Wkrótce dziesiąty rok minie,

Jak się tu postem znędziony,
W dziką przywlokłem jaskinię.

„Tu w piersiach zamknąwszy głosy,
Dnia widzieć nie dałem oku;
Chleb tylko z Klasztoru Ossy,
A wodę biorąc ze stoku.
Wszystko wyznałem ci szczerze;
Ty mię ucz teraz Kapłanie?
Jakie łyzy, posty, pacierze,
Grzech mój odkupić są w stanie?”

— „Ufaj a Bóg cię wysłucha,
Wszyscy śmiertelni ułomni;
Lecz jeśli szczerą jest skrucha,
Bóg dobry przestępstw zapomni.
Wkrótce głos śmierci Anioła,
Ciebie królu Bolesławie,
Przed sąd Najwyższy powoła,
Ja się za tobą tam wstawię.

„Niech się więc łyzy twe ukoją,
Nad wszystko strzeż się rozpacz;
Jak ja ci chętnie śmierć moją,
Niech ci tak Pan Bóg przebaczy.“
Rzekł i westchnąwszy głęboko,
Modlił się zgłąwszy kolana:
Król podniósł zdumione oko,
Lecz już nie było Kapłana.

Któż on był? trudne pytanie.
Samże to Stanisław święty

Porzucił chwały mieszkanie,
Niedolą Króla dotknięty?
Tego nikt wiedzieć nie może;
Lecz tak przynajmniej Król wierzył;
Nim urzecie zabłyśły zorze,
Bolesław Śmiały już nie żył.

Choć zmarł w żalu i skrusze,
Ani żałobny jęk dzwonu,
Ani modlitwy za duszę,
Nie uświetniły mu zgonu.
Człek jakiś w prostej odzieży,
W cichém go pogrzebł ustroniu;
Na grobie jego głaz leży,
Na głazie rycerz na koniu.

ANT. EDWARD ODYNIEC.

ZRZODŁO S. GANGOLFA.

LEGENDA.

DŁUGIEJ pielgrzymki znużony biegiem
Gangolf w Kampańskiej ziemicy,
W skwarne południe nagle nad brzegiem
Szumiącej stanął krynicy.

A gdy spragniony chłodnym napojem
Orzeźwił siły mdlejące,
Wnet na kolana padłszy nad źródłem
Bocu niósł dzięki gorące.

Wtém nadszedł dziedzic, i rzekł: „za złoto
 Chętnie ci sprzedać zdrój mogę.“
 Pielgrzym zapłacił wartość z ochotą,
 I w dalszą puścił się drogę.
 I do Burgundzkiej wracał krainy,
 Uweselony z nabycia;
 Gdzie łąy przyjaciół, gdzie łąy rodziny,
 Mierzą czas jego przybycia.
 A ledwie luba żona u progu
 Z uśmiechem wita go miłym,
 Rzekł: „ciesz się żono! podziękuj Bogu,
 We Włoszech źródło kupiłem.“
 — „Na cóż się przyda? cóż nam pomoże
 Zdrój w tak dalekiej krainie?
 O nierozważny! sądziłeś może,
 Że on za tobą popłynie?“
 — „Niewiasto! Gangolf przerwał surowo,
 Niech się gniew płochy uśmierzy!
 Toż ci nieznane Chrystusa słowo?
 Czemu twe serce nie wierzy?
 On rzekł: „zaprawdę mówię wam, który,
 „Ze szczérém we mnie ufaniem,
 „Rozkaże góróm „pójdźcie!“ wnet góry
 „Powstaną i pójdą za nim.“—
 „Jam obietnicy Boskiej zawierzył,
 Bóg szczérój wiary nie myli.“
 To rzekł, i laską w ziemię uderzył,
 I oto w tejsze wnet chwili,

Z ziemi obfite wytrysną zdroje,
 Naprzeciw złąklej małżonce,
 I chłodne kwiatóm niosąc napoje,
 Z szelestem biegną po łące.
 Wieki minęły, a jeszcze płynie
 Krynica czysta i chłodna,
 Ale w Kampańskiej za to krainie
 Zdrój hojny wysechł aż do dna.

z KOSEGARTENA,
 przełożył ANT. ED. ODYNIEC.

OBRAZ PIÉRWIASTKOWEJ DZIKOŚCI RODU LUDZKIEGO.

WYJĄTEK Z PIĘŚNI V. FORMATU
 O PRZYRODZENIU RZECZY.

I owe rody ludzkie, dzieci twardej ziemi,
 Żyjące w puszczech, były daleko trwalszemi.
 Z grubszej kości zrastała ciało silnych budowa,
 Tężej związana wewnątrz była żył osnowa,
 Nie wiele im gwałt zimna, upału, doskwierał.
 Człek jadu chorób nie znał, w karmi nie przebierał;
 A obyczajem zwierząt błędzących wśród lasów,
 Żył długą kolej słońcem zatoczonych czasów.
 Jeszcze kmić z krzywym pługiem nie powstał na roli,
 Nie umiał jej żelazem do swej zmuszać woli,
 Ani płonki przenośnej zakopywał w ziemię;
 Nie znało jeszcze noża wspaniałe drzew ciemiej:
 Łaskawą ziemi wolą, deszczem co ją poił,
 I tém co Niebó dało, człek umysł spokoił.

Zwyczajny żér dał owoc z dębu otrącony,
 I krasne jabłka, które dowarżają szrony,
 Sporsze, obfitsze nędznym śmiertelnikom niosła
 Świećłość świata kwitnąca, pokarmy porośla.
 Upragnionych zwoływał szum głośnych strumieni,
 Jak dziś jeszcze, gdy potok z dalekich gór pieni,
 Sypie się w koło zwierzę dręczone od skwary.
 Nakoniec natrafiali nocą na pieczary,
 I chronili się w owe Nimf leśnych świątnice,
 Z których się żywej wody sączyły krynice,
 I przez mech gęsty w powódź spływały z opoki,
 Albo się wyrwały na przestwór szeroki.

Nieznane było ludziom i ognia użycie,
 Zwłók zwierzętóm nie brali na członków pokrycie,
 Brudne ciało od wiatrów i deszczu zwyczajnie
 Unosili w drzew gęstwy, i ciemne skał tajnie,
 Nie mogli znać co niosą obyczaje, prawa,
 Ni pospolite dobro jakie zyski dawa.
 Co los w ręce nagodził, garnęli do siebie,
 Siłę zdrowia posłuszni i życia potrzebie.

Człek ufny w nóg zręczności i mocy ramienia,
 Na walki z leśnym zwierzem brał się do kamienia,
 Albo ciężką maczugą zbliżka na nie godził;
 Mnóstwo przed nim padało, a rzadki uchodził.
 Więc, gdy go noc wzywała złożyć trudów brzemię,
 Jak odyniec szczecisty rzucał się na ziemię.
 Nagi, chróstem nakryty, leżał śród dąbrowy,
 O światło utracone nie frasując głowy.
 Częściej trapiła trwoga, czy silniejsze zwierzę,
 Na społecznój pustyni łoża nie odbierze.

Bo napadnionym w skałach nie było nowiną
 Umykać przed odyńcą albo lwa gościna,
 Gdy w noc dżdżystą, której śmy rażący blask dzieli,
 Drapieżny błakacz śpiących nawiedzał w pościeli.
 z LUKRECYUSZA,
 przekładał L. BOROWSKI.

ŻEGLARZ POWIETRZNY.

O D A.

SLABY i znikomy tworze!
 Gdzież się twa śmiałość przedziera?
 Małoż ci otchłani morze,
 A ziemia grobów otwiera?

Któż wieki, które strony,
 Któryż Bóg ci krés oznaczy?
 Kto ten popęd nieskończony
 Duszy ludzkiej wytłumaczy?

Próżnoż swym pamiętnym losem,
 Zbladły cię lkar przeraża,
 Ziemia tkliwym zwraca głosem,
 Niebo piorunem zagraża?

Lecz cóż dzielną wstrzyma wolą
 I ten wrzący zapał męztwa?
 Już na posłusznym żywiole
 Rozwijasz żagiel zwycięstwa.

Są więc te stanowcze chwile,
 Chwile życia, wieki chwały,
 Gdzie dusza w całej swej sile
 Puszcza się w zawód zuchwały.

Gdzie z głębi siebie przywoła
Wszystko, czém się podnieść umie,
I gdzie człowiek wszystko zdoła,
Co bydź podobném rozumie!

Chwała! chwała twój odwadze;
Same cię budzą Niebiosy,
Ustępują twój przewadze,
Przeszłość, natura i losy.

Gdzie gniewnym Boga wyrokiem
Grzmiały te krainy rozległe,
Gdzie samą myślą i okiem,
Sięgały wieki ubiegłe.

Tam cię wolnego obawy,
Niesie twoja własna siła,
Tam na skrzydłach swojej chwały
Wiek cię obecny przesyła.

Patrz, jak ów orzeł wspaniały,
Oswojony z Niebios grzmotem,
Odwagą twoją zdumiały,
Niespokojnym krąży lotem.

Patrz, jak się w chmurach ukrywa,
Gniewem i wstydem zapala,
Jak próżno gromów przyzywa
Na zgubę swego rywala.

Próżno na swe losy zdradze,
Skarżące jęki wywiera,
Dłoń mu twoja samowładne
Berło powietrza wydziera.

O! jak cię każdy ze drżeniem;
Jak duszą ściga radością;
Jak z każdym lotu wzniesieniem,
Myśl się wzbija, serca rosną!

Czémże, im śmielszy, im wyższy,
Tym silniejszą zazdrość budzi?
Czyli, żeś już Nieba bliższy,
Czyli, żeś dalszy od ludzi?

Wzbijaj się mężny stérniku!
Uciekaj z ziemskiej doliny,
Leć szczęśliwy śmiertelniku!
W wolne ulatasz krainy!

O! jeśli cudem w Naturze,
W twoim dalekim zakręcie,
Aż do owych światów w górze,
Szczęśliwy cię lot zaniesie!

Jeśli tam ludzkim postaciom
Ujrzysz podobne istoty,
Powiedz tym odległym braciom
Ziemskie niezgody, sromoty.

Określ te mordy, pożogi,
Prawa i cnoty zdeptane,
Ponieś im krwawe przestrogi,
W klęskach padołu czerpane.

Spiesz się, śpiesz połączyć z niemi,
Wzbijaj się, wzbijaj do góry,
Dotąd byłeś panem ziemi,
Dziś jesteś królem Natury.

Świat twém państwem niezmierzoném,
Chmury królewską osłoną,
To powietrze twoim tronem,
Wysokie gwiazdy koroną.

Lecz cóż to? jakaż zawada
W śmiałym go locie ukraca?
Już słabiej, już upada,
I znów do pyłu powraca!

On, co wśród wolnej swobody;
Trącał o Niebios sklepienia!...
Témże są ludzkie zawody,
I wszystkie ziemskie marzenia?

FR. MÓRAWSKI GENERAŁ.

Ż E G L A R Z.

O MORZE zjawisk! z kąd ta noc i słota!
Była jutrznia i cisza, gdym był bliski brzegu!
Dziś, jakie fale, jaki wicher młota!
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu!
A więc porzucić korab' żywota?

Szczęśliwy! czyjś przewodniczą łodzi
Cnota i piękność niebieskie siostrzyce!
Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi,
Ta puhar daje, ta osłania lice,
Tamtéj widok oświeca, a téj nektar słodzi.

Szczęśliwy! kto i saméj ulubował cnocie!
Dopłynię, kędy sławy góruje opoka,

Balsam go Rzymski ukrzepi w ochocie;
Ale, jeżeli piękność nie zwróci nań oka,
Dopłynię we krwi i w pocie.

A komu piękność całe pokaże oblicze,
Potém śród drogi zdradliwa odlata,
Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze;
Ach! jakaż późnój cześć w obszarach świata!
Już nie dość krzepią i cnoty słodycze.

Zamiast piękności niebieskiego wschodu,
Walczyć z ustawną burzą, jęczeć pośród cienia,
Zamiast serc czułych trącać o pierś z lodu,
Zamiast jęć rączek chwytac za ręce z kamienia,
I długo śród takiego nie ustać zawodu!

Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużej śmieni, więcej kołatani;
Lecz wszystkoż z nami w tych falach przypadnie,
Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,
Nie zdoła z niej wylecieć, ani zginać na dnie?

Co żyje niknie — tak na mnie świat woła,
Za cóż głos ten wewnętrznej wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
I raz rzuconą krąży po niezmiernej głębi,
Póki czas wieczny toczyć będzie koła.

Któż to krzyknął oś ludu? jakie słyhać żale?
Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnej skale?
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i na fale?

Jesli się rzucę kędy rozpacz ciska,
 Będą iży na szaleństwo, na niewdzięczność skarga,
 Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,
 Nie słyhać zdala wichru, co tu liny targa,
 Grom co tu bije, dla was tylko błyska.

I razem ze mną pod strzałami gromu,
 Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
 Sąd nasz, prócz BOGA, niedany nikomu.
 Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie:
 — Ja płynę dalej, wy idźcie do domu.

M.

Ł O D Ź R Y B A C K A.

BALLADA.

U BRZEGU odnogi, o cichym wieczorze,
 Siadł rybak do łodzi i siatkę naprawiał,
 I z żoną stojącą na brzegu rozmawiał,
 I kiedy niekiedy poglądał na morze.
 Wtém pęka się powróż urwany od fali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Więc prędkiej do rudła, więc prędkiej do wiosła;
 Lecz żagiel i wiosło zostały na brzegu,
 Zkąd żona z obliczem podobnym do śniegu,
 Wołała, i ręce ku Niebu podniosła.
 Nieczuli bogowie pomocy nie dali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Iak straszno noeować na falach zburzonych,
 Na łodzi ułomnej, o trwodze, o dreszczu,

Jak często on myślał, śród gromów i deszczu,
 O żonie, o dzieciach, nazawsze straconych,
 I płakał — lecz ktoś się też jego użali?
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Gdy ranek zabłysnął po gromach, zawiei,
 Przed siebie, za siebie wiódł oczy zdumione,
 Dokoła miał wody bez brzegów, zielone,
 Ni kropla pociechy, ni promyk nadziei,
 Prośbami chciał skruszyć niebiosą ze stali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Trzy nocy i trzy dni na głębiach beze dna
 Wyczekał nadzieje, wypatrzył już oczy;
 Na przekor modlitwie, co nic mu nie zjedna,
 Na przekor głodowi, co serce mu toczy,
 Na przekor pragnieniu, co usta mu pali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

Czwartego poranku, czy mu się zdawało,
 Czy w stronę, zkąd płynął, szła nawa daleka!
 Już serce wstrząśnione radością zadrżało,
 Już łezkę radości uczuła powieka,
 Zawołał — bez echa głos przylgnał do fali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej!

Piątego poranku jeszcze się spodziewa,
 Do wyspy odludnej chciał jeszcze zawinąć,
 „O! jakby mi słodko żyć na niej i zginąć,
 „Choć na niej ni człowieka, ni zwierza, ni drzewa.“
 Podpływa, lecz próżno sili się i żali,
 I płynie i płynie łódź dalej a dalej.

III.

Nareszcie jak strzała co prosto w cel bieży,
Do kraju ciemności, mgły, lodu i śniegu,
Gdzie niedźwiedź, wieloryb, przy jednym śpią brzegu,
Gdzie długo na szronów pościeli noc leży,
I gdzieby go ludzie napróżno szukali—
I płynie i płynie łódź dalej a dalej!

z KNOXA,
przekładał ALEX. CHODZKO.

WYJĄTEK Z TRAGEDY I
H A M L E T.

BE OR NOT TO BE.

Bydź, czy nie bydź: oto jest, co rozważyć trzeba.
Czy szlachetniej jest ścierpieć wszystkie gromy nieba,
Czy powstać przeciw losom, i w dzielnym oporze,
Odwagą przemódz całe nawałności morze?
Umrzeć... zasnąć... nie więcéj. Zasnąć przekonany,
Że w tym śnie żadne serca nie zbudzą się rany;
Że wszystkim bólom, mękóm, wieczny król położym,
I jak udziału ciała, już ich czuć nie możemy.
Ach! któżby takiej śmierci nie chciał życzyć sobie?
Umrzeć... zasnąć... jak zasnąć? może marzyć w grobie...
Ta to czarna wątpliwość, ta wszystko odmienia;
Bo któż wie jakie przyjdą nam dręczyć marzenia,
Wtenczas, kiedy te ziemskie stargamy okowy,
I z nadzieją pokoju zacznem sen grobowy?..
Ten to wzgląd zatrzymując dzielny popęd woli,
Tak długie życie naszej nadaje niedoli.
Bo i któż chciałby znosić krzywd i obelg tyle:
Tę dumę, coby wszystko chciała zdeptać w pyle,

Tę boleść, którą wzgarda miłości przenika,
Zwłókę praw, uciśk możnych, butność urzędnika;
Tę przykrą wreszcie twardość, z którą podła pycha
Tak niegodnie cierpliwą zastugę odpycha?
Któżby to wszystko znosił, kiedy mógłby sobie
Najdrobniejszym żelazem kupić pokój w grobie?
Któżby chciał w jarzmie życia potem zlewać skronie,
Gdyby nie ta obawa czegoś tam po zgonie,
Tych krain nieodkrytych, z których nikt nie wraca?
To nam wolą osłabia, to śmiałość ukraca,
Tak, iż wolim z losami walczyć obecnemi,
Niżli w niepewną przyszłość chronić się przed niemi.
Tak to łatwo sumienie odwagę pokona;
Tak bladością lęklivej myśli powleczone,
Wiednieje żywa barwa postanowień śmiałych,
Gasną wielkie zamiary w duszach mniej zuchwałych,
Ledwie wzbite popędem, już zwrócone twoga,
Imienia nawet czynu dosięgnąć nie mogą.

z SZEKSPIRA,
przekład F. MÓRAWSKIEGO.

WYJĄTEK Z POWIEŚCI POETYCZNEJ
ZAMEK KANIOWSKI,
z CZĘŚCI DRUGIEJ.

10.

Pośrzód puszczy gęstwy, pośrzód jarów cieśni,
Mściwy Nebaba swoje szyki wiecie:
Jak czuł koń jego, że na wszystkich przedzie!
Jak w piersiach jeźdźca rozigrane serce

Dzikić wojennej wtórowało pieśni!
 Kiedy myślami w przyszłość uniesiony,
 Pożary w każdej dostrzegał iskierce,
 Co błyska za nim, skoro lustro stali
 Od miesięcznego oka się zapali;
 Kiedy zwyciężkie odgadywał tony
 W dzikich odgłosach wojennego pienia!
 „Stójcie!“ Od wschodu dzień się zapłomienia.
 Księżyc rumiany, niby się krwią zboczył,
 W posępne chmury, jak do śmierci łoża,
 Na cichych ranku wiatrach się zatoczył,
 I, jak zły wieszczby wyszła drżąca zorza.
 „Stójcie! słów kilka!“ Tu zemsty drużyna
 W krąg Atamana zawinęła kołem,
 Gdzie się okrągli bezdrzewna równina,
 Szród ramion boru, i przed boru czołem.
 „Baczność! coś wichrem zasumiało w lesie,
 „Jeden to z naszych gęstwą się przeryna,
 „Pilnował skrzydła.“ Jakież wieści niesie?
 Jego pierś robi, jego biegun w pienie.
 Między drzew szumem słyshał otrąbienie.
 Czyżby Polacy tak blisko bydź mieli?
 „Wytrwałość dzieci! Bądźcie tylko śmieli,
 „Naszém to będzie, co mamy przed nami.
 „Pod samém miastem, ten bajrak (*) czy wiecie,
 „Co się rozrasta pomiędzy jarami?
 „Tam do godziny zmierzchu doleżycie;

(*) Bajrak, lasek zarosły wśród wąwozu.

„Ja później będę, skoro do wieczery
 „Wezwie nas gwiazda, co w Zamku na wieży!“
 Tak razem zgasli zwinni jeźdźcy w borze:
 To się w promieni tysiąc rozskoczyli,
 Tu między pniami jeszcze majaczyli,
 A tu i śladu po żadnym już nie ma;
 Niby zaklętych pochłonięły drzewa
 Przed śmiertelnego słabemi oczyma:
 Pusto — sam tylko duch boru powiewa,
 A za nim nagie klaskają konary;
 Pod niemi rumak majaczeje kary,
 A na nim jeździec pręż pilne ucho:
 Z téj strony trąbka zdaje się grać głucho;
 Lecz głuchszy jeszcze słyhać dźwięk z téj strony,
 Ranne go wiatry krętym jarem wloką.
 Jeździec posłuchał, pomyślił głęboko:
 Jak mu nie poznać! to Kaniowskie dzwony
 Szczęśliwą wieszczbą do niego mówiły.
 Razem się pomkną sklepienia milczące,
 Wnet drzew sklepienia czczością się zaćmiły.
 Jeszcze, przez chwilkę, echa w czczości biły,
 Lecz go już teraz nie znajdzie i słońce.

.

11.

Ponuro echa okoliczne trąca
 Zamkowa trąba, wieczór witająca,
 Gromadząc zbrojnych na modły wieczorne.
 Wielkiém kościoła Natury sklepieniem,
 Już, już, gdzie niedzie, lampy wieków płoną.

Odkryto głowy, bronie opuszczono,
 Utkwiono w ziemię spójrzenia pokorne,
 Słów uroczystych słuchano z milczeniem.
 „Amen.“ — I amen, powtórzono z skrzuchą,
 Echa zamkowe ozwały się głucho:
 „Amen.“ — Ich amen tak smutny, niemiły,
 Jakby go po raz ostatni odbiły.
 Zagrzmiął ryk działa i skończył się szum boru,
 Na wieży ogień zajął się strażniczy.
 Milczący sztyldwach ciche kroki liczy.
 Po oknach błysły światełka wieczoru.
 Mile zamkowa służebna drużyna,
 Wieczór niestety! ostatni zaczyna.
 Jak błysk jej światła, ciche jej wesele;
 Kiedy zasiądzie każda przy swym dziele:
 O! co za rokosz obejrzeć te grona,
 Gdy za prababek bawiły się pracą:
 Tu gazy blaskiem złota się bogacą,
 Jak biała zima, mrozem uiskrzona;
 Tam, czarodziejka, u krosien schylona,
 Tchu nie da słyszeć, nie zwróci spójrzenia, —
 I trzeba wierzyć, widząc jej oblicze,
 Że blask tych oczu, to technienie dziewicze,
 Cudowną władzą kwiat wiosny rozplenienia.
 W tej białych rękach drót jasny i gładki,
 Wydaje w mgnieniu różno-wzorne siatki, —
 Niby od wiatrów i z wiatrów tworzone,
 Tak są przejrzyste i lekkie jak one.
 A tutaj, okrąg głośniejszej roboty:
 Tutaj burzliwe furczą kołowroty,

Tutaj wrzeczono ze lnami miękkimi,
 Brzmieje nieznacznie, i gwizdże po ziemi.
 A pienie, w prostej melodyjnej nucie,
 Lube jak pierwsze miłości uczucie,
 Ciche jak łono, co nie zna kochania,
 Tęskne jak pamięć rodzinnej zagrody,
 Pełne z tym miejscem, z tą godziną, zgody,
 Sferą harmonii urok ich osłania.

12.

Czy nie po panu zatęchła pani?
 Że między niemi, a nie kwitnie na niej
 Ta, co na wszystkich kwitnie w pełni radość:
 Słabość w jej oku, w jej obliczu bladłość.
 Jak chmur odbicie z mokrego dna stoku,
 Wyziera dusza z poza łez w jej oku.
 Czerę, co zgasła, wargę, co poblądła,
 Z milczącą skargą, mgła serca osiadła.
 Czy się kto kiedy przypatrzył gangrenie?
 Jak utajona, tłąc w serca głębiny,
 Na trupiém ciele wyjdzie małą plamą,
 Jak coraz szérzej, coraz ciemniej mgleje,
 Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje.
 Z młodej rządczyni smutkami toż samo:
 Przez nieme wargi, przez ciemne spójrzenia,
 W mgłach coraz grubszych widać jak się wloką;
 A choć pierś westchnień, a też pełne oko,
 Jakby walczyły z niemi pierś i oko,
 To też nie puszcza, to więzi westchnienia.
 Ach! pierwsza rokosz tak bardzo nie zmienia,
 Nie gasi jagód, nie mrozi spójrzenia,

Żalobą duszy czoła nie ubiera;
 Ciężkiem westchnieniem piersi nie zapiera;
 Ach! pierwsza rokosz w lubego objęciu,
 Kiedy kochana i kocha, dziewczęciu
 Daje czuć duszę życia Anielskiego.
 Lecz kiedy, słabą, żądze gwałtu zbiegą,
 I, co drugiemu sobie wypieszczono,
 W zmierzłej lubości, obca rokosz skradnie;
 Piekło natenczas wciska się tam zdradnie,
 I, śmierć zapładnia oblubieńcze łono.
 Może, uważną pracą zaprzątnięta,
 Zapomni smutku: usiadła za krośna;
 Może miłośna, może pieśń żałośna,
 Posępną dumą utuli natręta,
 Jak się utula pieszczoszek wrzaskliwy:
 Dobre dziewczęta rozpoczęły śpiewy.
 Już na żrzenicy łezka zabłysnęła:
 Zbiera się, zbiera, toczy i stanęła; —
 Jakby z pogardą igrać jej nie miło,
 Jakby ją zimno smutku zamroziło.
 Już dłużej swego ciężaru nie wstrzyma:
 Powstała z miejsca; lecz tak martwa cała,
 I znów stanęła z takiemi oczyma,
 Jakby się w izbie obłędu lękała.
 Wlece mdlejąca zwolna, krok rozchwiany,
 I obcym rzutem ciska się do ścian.
 U okna przecie. Nadstawiła ucha:
 Niby jej wietrzyk, co przez szyby dmucha,
 Niósł od przyjaźni słowa pociech miłe;
 Powoli, widać w poruszeniach siłę,

Promyk nadziei w spójrzenia światelku;
 Tęcza radości mgliła się z jej czoła.
 Zle z nagłą zmianą! Pójrzała dokoła,
 A wszystko przed nią w rozpacz i zgietku.

13.

Już po Kaniowie straszna wieść latała:
 Jak się wzburzyła Ukraina cała;
 Jak zdradą Gonty, dobyto Humania,
 Ile tam mordów, ile krwi rozlania,
 Jak samo Lachów zda się ścigać piekło,
 A nigdzie schrony przed czernią zacieklą.
 Skoro, wieczorem, powstały tumany
 Od nasępionej strony Zaporozża,
 I mglistą bielą osłoniła zorza,
 Z różgą komety, jak lampa złej doli,
 Gasnąć w obłokach zaczęła powoli,
 Zdwoił się w mieście przestrach niesłychany;
 Głuszej się zdały bełtać Dniepru szumy,
 Jęczeć okropnieć wichry Ukrainy,
 I groźniej ciemnieć sklepienia dębiny.
 Jak po Cmentarzu nieme duchów tłumy,
 Snują się milczkiem po ulicach miasta
 Tłumy mieszkańców trwogą omroczone;
 A wieszczba klęski, w którą pójrzysz stronę!
 Tam dziecię pyta: zkad ten tuman wzrasta,
 I w takie kształty mięsza się olbrzymie,
 Jak Lucyfera wojsko w piekła dymie?
 Cytnęła matka; wywróżyć się lęka.
 Dwóch się przyjaciół zbiegła oto ręka,
 I zimno śmierci ich uściski ziębi;

Dwojga kochanków spotkało się oko;
 I męty śmierci widać w spójrzeń głębi,
 I jęki śmierci z westchnieniem się wloką;
 A topielicy skrwawione widziadło
 W skrwawionej szacie, ze skronią rozpadłą,
 Ciągłe Kaniowa przelatuje bruki,
 W dziwniejszych ruchach, z dziwniejszymi huki,
 Jak co się wyrwał z łona ziemi matki,
 Nieprzetoczone unosząc ostatki;
 Bo, jak nad trupem, krążą nad nią kruki.

14.

Z rękami w Niebo, płakał lud skruszony,
 Szród poświęconych sklepień Wszechmocnego,
 Sciany Świątyni wtórzyły płacz jego.
 Księża śpiewali pokutnymi tony,
 Kaniowskich dzwonnice jęczały wciąż dzwony,
 W każdym ołtarzu światła wciąż pały,
 Nieocenione słano zewsząd wota,
 Z drogich kamieni ze szczerego złota.
 Wielkie ofiary, bo i strach nie miały!
 Płakali wierni, płakali niewierni.
 Wprzód, niżeli noc barwy poczerni,
 Dzieci Solimy przed arką bożnicy,
 Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,
 Upadli na twarz w pogrzebowej bieli,
 Jakby od gniewu Bożego struchleli,
 I w pyle ziemi czoła ponurzywszy,
 Podnieśli głucho lament żałośliwszy,
 Niżli go słyszał świata wiek daleki,
 Na obcych brzegach Babilońskiej rzeki.

I łzy Dawida z ich się ocz polały
 Szczero-to płacze, bo i strach nie miały!...

WYJĄTEK DRUGI Z TEGOŻ POEMATU I TAKŻE CZĘŚCI.

16.

Już w głuchej nocy opóźnioną porę
 Przyćmiona lampa słabo się rozżarza;
 Tak po miesiącu, okna różno-wzore
 Błyszczą w Kaplicy pośrodku Cmentarza.
 Łoże małżeńskie zapłonione blade

Światłem, co mdlało, buchało, znów mdlało,
 Tak się w półcieniach dziko wydawało,
 Jakby to łoże, gdzie umarłych kładą.
 Po dniowym trudzie małżonek śpi mocno:
 Znużoném okiem po co żona (*) czuje?
 Czy jak duch dobry, jego snu pilnuje?
 Zegar wybija dwunastą północną.

— „Czego to, gdzie to dzwony uderzyły?“

Porwał się nagle rzadca przebudzony.

— „Zdało się tobie; to zegaru dzwony.“

I oczy rzadcy znów się snem zakryły.

Ale poczwara, przeczucie złowrogie,
 Pod snu zasłony złośliwie się wkrada,
 I, z bezzasadnych cierpień duszy rada,
 Niewieścią w mężu ciągle budzi trwogę.

— „Czego to trąby tak nagle zagrały?“

— „Ach! Pan Bóg z tobą! świat jak umarł, cały.

(*) Orlika kozaczanka przymusem od Rządcy Kaniowa
 wzięta za żonę.

„To zabrzęczała mucha obudzona.“
 I znów od zmysłów popłoszone zgiełku,
 Cichnące czucia wróciły do łona; —
 Tak zgraja piskłat, od kani spłoszona,
 Tuli się ufnie w matczynym skrzydełku.
 Usnął. Rządzący wciąż mruga powieka.
 Jak góra westchnień ciężkie dla mój łono;
 I serce rwie się, jakby je męczono;
 I pot gwałtownych miotań ją ocieka.
 Cóż to tak przykro podrażnia jej oczy?
 Czegoż pot młodości z jej się lica toczy?
 Jakaż na pierś jej mogła się tłoczy?
 Czy — to nie szatan igra z nią w beżeśnie,
 By owoc, którym pierś przeklętą płodni,
 Wykołysany jej myślami wcześniej,
 Stanął dojrzwały na skinienie zbrodni?
 Jaśniej i jaśniej błyszcząca źrenica,
 Razem w powiece, pełno się rozświeca.
 Podniosła głowę;... wyżej, jeszcze wyżej.
 Zézem nasamprzód przeszła śpiącego;
 Potém swe oczy do ocz męża zbliży,
 I długo trwożnie bada ruchów jego;
 Ostrożną ręką serca w piersi bada,
 Na piersi jedna, skryta druga ręka.
 Patrzy na oczy, wstaje i usiada.
 Znalazła serce, wstaje i uklęka.
 Mignęła w ręku błyszczącym żelazem —
 Mąż się obudził i zawołał razem:
 „O! jakże sny mnie strwożyły niemilo,
 „Jakby się w Zamku razem zapaliło,

„Taką mniemałem widzieć błyskawicę.
 „A twoje czego tak błędzą źrenice?
 „Ciebie zmieszało moje pomieszenie.
 „Był to sen tylko. Prawda, sen niemiły;
 „Ale te myśli, co mię w dzień kłóciły,
 „Wróciły na noc. Spij już, śpij kochanie.“
 A więc usnęli. Biada temu, biada!
 Kto, nazbyt ufny w trwożną cnotę ludzi,
 Przy swoim sercu, w swém łożu układa
 Serce zatrute śmiertelną obrazą.
 Usnął; a w ręku małżonki żelazo.
 Bóg-że wie kiedy i gdzie się obudzi!

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

OBŁĘŻENIE GŁOGOWA (*).

Ś P I E W.

ZA Bolesława, gdy szanice Głogowa
 Niemce oblegli; o miasta poddanie
 Zaszła ugoda: że nie cofną słowa,
 Dali swych synów na zakład mieszczenie.

(*) Pamiętne to oblężenie Szląskiego Głogowa, który wówczas do Polski należał, przypadło w początkach dwunastego wieku. Nim Bolesław III. Krzywousty mógł dać pomoc oblężonym, szczupła Polska zależąca z mieszkańcami opierała się całej potędze wojsk Niemieckich, Czeskich, osobiście przez Cesarza Niemieckiego Henryka V. i Swiatopełkę Książęcia Czeskiego dowodzonych. Głogowanie w tej potrzebie,

Jeszcze nie doszedł był czas umówiony,
Wróg się napierał już byź miasta panem:
Bo wieść chodziła, że król niezwalczony,
Idzie Bolesław w pomoc swym poddanym.

„Naszych żelaznych bram, rzekli mieszkańce,
„Przed umówioną nie otworzym dobą.“
Wtenczas wróg gwałtowny biegł szturmem na szaniec,
I zakładników prowadził przed sobą.

Na groty ojców szli młodzieńce śmieli;
A ci chmurami wypuszczając strzały:
„Léj się krwi nasza! z warowni krzyczeli,
„Gńicie synowie dla Narodu chwały!“

Założnie jęczą młodzieńce ranieni:
„Spiesz Bolesławie!“ Proszą tylko z bólu (*).
Gryzą swą ziemię, wpośród łez strumieni,
A wiatr ich jęki roznosi po polu.

„Niebo was czeka, spokoście się dzieci!“
Na synów żale Głogów odpowiada;
A coraz nowych grad pocisków leci,
Gdzie jeden Polak, stu Niemców upada.

poświęceniem własnych dzieci, dali przykład niesłychanego męstwa. Niewiasty ich nawet, koło szaniców naprawy robiły, i w czasie szturmów smołą gorącą na nieprzyjaciół lały.

(*) Nie zważając Głogowianie na powtarzane od tych niewiniąt założne wołania: „Bolesławie, Bolesławie! przybywaj!“ równie na swoich, jako i na nieprzyjaciela rzucali pociski. (*Hist. Pol. Bank. T. I. k. 267*)

Chytrych Germanów krwią Odra pociekła,
Trupów ich pełna nie mieści się w brzegach:
Okrutne serca dręczy rozpacz wściekła,
Nadchodzą wojska, jak fale w szeregach.

Trzęsą się bramy, już chwieją się wieże;
Kruszą się baszty, padają rycerze,
Ostrz trze się z ostrzem, grot po grocie warczy,
Pnie się na mury, mur z mieczów i z tarczy.

„Na przód, ach na przód! hańba zwracać czoła,
„Czyż to nie zgnieciami tej garstki żołnierza?
„W pień ich wytujicie!“ Cesarz Henryk woła,
I cała Niemców potęga uderza.

Jak na opoki co wśród morza stoją,
Gdy ryknie burza, biją zewsząd wały:
Bije grom, wicher, głazy się nie boją;
Tak Polskie hufce szturm wytrzymywały.

Dzień, noc walczone: wtém na pomoc mężnym
Przybiegł Bolesław z rycerstwem potężnym.

A. G.

T R E N O M M I L

NA DOLINIE BIEDER.

D U M A.

Wznoszą się kurzu tumany,
Skrzypią wozy Karawany,
Wracającej do ojczyzny;
Wrą skwarem głuche płaszczyzny;

Upadając w ciężkim trudzie,
 Mdleją wielbłądy i ludzie.
 Ale Beder niedaleko;
 Już go widzą z uniesieniem;
 Tam zdrój czysty: tam przed śpiaką,
 Palmy ich okryją cieniem.
 Wszystkich więc sił natężają,
 Spragnieni tak drogiej chwili;
 Już się nareszcie zbliżyli
 I swobodniej oddychają;
 Spiekłe usta odwilżają
 I pod cieniem spoczywają.

Któż ten starzec zapłakany?
 To Ommia, pan Karawany;
 Przechadza się po dolinie,
 I zdrój łez z ocz jego płynie.
 Po kim Ommia te łzy roni?
 Czyli skarby swe utracił?
 Czyli zbojeckiej pogoni,
 Zbyt drogo życie opłacił?
 Onby chętnie swój zysk cały
 Oddał napastnej drużynie,
 Perły rzucił na pustynie,
 Aby je wichry rozwiały;
 Gdy na Bederu dolinie
 Widzi grób ojczystej chwały;
 Widzi zwłoki rozrzucone,
 Widzi kości pobielone.

„Kogo oczy twoje płaczą?”
 Zapytali towarzysze.

On krzyknął, patrząc z rozpaczą:
 „Od wasze to ten głos słyszę?
 Wyż to mnie o łzy pytacie?
 Czyż tego miejsca nie znacie?
 Czy nie znacie tej doliny,
 Gdzie błyskał oręż proroka,
 Gdzie szlachetne Meki syny
 Kryje mogiła szeroka?
 Tu raz pierwszy dla swej wiary
 Bezbożne podniósł sztandary,
 Tu hufce duchów przyzywał;
 Pod tą palmą okazała,
 Zgubną nam okryty chwałą,
 Po zwycięstwie odpoczywał.
 Dla kłamstw ubranych w natchnienie,
 Własne źródło krwią zamąca;
 Dzikim mieczem w wieczne cienie
 Ziomków zsyła, braci wtrąca.
 W Imię Boga stacza boje;
 Nim w pierś wleje wiarę swoją,
 Wprzód sztyłem ją otwiera, —
 Pała lud na jego drodze;
 A tej klęsce, tej poźdze,
 I Niebo się nie opiera.

Niebo z nami bydź przestaje,
 Odwróciło swe oblicze;
 Jemu, jemu tylko daje
 I tryumfy i zdobycze.
 Jak od strzelca łani dzika,
 Od nas zwycięstwo unika.

Próżną była twoja cnota,
 Nieporównany Walidzie!
 I śmierć twoja mężny Otta,
 I twe rany Sabaidzie!
 Próżno, próżno zagrzewałem
 Najzacniejszych Meki synów,
 Kiedy śpieszyli z zapałem,
 Do zwycięstwa, do wawrzynów.
 Teraz leżą na tej ziemi
 I teraz — płaczę nad niemi.
 O wy matki! nieszczęśliwe!
 Z czołem ku ziemi schyłonem,
 Złączcie łzy i skargi tkliwe
 Z mym żalem nieutulonym.
 I wy żony! hymn żałoby
 Zaczniście wraz ze mną śpiewać,
 I te kości, i te groby
 Przyjdźcie łzami swemi zlewać.
 Meko! jak się los twój zmienia!
 Kto płacze dzieci twych ukoi?
 Gdzie są wodze pokolenia,
 Gdzie obywatele twoi?
 Błyszczą kości ich pod niebem.
 Nieszczęzycone pogrzebem.
 Meko! Meko opłakana!
 Nie znajdziesz nigdzie mściciela,
 Uznacie nowego Pana,
 Święte mury Izmaela.
 Starzy, młodzi, wszyscy legli,
 Coby za was na śmierć biegli!

Wypłakałem już łez zdroje,
 Lecz mój głos nieznany ginie;
 Tylko głuche te pustynie
 Zdają się czuć boleść moję!“
 Rzekł i stał nieporuszony,
 Trzymał długo wzrok wlepiony
 W martwe szczątki, w nieme zwłoki,
 Które ujął sen głęboki;
 Nagłą boleścią przejęty,
 Padł, obrócony do Meki,
 Wydał z piersi jęk przecięty,
 I umilkł — umilkł na wieki.

J. KORZENIOWSKI Prof.

PRZEKLĘTWO NA ZŁYCH OBYWATELÓW.

P I E Ś Ć.

Ręko Jowisza! stema zbrojna groty,
 Spuść na ojczyzny szkaradne niecnoty,
 Z czarnych obłoków pioruny rżęsiście,
 Hartowne bełty i deszcze siarczyste.

Nie cierp, aby się dłużej żmije wiły,
 Kochanej matki wnętrzności toczyły.
 Jeśli zaś nieba ukryte wyroki,
 W złych ukaraniu swe wstrzymają kroki;

Jeśli szczęśliwa zbrodnia ma swobodę,
 Wydierać cnocie zasłużną nagrodę:
 Jeśli pocziwych w życiu te są losy,
 Dla przyszłej chwały przykre cierpieć ciosy;

Druga przynajmniej Stygu rzeki strona;
Niech ma gotowe koła Ideona;
Piekielne jędze, siostry zajadliwe,
Niech przysposobią pochodnie smrodliwe.

Brzydkie na głowie Meduzy w krag wite,
Niech karmią zdrajce węże jadowite:
Niech mu wieczyscie sęp szarpie jelita,
Niech tantalową gębą wodę chwyta.

*z S. KONARSKIEGO,
przekładał X. SZOSTOWICZ.*

WYIĄTEK Z POEMATU POD TYTUŁEM

N O C Y.

z NOCY PIERWSZEJ.

SŁODKI śnie! ty, którego balsamiczne tchnienie,
Nową mocą zemdlone krzepi przyrodzenie!...
Ale próżno go wzywa stęskniona powieka,
Tak on, jak świat zepsuty, od nędzy ucieka.
Na suchém siada oku, szczęściu towarzyszy,
A unika mieszkania, zkąd jęki usłyszysz.

Oddawna nie spoczywam w łożu, lecz się trudzę,
I nagle po burzliwej snu chwili się budzę.
Szczęśliwi! którym wiecznie powieka zapadła,
Jeśli ich w grobie czarne nie trwożą widziadła.
Jakże od natrętnego dzikich marzeń tłumu,
Bite były me zmysły w czasie snu rozumu!
Ach! jak nędze po nędzach na mnie się waliły!
Czułem rozpacz dla niezczęść, które mi się śniły.

Przychodzę do rozumu: widzę, że się ludzi
Biędny! i cóż zyskałem w tém, że się przebudził?
Bynajmniej w tej odmianie stan się mój nie zmienia,
Prawda jeszcze jest sroższa, niż srogie marzenia.
Dni nie starczą łzóm, które oko moje leje;
A noc, gdy nawet w całą czarność się odzieje,
Nie jest czarną, przy losu mojego postaci,
Przy smutku mojej duszy swą pośepność traci.

Teraz połowę swoich posunawszy kroków,
Na hebanowym tronie siedząc óród obłoków,
Noc, w swoim majestacie cieńmi osłonięnym,
Wzniosła berło z ołowiu nad światem uspionym.
Jaka ciemność i głuchosc! wszystko śpi głęboko!
Nic ucho nie usłyszysz, ani ujrzy oko;
Wszędzie okropna śmierci postać się wydaje,
Zda się, że obrót świata w swym biegu ustaje,
I zmordowana pracą oddycha Natura.

Spoczynku przeraźliwy! cichości ponura!
W tobie jest końca świata wyrażenie wieszczę;
Nie ociągaj się, przyspiesz, ja w tém zyskam jeszcze.

O milczenie! Ciemności! — jak poważna para!
Wspaniały płódzie, który noc wydała stara,
Wasza przytomność, słabą duszę mocną czyni,
Wy myśli do mądrości zwracacie świątyni,
Krzepicie rozum człeka wąpiący o sobie,
Przybądźcie! za to dzięki oświadcę wam w grobie.

*z JUNGÄ,
przekładał Fr. X. Dmóchowski.*

MĄDROŚĆ.

Ktokolwiek całe życia powaby
 W samych dostatkach pokłada,
 Błądzi mój zdaniem, i umysł słaby
 Więcej niż rozum nim włada.
 Ja ile ze mnie, tych tylko w życiu
 Chciałbym nazywać szczęśliwych,
 Co przy rozumie, a miernym byciu,
 Wolni od trosk zgryźliwych.

Cóż jest to złoto, które tak mocne
 W ludziach pragnienie podnieca?
 Pewnie do zdrowia jest im pomocne,
 Albo im w nocy przyświeca.
 Jest prosta ziemia, lecz za niecnotę
 Bóg chcąc nas pono ukarać,
 Tak wielką do niej wlał w nas ochotę,
 Że o nią musim się starać.

Już i przestrzenie morzów głębokich
 Ułomną łodzią zbiegamy,
 Skryte pod Niebem Andów wysokich
 Snieżne wierzchołki zwiedzamy.
 Z wieków nietknięte Indyjskie niwy,
 Kolumbus pierwszy spłądrował,
 Mniej baczny, czy gdzie Bóg sprawiedliwy
 Końca zuchwalstwa nie schował.

Nie chcę ja skarbów, co tam za niemi,
 W życiu nieznając pokoju,

Przewraca Murzyn wnętrzości ziemi,
 Oblany we krwi, lub zgonie:
 Bo któż przy kupach potężnych złota
 Doznał prawdziwej swobody?
 Nie zasłoniły złociste wrota
 Krezusa, ni liczne grody.

Ow, co chwalebnie stem grodów władał,
 Kreta go cała wielbiła,
 Lubo z Bogami za stoły siadał,
 Śmierć go zarówno zgładziła.
 Mądrość jest sama, Mądrość bogini,
 Szczęściu ludzkiemu przyjazna,
 Kto się polecił do tej świątyni,
 W życiu ten smutku nie zazna.

Widokiem śmierci nieustraszony
 Ateński Mędrzec spoczywał,
 Mało pamiętny, iż naznaczony
 Moment dekretu przyzywał.
 Ni śmierci widok, ni wzrok tyrana
 Cnoty prawdziwej nie zmaże:
 Mądrość, im bardziej prześladowana,
 Tym się wspanialszą ukaże.

Niech kto chce ołtarz fortunie stawia,
 Ja się jej darem nie nęcę;
 Mądrość i Cnota mię tylko bawi,
 Tym życie moje poświęcę.

KAJETAN WĘGIERSKI.

OBRAZ DOBREGO KAPŁANA.

Wmiesz ten dół na wzgórku skromny, lecz przystojny?
 W jego to mieszka ścianach Kapłan bogobojny.
 On się do Tronu Stwórcy swym głosem przedziéra;
 I wszystkie skarby Niebios dla tej wsi otwiera.
 Błogosławi małżeństwa, nędzy wsparcie daje,
 Poświęca drzew owoce i pól urodzaje,
 Przyjmuje na świat, w życiu człowieka wspomaga;
 Zbroi na śmierć, i Nieba za umarłych błaga;
 Nauki obyczajów nie zmienia do mody.
 Kochający i wzajem kochany od trzody.
 Obojętny na burze, w zasadach gruntowny,
 Dobry pasterz jest taki, jak ten wąż szanowny;
 Co będąc opiekunem wsi zabaw niewinnych,
 Przez lat sto im użyczał cieniów dobroczynnych;
 A którego gałęzie niezwiędłe wiek cały,
 Na wzrost dziada i wnuków dojrzałość patrzyły.
 Swoją dobrocią, radą i czynną posługą,
 Jest on dla wioski naszej Opatrznością drugą.
 Przed okiem jego jakiż nędzarz skryć się może?
 Sam tylko jego dary Ty znasz Wielki Boże!
 Często w ustronie, kędy stawia los okrutny,
 Wszystkich zebranych razem nieszczęść widok smutny;
 Gdzie mieszka nędza, boleść i śmierć najstraszniejsza,
 Wchodzi — zaraz choroba srogość swoją zmniejsza,
 Znika nędza, śmierć nawet okropność utracą.
 Nie raz, kto w biędzie wspiera, od zbrodni odwraca.
 Błogosławi mu nędzarz, bogaty go ceni.
 Często dwaj przeciwnicy gniewem zapaleni,

Wieczną zgodę u jego poprzysięgli stołu,
 I sciskając się z sobą wrócili pospołu.
 z DELILLA, przekład FRILINSKIEGO.

ODA NA ZGON PIUSA VII.

*Omnis autem multitudo videns occubuisse
 Aaron, flevit super eo triginta diebus,
 per cunctas familias suas.*

MOISES Lib. Num. XX. 30.

STAŁO SIĘ!... Wiara w żałobie
 Smutek pobożny ogłasza:
 Modły ze łkaniem na grobie
 Łączy Kościół Matka nasza:
 Ponure hasło pogrzebu,
 Słą jęk śpiżowy ku Niebu.
 Skromne wioski, pyszne grody.
 U stóp Piotrowej opoki
 Złożył światobliwe zwłoki
 Pasterz Chrystusowej trzody.
 O czasy groźne klęskami!
 Za stratą w ślad idzie strata.
 Rzymie, łyż całego świata
 Z twemi się mieszają łzami!
 Zniknęła chluba Tyary,
 Podpora Tronów i Wiary,
 Światło na zbawienia drodze.
 Bez przewodnika sieroty,
 Uwielbianiem jego cnoty
 Krzepyśmy się w boleśnej trwodze.

Ze zgrozą późne prawnuki,
 Sledząc dziejów naszych karty,
 Ujrzą piekielnej nauki
 Jad po świecie rozpostarty:
 Tym rozum słaby rażony
 Podeptał święte Zakony;
 A w mądrości ludzkiej księdze
 Szukając szczęścia i chluby,
 Stał nad przepaścią zguby,
 Znalazł zbrodnią, ucisk, nędzę.

Jak kiedy niepomna Ewa
 Na zakaz wyraźny Boga,
 Owoc z wiadomości drzewa
 Zerwie kuszona przez wroga;
 Ziścił się wyrok surowy;
 Gniew Wszechmocnego Jehowy
 Nieposłusznych wygnał z raj:
 A za rodzicielskie winy,
 Wydał Adamowe syny
 Klęskom wszelkiego rodzaju.

Chleb na utrzymanie życia
 Kazał w pocie czoła zbierać;
 Cierpieć boleści powicia,
 Płakać i śmiercią umierać,
 Odtąd oporne żywioły,
 I czarnych mocarstw anioły,
 Trapią wywołańców plamię.
 Człek przynosząc z matki łona

Winy pierwotnej nasiona,
 Bratobójstwem zinażał ziemię.

Dziś ród przekłęty Kaina
 Wywarł krwi niesytą siłę;
 Zastępców Bożego Syna,
 I Niebu Ofiary miłe,
 Na wieczną hańbę Europy,
 Zdeptał bezbożnymi stopy.
 Widzieliśmy jak mocarze,
 Pod miecz katowski oddani,
 I jak ginęli Kapłani
 Krwią świętą brocząc Oltarze.

Rodu i zasług imiona,
 Klątwy się stały nazwiskiem:
 Gmin wściekły z ojczyzny łona
 Wygnał je z urągowskim.
 Zniknęła stanów różnica;
 A straszliwa nawałnica,
 Nieznanym jeszcze przykładem;
 Żrąc wiekami plon zbierany,
 Pędzi na sąsiednie łany,
 I klóci ziemię nieładem.

Ta sroga burza w swém łonie
 Poczęła bojów olbrzymia;
 Zjawił się; zasiadł na tronie:
 I świat jak własność swą trzyma.
 Rzekł.... a padłszy na kolana,
 Ludy uznały w nim pana:

Zadumion świat powodzeniem,
Omamiony blaskiem sławy,
Truchlał na jego wyprawę,
I jego zabrzmiął imieniem.

Tak nową kolos potęgę
Dumnie ku niebu się wznosił:
Zamknięto wyroków księgi:
Szczęsny wojownik je głosił.
Próżna potęga i zmowy,
On czarodziejskimi słowy,
Niweczył radę i siły:
Gdzie zwrócił oręż zwycięzki,
Jak grad sypały się klęski,
Wzniosły się gęste mogiły.

O Rzymie! stolico Wiary!
Świętych męczenników grobie!
Jakieżże jeszcze ofiary
Śmie los wymagać po tobie?
Twych wieszczów, mędrców, półbogów,
Zgwałciły proch stopy wrogów:
A twego nieba błękity
Przychyliłnym Febem różowe,
Widzą jak Wandale nowe
Ostatnie łupią zaszczyty.

Dzielnych Marsa wychowanców
Powstańcie w sławione cienie!
Niech z pięknych Anzuńskich krańców
Trwoga najezdcę wyżenie!

Oto zdobywca łakomy,
Świątynie i świeckie domy,
Obnaża z chwały pomników!
Bezczelny na wszystkie zbrodnie,
Śmie Kościół zniżyć niegodnie,
W poczet swoich hołdowników!

Kamienny na ludów skargi,
Już z świętym Arcy-Kapłanem
Bezbożne zagaja targi:
Ochrzcil gwałt ugody mianem,
Lecz władca świętej stolicy,
Ufny Chrysta obietnicy,
Nie ugął cześci-goduć głowy:
Czyniąc świętokradzcy wstręty,
Wyrzekł śmiało: „Bądź przeklęty.
„Gdyś zgwałcił Kościół Piotrowy!

„Mam wolą stradać dla Wiary
„Więcej niż moc twa posiada:
„Bóg skruszy dumne sztandary:
„Nie zwiniiesz ich!..... biadać, biada!“
Na skale ziarno usycha,
Zatwardziała w szczęściu pycha
Święte przestrogi umarza:
Lecz piorun skałę rozwali.
Już się na przedwiecznej szali
Przeważył wyrok mocarza.

On gromem zbrojnej prawicy
Ufny, Niebu hardzie grozi;

I z Apostolskiej stolicy
 Kapłana-Króla uwozi,
 Próżno się w zemście wysila!
 Już wytknięta zgubna chwila;
 Naznaczył go palec Boży.
 Ten orzeł przesyty grotem,
 Nie na długo bystrym lotem
 Skrzydlaty rodzaj zatrwoży.

Rzekł PAN: co zwiążesz na ziemi,
 W Niebie toż będzie związane:
 Przeklęctwo za bezbożniemi
 Seiga i w wieczór i rano.
 Przedwieczny słowa nie wyda.
 Jak niegdyś plemię Dawida
 Wrócił prawemu tronowi;
 Dziś odda trzodzie Pasterza
 I świętym godłom przymierza
 Potęgę Wiary odnowi.

Patrz! wróg na nowe rozboje
 Wystrzone podniósł bronie:
 Błyszcza się hartowne zbroje,
 Wołają męże, rżą konie;
 Już od Iberyjskich krańców,
 W grody Arktura mieszkańców
 Przenosi zgubne zwycięstwo;
 Już.... Lecz wśród północnych śniegów
 Widzę grób dzielnych szeregow:
 Tu się spełniło przeklęctwo.

Surowe Niebo zawiśnie
 Na władcę bojów spójrzało:
 Wnet miecz w dłoni jego pryśnie:
 I cóż z zaborów zostało?
 Do zwalisk wielkiego gmachu
 Zbliżeni w świętym przestraczu,
 Ziemszy się trwożą bogowie:
 A ich pogromca pojmany,
 Wzór płochęj losów przemiany,
 Skończył na dzikim ostrowie.

Jak liść mnogie wojsko było:
 Gdy wiosna lasy zieleńi;
 Wojsko to ziemię okryło,
 Jak liść opadły w jesieni.
 Poszarpane hufców znaki,
 Broń rdzawa, martwe rumaki,
 Trąby, kotły oniemiały;
 Jak śnieg przed słońca obliczem,
 Potęga stała się niczym:
 Wiatr marną rozproszył chwałę.

Znikł przestrach, wionęła trwoga:
 Głównie pogasły niezgody;
 W obliczu Zastępów Boga
 Sojusze sprzęgły narody:
 Duch porządku natchnął Dwory;
 Już mocarze na Sobory
 Spieszą pokojem świat nadać:
 Już znowu na wiernych czele

Pijus w Chrystusa Kościele
Piotrowém berłem jął władać.

Pasterzu! Twa stałość święta,
Mocarzów bronią wzmagana,
Porwała Narodów pęta,
Skruszyła pychę tyrana —
Trzebaż, by w znośniejszej doli,
Świat, co płakał twój niewoli,
Błogim pocieszony miernem,
Nanowo w sierockiej dobie
Łzy rzewne poświęcał Tobie,
Żałobnym okryty kirem!

Korzymy się! za ciężkie grzechy
Niebo nas karą dotknęło,
Zabrawszy źródło pociechy,
Rąk Bożych wzorowe dzieło.
Tę stratę nam przypomina,
Przeszłość, obecna godzina,
Pożne ją lata przypomną,
W hołdzie Wiary, Cnoty, Zgody,
Prześlą Narodóm Narody
Pijusa cześć wiekopomną.

IGNACY SZYDŁOWSKI.

OBRZ MĘDRCA.

BLASK mię nie łudzi bogacza,
Przephych szczęścia nie oznacza;

Gdzie rozum z cnotą przebywa,
Tam jest pomyślność prawdziwa,
A tém droższa, że w tym stanie
Niepodległą jest odmianie.

Mędrzec, będąc żądz swych panem,
Zgadza gust swój z swoim stanem,
Umię użyć darów Nieba,
Umię cierpieć, gdy potrzeba;
Czy los bierze, czyli darzy,
Zawsze idzie pewnym torem
Między cnotą i honorem;
Nigdy z niego nie chce zboczyć,
Woli umrzeć, niż wykroczyć.

Czynić dobrze ma w zwyczaju,
Dla przyjaciół i dla Kraju;
Miłość ich w nim jest bez miary;
A gdy potrzeba ofiary,
Gotów na wszelką przygodę,
Chwałę mając za nagrodę.

CYPRYAN GODEBSKI.

ODA NA HIPOKRYZYĄ.

JESLIś stróż wierny Boskiego prawa,
A szczerłość twym duchem włada;
Jeśli tych uczuć serce doznawa,
Co język twój zwykle gada;
Jeśli się wzdrygasz na kłam bezczelny;
Dusza twa niebem zabawna;
Czemuż twa świętość złépku śmiertelny!
Jadem a żółcią zaprawna?

Twa dłoń, ni owęj obrzydlić żmije;
 Lub wrzących jadem padalców,
 Chytre na połów zadzierzgi wije,
 Z nieczystych u rąk swych palców:
 A tak zdradnemi wikłając pęty,
 Na tём chcesz zamysł swój stawić,
 Pełny szalbierstwa, rodzie przeklęty!
 By cnotę lustru pozbawić!

Chytrą hipokryt zdradą zajęty,
 Co z niemowlęcych lat knuje,
 Umie sztucznie krasieć pouęty
 Żółć, którą w ustach swych żuje.
 Mniej cios bolesny sprośnego gadu
 Zranione członki przenika:
 Mniej jaszczur brzydki wyziewa jadu,
 Niż żądło jego języka.

Tak w swych zapędach zbrodniarz niebaczny,
 Nie kładzie złości zawady,
 Sam siebie gębiąc, w zdaniu opaczny,
 Mądrych odmiata porady;
 A niechcąc dzielnej ichże poręki,
 Nieczulszej nad krzemień duszy,
 Na świętej prawdy głos słodko-jęki,
 Uporne zatyka uszy.

Lecz się niedługo przewlecze zdrada,
 Oto Bóg pocisk swój mierzy!
 A za niewinność, co pod nią pada,
 W bezbożną głowę uderzy:

Rozedrze paszczę tych lwów sierszistych,
 Co toczą pieniste kłęby,
 A brodząc ręką w trzewach nieczystych,
 Pokruszy ostre ich zęby.

Ich moc, jak strumień wodą wezbrany,
 Co hucząc z strasznyim łuskotem,
 Toczy zuchwale mętne bałwany,
 Wnet niknie zmacony z błotem.
 Lub jak wosk pęźnie szybkim rozlewem,
 I w niwecz w punkcie niszczeje,
 Gdy go ognistém tlejąc zarzewiem,
 Gorąca blacha rozgrzeje.

Tak czcza ich wielkość, co się nadyma,
 Zniknie z ich myślą szkaradną,
 Tak sprawiedliwość górę otrzyma,
 Ślady przewrotnych zapadną.
 Darmo się będzie złośliuk zuchwał
 Przechwalać, chytrze uszkodzić,
 Skruszone w ostrzu, nie zmogą strzały
 W piersi niewinnych ugodzić!

Tak ich odziemki, wprzód pełne buty,
 Nim się w gałązki rozwinią,
 Same (natury podle wyrzuty)
 W mętnych ciemnościach zaginą.
 A raz skazani przez wyrok srogi,
 Na oddział od światła wieczny,
 Nie śmieją, jak ów ptak smutno-wrogi,
 Patrzeć na promień słoneczny.

A więc gdy zbrodniarz hańbą okryty,
 W liczbie zgnępanych usiedzie:
 Człek prawy szczęsnej roskoszy syty,
 Wesół uśmiewać się będzie.
 I chociaż k niemu, ni gniew zawzięty,
 Ni zemsta podżegnie dzika,
 Przecież wygładzi ród ten przeklęty,
 Ręce w krwi spłócze grzesznika.

I rzeczy w dzień ów od Boga mściwy,
 I na występnych zatrąę:
 „Ma swą nagrodą niesprawiedliwy,
 „Ma cnota swoją zapłatę.
 „Bóg tylko jeden wiecznie rozumny,
 „Potęgą ramienia swego,
 „Niszczy zuchwały zbył zamysł dumny;
 „I strąca w przepaść pysznego.”

z RUSSEAU,

przekładał X. ALEXY KOTIŁYŃSKI.

O CZŁOWIEKU.

WYIĄTEK Z HARMONII ŚWIĘTYCH.

Rodzi się — i wnet okiem świat ogarnął cały.
 Żywioły każda jego podbiła potrzeba,
 Dla niego rośnie zboże, dlań wody rozlały,
 I ogień, ten syn słońca, zstąpił z sklepień Nieba.
 Czucie wnętrznę słałości moc jego stanowi.
 Strachem go owad razi, co się w piasku toczy.
 Lecz berło się dostało świata rozumowi,
 Człek z człowiekiem, a ziemia z królem się jednocy.

Spogląda — i blask dzienny zatrzymał spójrzaniem.
 Myśli — i świat się w jego wyobraźni rodzi;
 Mówi — i wnet dźwięk głosu, jak światła promieniem,
 W wiernych rysach do duszy drugiego przechodzi.

Utworzył zmysły, których Bóg mu nie powierzył,
 Ujął w jarzmo burzliwy wiatr na oceanie;
 Śmierć posyła do celu, który sam zamierzył;
 I szkłem zgłębił bezdenne, niebieskie otchłanie.

Pisze — i pędem wichru leci myśl daleka,
 Która w dalekich krajach odżywa, i gości;
 I dusza niewidzialna widomie ucieka,
 Jak przeszłość dla nauki przemawia przyszłości.

Dźwignął miasta, te gniazda nieśmiertelnych rodów,
 I mądrymi prawami nadał im byt nowy,
 Które są jak kolumny wiekuiste grodów,
 Na których gmach społecznej wspiera się budowy.

Wreszcie, całe podbiwszy przyrodzenie, wzdycha...
 Szlachetniejszej nagrody mami się ponętą.
 Uczuł czczość swego serca, obmierza mu pycha,
 I żeby zrównał Bogom, cnotę poznał świętą.

Z uśmiechem życie swoje poświęca w ofierze;
 Porucza siebie Bogu, którego byt czuje;
 Występny ma zgryzotę, która pomstę bierze,
 Cnotliwy głos wewnętrzny, co mu poklaskuje.

Wyższy nad los, nad samo większy przyrodzenie;
 Syty potrzeb, choć nigdy chęć jego nie syta,
 Dusza niesytém okiem mierzy przeznaczenie,
 Którém aż za granicą grobu jeszcze czyta.

Potrzeba mu nadziei, chwały, panowania,
Przyszłości dla imienia, Ołtarzów dla Wiary,
Prawdy, żeby w nie wierzył, Bogów dla błagania,
Nieba dla swej nagrody, i piekieł dla kary.

Lecz znużonemu życiem, czas starczyć nie może,
Coraz wyższy horyzont zbliża się do końca;
Zuika żywot, jak schnące zwolna wody łożę,
I ostatni już promień przyświeca mu słońca.

Patrz na niego przy zgonie .. gotowy już płynąć
I mierząc okiem morze, choć przestrzeń daleka,
Majtek pewny, że musi do portu zawinąć,
Spokojniej na pomyślny dla się wiatr nie czeka.

Rzekłbyś, że za granicą ziemskiego żywota,
Promień nieśmiertelności przyświeca mu jasnie,
Wieczność mu się otwiera, poprzedza go cnota,
pewien przebudzenia przy dnia schyłku zaśnie.

I gwiazdy dość czystego nie mają promienia,
Nieskończoność dość miejsca w niezmiernym bycie,
I lata dość długiego w wieczności istnienia,
Dla duszy tego — który był prochem stworzenia,
I którego dniem tylko było całe życie!...

Z LAMARTINA,
przełożył St. ROSOŁOWSKI.

DO OBYWATELA.

Trę boską lutnią ilekroć mam w rękę,
Ćnocie hołd oddać, moim zawsze celem:

Jakże mi słodko, czystego jej dźwięku
Przed tobą użyć, przed Obywatelem!

Któż Obywatel? ten, co swemi trudy
Wspiera los braci, choć przeciwność bije,
Któremu wdzięczni rzekną bez obłudy:
„Niech żyje wiecznie, bo dla nas on żyje!“

Który, jak drzewo wśród burzy otuli
Skupioną trzodę swych liści ramieniem;
Biegną, śpiewając, tam pasterze czuli:
Cieszymy się pod tym dobroczynnym cieniem!

.....

Żądzóm podłości raz popuścić liców,
Stęka kraj nędzny, upadają miasta:
Widać chwast lichy, co ż żalem dziedziców,
Na gruzach wielkiej budowy porasta.

Daremuie cnota, tór podając chwały,
Roznieci światło, i ogniem zapali:
Potrzeba nie głową ród zapamiętały:
„Niech ginie wszystko, byleby my cali!“

Za nic im przykład i ów zapal święty,
Co swoją widzi nagrodę wśród Nieba:
Gdzie ziarna sypią, gdzie nalepią nęty,
Ślepa na zgubę pędzi ich potrzeba.

Tak orzeł w górę bystry lot pośpiesza,
Kiedy słoneczna twarz jemu zaświeci:
Zdziwi się ptastwa poziomego rzesza;
Ale nikt za nim ku słońcu nie leci!

KNIAŻENIN.

O POCHWAŁACH.

Chwalić męża prawego, co godzien pochwały,
Jest to hołd winny dawać przymiotom i cnocie.
Nie idzie drogą pochlebstw człowiek doskonały,
Widzi świetny blask szychu, lecz zna się na złocie.
Chęć zysku błahych myśli na nim nie wymodli,
Ta chwalcę upokarza, chwalonego podli.

Nie dla próżnych okrzyków działa wielka dusza,
Sama sobie nagrodą: o fraszki nie stoi,
Umysł gminu poziomy okazałość wzrusza,
Kupuje wielbicieli, kto się prawdy boi.
Chwała kunsztem nabyta wieków nie oszuka,
Dobrym korzystać, złym hańba, a miernym nauka.

Wielkich stopnie dostojęństw nie są próbą cnoty,
Częściej ta w najpodlejszym mieszkaniu się kryje:
Miejsce sławy, rozumu, posiadał kruszec złoty,
Wyszła z mody poczciwość, chytrą świat żyje.
Nie nasze, co los szczęsnym przysposobił datkiem,
Cnota treścią człowieka, a reszta przypadkiem.

Mylna roznosicielka dzieł tylko pozornych,
Za mniemanem, nie prawdą, sława się unosi:
Wielbią pióra sprzedajne tyranów niesfornych,
Okrzyk gminu podłego szczęście tylko głosi:
Błądny w swoich wyrokach, żądzą uprzedzony,
Potępił Sokratesów, uwielbiał Nerony.

Gardzi czczemi pozory i gminu odgłosem
Ten, którego poczciwość jest nienaruszona:

Nie w ludzkiej jest to mocy dysponować losem;
Walczy on zawsze z cnotą, lecz jej nie pokona.
Prawe chęci nadwąta fatalnym przymusem:
Rzym świetny za Augusta, zgorzał pod Tytusem.

KRASICKI.

ODA DO KAROLA LIPIŃSKIEGO.

Skoro luby Maj zakwita,
Złoty się ranek zaśmiej,
Perłami rosy ułwita
Wiosna swe wdzięki rozleje.

Jak miłe to ranka tchuienie,
To słowiczych głosów drżenie
I te łagodne wietrzyków powiewy;
Ach! miłsze są tysiąc razy
Miłsze nad wyrazy
Lipiński twe śpiewy!

Ktoś jest? jakie szczęśliwe wydały cię kraje?
Jakie bóstwo swe berło złożyło ci w rękę?
Po twój duszy, uczuciach, rodaka poznaję,
Anioła po czarownym twojej muzy wdzięku.

Gdy w brzmiając uderzysz stróny,
Słodko się hoża niewinność odzywa,
Już cicho, czule boleść jęczy tkliwa,
To grobowe huczą głosy,
To gniewne grożą niebiosy,
To lew ponury,
To szumne chmury,
I grzmiące warczą pioruny.

Słyszałem cię Lipiński, Europa słyszała,
 I zawiść cię zjadłemi nie sięgła pociski;
 Słabych tylko uderza ta potwora śmiała,
 Jak noc, która pochłania mdłe i słabe błyski;
 Lecz słońce świetne pokazuje czoło,
 Rozlewa jasność w około
 I od jednego promyka
 Noc znika.

Nie! ty nie masz oziębłych, zazdrośnych twój sławie!
 Ginie zimna nieczułość w lubej stron twych wrzawie,
 Jak w oku orła, którego lot śmiały
 Olbrzymie przesadza skały
 I górne siecze obłoki,
 Gmach się natury zaciemia,
 Ginie grzbiet Alpów wysoki,
 Gubi się ziemia,
 Ginie świat cały.

Prosty, skromny, pełen duszy,
 On pieści, łechce, porywa,
 Któż się z ludzi nie poruszy,
 Gdy cicha skromność zaśpiewa?
 Słuchajcie go poeci, jak w urok bogaty,
 Anielską słodycz rozlewa!
 Gdy wytacza powabnych wrzących pieśnyczot zdrojeł
 Tak wrą srebrnych muszek roje,
 W złotym jesieni wieczorze:
 Znajdziecie nowe dla swych natchnień światy,
 Nowe dla bujnej wyobraźni morze,
 I w świeższe lutnią przystroicie kwiaty.

Toną w sercach jego brzmienia,
 Jak toną smutne westchnienia,
 Jak toną żyzy udręczenia
 W uśmiechu lubej kochanki,
 Żądane jak cienie latu,
 Jak rosa zwiędłemu kwiata,
 Co zdobi dziewicze wianki.

Wy bez czucia i bez duszy,
 Oddani sobie i zbioróm,
 Podobni głazóm, potworóm,
 Których żaden wdzięk nie wzruszy
 I z zimnych snów nie obudzi,
 Zbliźcie się! niech wam zanóci,
 Niech wasze serca ocuci,
 Niech wam martwą krew rozleje,
 Niech w was iskrę duszy wleje,
 Niech was przerobi na ludzi!..

Lipiński! tyle działa twoja boska sztuka,
 Że cię równie szczęśliwy, jak nieszczęśny szuka,
 Nie chwalić cię, lecz słuchać, zachwycać się trzeba.
 Temu przesyłasz uśmiech, gdy mu roskosz głosisz,
 I szczęściu jego nowe pokazując nieba,
 Na skrzydłach brzmień twych lotnych umysł jego wznosisz.
 Temu słodzisz nieszczęście, rozpędzasz trosk zgraje,
 Ten wzbudza swe pamiętki i żyzy roni zcicha,
 Gdy głos lubej straconej, w twym głosie poznaje;
 Lub w niemém zapomnieniu swobodnie oddycha.

Drogi i chlubny zaszczyćcie!
 Wdzięcznego tobie rodaka,

Ty wślawisz ziemię, w której wzięteś życie,

Ty wślawisz imię Polaka!

Jakież ci ziomku złożym dziękczynienia?

Roje okłasków? to dla ciebie mało,

Lecz serca nasze, zapał, uwielbienia,

To Twą nagrodą, to twoją pochwałą.

Fr. KOWALSKI.

DO KATARZYNY Z KRASICKICH STADNICKIEJ.

O! Matko dobra! co za dawnym wiekiem

Idziesz, choć jesteś i młoda i ładna:

Co znasz, iż płód twój przecież jest człowiekiem,

A w oczach naszych zbyt rzadko przykładna,

Żono pocziwa, rozumna i miła!

Smiesz sama karmić to, coś urodziła.

Taj się, bo cnota teraz pośmiewiskiem,

Taj się, bo dobrą już się być nie godzi:

Tak wiek, nie rzeczą światły, lecz nazwiskiem,

Nad dawną cnotą zuchwale przewodzi:

I gdy przepisy wiecznotrwałe maże,

Śmie sztydzić z tego, co Natura każe.

Pod Jagiełłami, Wazami i Piastą,

Pocziwa dzikość rozrządzała domy:

Lepiej, niż damą, było być niewiaścą.

Nasz wiek syt w zbytki, w istocie poziomy,

Zrządził, iż zniósłszy dawne grubiaństwo,

Utraciliśmy i cnotę i państwo.

Płci wdzięczna! kiedy mężka tak odrodna,

Dawaj przykłady, zawstydz, wzbudź ośpałych.

Płci wdzięczna! stań się uwielbienia godna,

Rodź, karm, pielęgnuj, w umyśle wspaniałych.

Zgładzi wiek przyszyły, co dzisiejszy szpeci,

Z pocziwych matek, dobre będą dzieci.

KRASICKI.

DO IZABELLI KSIĘŻNIEJ CZARTORYSKIEJ,

POSYŁAJĄC NIEWIDOMEGO.

Do Twoich progów, Księżna litościwa!

Do tej zwyczajnej nieszczęścia zachrony,

Z zgaszonym wzrokiem, nocą otoczony,

Smutny młodzieniec przybywa.

Usłyszał zdala te głosy wdzięczności,

Z którymi nędza z Twych progów odchodzi,

Taż sama nędza, ten sam Bóg litości,

I jego także przywodzi.

Wszystko mu razem wydarł los zazdrośny,

I okrył chmurą nieprzejranych cieni,

Ach, wszystkie kwiaty pięknej życia wiosny,

Powlekł mu smutkiem jesieni.

Nieszczęsny! już mu w tej nocy wieczystej,

Nigdy i nigdy słońce nie zabłyśnie;

Nie ujrzy nawet i tej lzy tak czystej,

Którą z twych oczu wycisnie.

MÓRAWSKI.

DO PANI ELŻBIETY Z KSIĄŻĄT PONIATOWSKICH
BRANICKIÉJ KASZTEL. KRAKOW. H. W. K.

W DZIEŃ JEJ IMIENIN.

O B R A Z C N O T Y.

SKROMNIE odziana, z składu samej twarzy,
Z postaci całej szanować ją trzeba;
Mieszkaniem swoim padół ziemski darzy,
Ale jest córką szczęśliwego Nieba.

Zazdrość, czy potwarz oczy na nią zwróci,
Zazdrość, czy potwarz nie jej nie zaszkodzi;
Słodkie spójrzenie z ich pozorem skłóci,
Tak jad śmiertelny ich oczu łagodzi.

Na wierzchu góry mieszkanie zakłada,
Jeszcze ją w koło broni mur potężny;
Gdzie przy jej nogach nikczemuie upada
Zuchwałych losów pocisk niedołączy.

Tam lubi mieszkać, że i Niebo bliżej;
I z swojej góry widzi padół ziemny;
Jak na nim pycha daleko się szczyty,
Jak jej bez cnoty zabieg nadaremny.

Schodzi i na dół często nieżądana
Od ludzi, dla nich zstąpiwszy na ziemię.
Chociaż gardzona i przesławiana,
Świątym uporem lubi człeczce plemię.

Jak słońce, gdy się zza chmury dobędzie,
Rój pszczoł roboczych ku niemu wzlatuje;
Tak nędza pierwsza szukając jej wszędzie,
Pospolicie ją najpierw zdybuje.

Tym łązy ociera, tym zawija rany,
Aż się ukoj boleść niecierpliwa:
Tym swoją ręką chleb łamie żądany,
Chleb posilniejszym bywa.

Łudziéj nawaleń lasu zagłuszona,
Nędzna roślina ledwie że się czuje;
Ona jej słabe podnosi ramiona,
I ożywnemu słońcu pokazuje.

Na nią pomniawszy człek przesławowany,
Nieszczęścia swoje swym statkiem przemoże;
Niewinnym dźwigać pomaga kajdany,
I wygodniejszém robi nędzy łoże.

Dzieci jej, żywioł szanuje surowy:
Z władzą nakaże zapalonéj chimrze:
„Tak chce Pan gromu, nie tykaj téj głowy.“
U nóg padł piorun, bokiéj poszły burze!

W pośrodku nocy, gdy bogacz łakomy,
Słab swój ogląda, sobie go wychwala;
Lubieżnik wszedłszy w swych miłostek domy,
Kradzionym ogniem płonie i zapala.

Wtenczas, na łonie cnoty człowiek prawy,
Spokojnie zasnął, we śnie się uśmiecha:
Bo mu się marzą niewinne zabawy;
I rokosz z cnotą, do której śpiąc wzdycha.

Pani! imienin twoich przypomnienie,
Przypomniało mi razem obraz cnoty.
Nie masz w nim sztuki, tylko dobre chcenie;
Lepiej go twoje malują przymioty.

KARPINSKI.

NIEWINNOŚĆ.

WIDZIAŁEM we śnie niewinność,
Nad śniegi bielszą się zdała:
Wiek jej był sama dziecinność,
Kwiatki po łąkach zbierała.

Spokojność czoło zdobiła,
Śmiech z jej żartował ustami;
Czasem piosenki nuciła,
Czasem klaskała rękami.

W prostém, lecz czystém odzieniu,
Miała na głowie swój wieniec,
Przy skromném na świat spojrzaniu,
Często wydała rumieniec.

Gołąbek czynił przeloty,
Węże się przed nią łąsiły,
Pszczółki miód niosły z ochoty,
Wszystkie swe żądła traciły.

Nikt się nie ważył przybliżyć:
Tylko się działki zbierały;
Próżno tam chciałem słuch zniżyć,
Dzieci słów jeszcze nie miały.

W tej chwili budzę się, myślę,
Czy też z nią kiedy igrałem:
Co zmogła pamięć, to kryślę,
Ale jej nie przypomniałem.

JAN ONOSZKO.

MATKA DO CÓRKI.

SMIAŁO Maryniu, córko ulubiona!
Oto jest ciężar, a ty masz ramiona.
Widzisz tę górę? po niej ostra ścieżka,
Na samym wierzchu trwałe szczęście mieszka!

Wszystko zostaw tu na dole,
Spiesz się do góry,
Tam łagodzi nasze bole
Niebo bez chmury.

KARPINSKI.

DO MŁODEJ PANIENKI.

TEKŁO! nauka potrzebna młodemu!
Kto ufał wdziękóm i wiekowi swemu,
Jak się cokolwiek schylił do wieczora,
Zwyczajnie płakał na zdradliwe wczora.

Ale ten, który w czasie swój młodości
Potrzebnych jakich nabył wiadomości,
Niemi, na różne uzbrojony ciosy,
I wieku przykróść ugłascze i losy.

Jak się pachnące nazywają wody,
Jakie z Paryża wywieziono mody,
Jak trefią włosy, jak się pierś odkrywa;
Nie to się, nie to, ćwiczeniem nazywa!

Znaj twego BOGA, twego BOGA, który
Na wszystkie twoje sprawy patrzy z góry!
Bądź Jemu wierną, bliźniemu i sobie;
Nie mów o nikim, nie będą o tobie.

I choć masz cnoty, myśl jakbyś nie miała;
Bo na tém cnota zasadza się cała.
Po takiem serca twojego ćwiczeniu,
Pomyśl o głowy twój doskonaleniu.

Nie czytaj tych ksiąg, z których gadać śmieje,
Ale te, z których robić można wiele.
I to, co teraz za pogardę wzięli!
Nie wstydz się czasem usiąść do kądzieli.

Szczęśliwe twoje babki tak myślały,
Szczęśliwym zięciom cne żony dawały!
Dzisiaj w tém wielki widać niedostatek,
W małżeństwach mało mamy żon i matek!

KARPINSKI.

DO MŁODZIEZY.

Czas w rączym biegu upływa:
Wszystko wraz z sobą porywa,
I lubej młodości chwile,
Jego się nie oprą sile.
Jak róża, gdy się rozwinie,
Wkrótce więdnije i ginie;
Tak z wdzięków do niej podobna,
Przemija młodość nadobna.

Korzystaj więc luba młodzi,
Z czasu, co rychło uchodzi;
Dni wieku twojego złote,
Zbogać w naukę i cnotę.

Co zdołasz zasiać szczęśliwie,
Na serca, rozumu niwie,
Póki się wiosna nie zmieni;
To w późnej zbierzesz jesieni.

Gdy styrasz młodość twą marnie,
Żal cię niewczesny ogarnie.
Przykry smutek przyjdzie z laty,
Lecz już nie nagrodzisz straty.

Korzystaj więc luba młodzi,
Z czasu, co rychło uchodzi;
Dni wieku twojego złote,
Zbogać w naukę i cnotę.

A. MOSZYŃSKI Pijar.

NAUKI I SZTUKI PIĘKNE.

WYJĄTEK Z POEMATU ZIEMIANSTWO.

WRÓCISZ-LI w ścian domowych milczące ustronie?
Miliej i użyteczniej spocznieś na Muz łonie.
Niech cię swoim urokiem zajmą piękne sztuki,
Niech dni wiejskich swobodę uwdzięczą nauki.
W jakimże one miejscu serca nie unoszą;
I jakaż rokosz dla nich jest obca rokoszą?
Ten, co się im poświęcił, najszczęśliwszy z ludzi,
Usypia na ich rękę, i dla nich się budzi.
Co mówię? gdy snem poi wszystkich noc głęboka,
Lampa mu natchnicielka nie da zmrzyć oka.
Nauki życie całe słodzą mu koleją,
Młodych lat są kochaniem, podeszłych nadzieją.

Pomyślności ozdobą, pociechą w niedoli,
Towarzyszą w podróżach, w urzędach, na roli,
Bezludność pustyni samych sprawują mu lubą:
One jego skarbami, one jego chlubą.

Biada wam zimne serca i umysły twarde,
Które wśród szczęścia Muzóm czuć dajecie wzgardę!
One nawzajem waszą nietkniętą niedolą,
Całą wam jej okropność wyczerpnąć dozwolą;
Lecz nad przyjaciół swoich litują się nędzą,
Wdzięczne ich przywiązania wsparcia im nie szczędzą.
z DELILA,
przekładał A. FELINSKI.

RYMOTWORSTWO.

z PIEŚNI V. O IMAGINACII.

Rymotworstwo nakoniec, kiedy pieści uszy,
Cudowną wlewa roskosz do serca i duszy;
W górnym bujając locie, władzę swą rozszerza
Nad gmachami mocarzów, nad strzechą pastérza.
Tak bóg światła, gdy w złotym puszcza się rydwanie,
Całą garnie Naturę pod swe panowanie,
I rześzystych promieni sieją blask bogaty,
Ubarwia góry, pola, motyle i kwiaty.
Kunuszcie boski, a dla mnie od dzieciństwa luby!
Pozwól, niech ci wdzięcznego serca złożę śluby!
Człowiek, kiedy go twoja opieka poświęci,
Śmieje się z nocy wieków, z rzeki niepamięci;
Imię jego, i popiół na wieki nie zginie;
Niczem jest złota rószczka przy wieszczym wawrzynie;

Morwa Miliona stoi dotychczas nietknięta;
Rówienniczka Poety, równie jak on święta,
Ty młodość wstrzymać umiesz w zapale burzliwym,
Ty i starość pocieszasz twojem pieniem kłiwem.
Kiedy ojczyzna moja w nieszczęście była toni,
Ja z tobą do przyjaznej przyjęty ustroni,
Szczęśliwszy niżli Orfeję, co kiedy zanócił,
Dziki zwierzę zwykłe w jamach łożyska porzucił,
Nóciłem; a złość, duma z chciwością nikczemną,
Te najdziksze poczwary ucieliły przede mną.

z DELILA,
przekładał TAD. MATUSZEWIC.

O POEZYL.

ZE SZTUKI RYMOTWORCZÉJ.

Nim mądrość cudotworną narzędziem wymowy,
Ułagodziła rodu ludzkiego narowy;
Pierwsi ludzie zwierzęcym trybem życie wiedli,
Błąkając się po lasach grubą żołądź jedli;
Nie znali chytrych wpuszczać matni w szklanne wody,
Samorodnemi tylko żywili się płody.
Nie było tego słowa: to moje, to twoje;
Moc była wszystkich prawem; ztąd straszne zaboje,
Ztąd i bitwy i gwałty działy się bezkarnie,
A ludzie bez obrony gubili się marnie;
Lecz skoro głośna lutnia miodowymi stróny
Nawiąawszy, słodkimi dźwięk wydała tony,
Nikła dzikość, poczęły serca się łagodzić,
Nie chcieli więcej ludzie ze zwierzęty chodzić,

Państw. Seminarjum
im. ZYGmunTA-AUGUSTA
w Białymstoku

Gromadzili się wzajem; a ręce pracowne
 Dźwignęły pyszne miasta i zamki warowne;
 Swawola kar postrachem była uskromiona,
 I niewinność bezpieczna pod prawa zasłona.
 Za takie dobrodziejstwa wszędyś wzięta była,
 Tobie Grecya wdzięczna ołtarze stawiała,
 Wszędyś czczoną: nie było tak twardego ducha,
 Coby na wdzięki twoje nie chciał skłonić ucha:
 Lgnęli wszyscy na silne twych pieśni pochopy,
 I zwierzchni światła ludzie i przeciwko-stopy.
 A ten swoje w potomne wieki podał imię,
 Któregoś cnoty w pięknym wystawiła rymie.

Fr. X. A. Dmóchowski.

WYJĄTEK Z WIERSZA

O SZTUCE RYMOTWORCZEJ.

GŁÓWNYM celem poetów nauczać lub bawić,
 Lub razem i pożytek i przyjemność sprawić.
 Zróżdłem sztuki pisania jest rozsądek zdrowy.
 Dzieła uczniów Sokrata dostarczą osnowy;
 Ta dokładnie obrana, łatwo się wysłowi,
 Kto zna, co przyjaciółm, co winien krajowi.
 Jak trzeba kochać braci, jak rodziców, gości?
 Jakie są senatorów, sędziów powinności?
 Jakie wodza, co niesie miecz na wrogów mściwy?
 Ten każdemu charakter naznaczy właściwy.
 Niech pisarz zważa ludzi życie, obyczaje,
 Niech je kręśli i żywe ich obrazy daje.

Czasem powieść moralna, krępująca nauki,
 Bez wyszukanych ozdób, bez mocy i sztuki,
 Dzielniej lud bawi, miłsze sprawuje wrażenie,
 Niż wiersze w rzecz ubogie, i czcze fraszek brzmienie.

z HORACEGO,

przekład Ks. A. Mószyńskiego.

W I O S N A.

NIECH lato kopy liczy, niech jesień winnice
 Uprząta, i przestronne napełnia piwnice:
 Bachusowemi niech się zima mięsopusty
 Szczyci, w które pozwala cnej młodzi rozpusty.

Wiosna wszystkiemu czołem: ona śniegi zbiera,
 I na przemarzłej ziemi ona rozpościéra
 Różnych kwiatów szpalery: taje lód żałosny,
 Gdy mu gwałtem dogrzewa lubej ciepło wiosny.

Z ujeżdżonego grzbietu Wisła zrzuca lody,
 I wszelkie w dalszej nie chcą żyć niewoli wody.
 Pogodne dui oświeca z ciepłem jasne słońce,
 A ziemia śnieżnej zbywa, jak przez gwałt, oponce.

Ustały zawieruchy: na to miejsce goni
 Uciekające austry z Zefirem Fawoni:
 Przy których Etezye, jak i Kaurus wieje,
 Aż wszelki rodzaj kwiatów w ogrodach się śmieje.

Twa ręka, panno piękna, niechaj nie mitręży,
 Niech ci z prędką nagrodą ta praca nie cięży.
 Wiosna każe, bierz krzaki z piwnie rozmarynu,
 Lubo są obumarłe, nieś je do dziardynu.

Gdzie jak prędko ożyją z wiosennej wilgoci,
 Wieńcem twój głowie będą pamiętne dobroci:
 Toż pachnąca lawenda, tulipan, fiołki,
 W różnobarbne upstrzyważy kolory wierzchołki.

Narcyssy, hiacynty i heliotropy,
 Tuż za biegiem słonecznym postępując w tropy:
 Tu swój błęduje lilia białością natury,
 Tam się róża czerwieni rumieńcem purpury.

W drugim krzaku zaś biała, na słoneczne przyjscie,
 Przyjemną czyniąc wonię, swe rozwija liście.
 Zefiry powiewają, woda bieząc mruczy,
 To wszystko, piękna dziewczko, niechaj cię nauczy:

Jako masz kwitnącego dziś zażywać wieku,
 Który raz utracony, nie wróci się człeku.
 Wiosna, młodość, uroda, w nieścignionej łożdzi,
 Byстрым Dunajca nurtem płynie i uchodzi.

Róża prędko opadnie, jesień kwiatkóm szkodzi,
 Które zaś przyszła wiosna powtórnie odmłodzi:
 Człowiek w następującej dalszych lat jesieni,
 Drugi raz nie odmłodzić, ani się zieleni.

Przeto kwitnącej pory lat twych zażyj snadnie:
 Już się ten kwiat nie młodzi, kiedy raz opadnie.

WESPAZYAN KOCHOWSKI.

W I O S N A.

MAJ piękne rozwinął chwile,
 Tęskne okno uchylilem;
 Skrzydłem wietrzyk buja miłém,
 A za nim lecą motyle.

Wolny promień złoci ściany,
 Już liścia zima nie więzi;
 Już z uwieńczonej gałęzi
 Cień schodzi rozkołysany.

Wiosna Natury swobodą;
 Z niej życie, z niej radość płynie;
 Ona pragnące naczynie
 Jesienną poi jagodą.

Swoboda wiosną śmiertelnych
 Rozwija bluszcze, wawrzyny;
 Wieńczy niemi dzielne czyny,
 I wiedzie do czynów dzielnych.

Budzi chwałę starożytną,
 Co spała w ponuręj ziemie;
 Brzmi lube radości imie,
 I szczęściem Narody kwitną.

Gdzie się kończy głos Natury,
 Tam duszę swoboda wlewa;
 Idą za Orfejem drzewa,
 Mówią płytą i marmury.

Od niej skrzydeł myśl nabyła,
 Leje w światłe nauk kraje;
 Mądrości jutrzeńka wstaje;
 Wita ją piękność i siła.

Tak orzeł z ręki Natury,
 Gdy pióra odbierze śmiało;
 Opuszcza poziomą skałę,
 I zdziwione ściga chmury...

K. TYMOWSKI.

OPIS PORANKU I WSCHODU SŁONCA.

Już zabłysła różami uwieniczona zorza,
 Oświeca góry, lasy i dalekie morza.
 Witaj, witaj Bogini, wzniesł pogodne czoło,
 I twe złote promienie rozlewaj w około;
 Rozlewaj twoje wonie, balsamiczne rosy,
 Na kwiaty, na rośliny, na spragnione kłosa,
 Obudź całą Naturę, zbudź wszystkie stworzenia,
 Niech pierwszym głosem będzie, głos ich dziękczynienia.

Lecz już z słońcem na czele, w całym blasku chwały,
 Na tronie gorejącym zapadł dzień dojrzały,
 Obfite światła rzeki z jego szat się leją,
 Spójrzał, a ziemie, morza i Nieba jaśnieją.
 Wzrok jego w jednej chwili sto krain przelata,
 Jest razem życiem, duszą i malarzem świata.
 Widzę w nim obraz Boga potęgi i chwały,
 Jak On; jest dobroczynny, jak On, jest wspinały.

Fr. MORAŃSKI.

HYMN DO SŁONCA.

WITAJ Monarcho świecących się światów,
 Witaj na niebios uroczystém łonie!
 Pod tobą złote rozlewa się błonie,
 Za tobą cieką strumienie szkarłatów.
 Gdzie stąpisz, duchy z rozkazu Jehowy
 Niosą twe berło i tron bursztynowy.

Skoro wschodowi złote przypniesz skrzydła,
 I skroń podniesiesz z bogatą koroną:
 Świat ukrzepiony targa nocy siłą,
 Sen spycha z oczu i duch bierze w łono;
 Firmament lica smutne wypogadza,
 Ocean groźne wody ułagadza.

Jeleń twym blaskiem bieży złocić rogi,
 Wąż zimne piersi na szczyt niesie drzewa,
 Delfin perłowe na dnie rzuca drogi,
 Orzeł piórami w obłoki powiewa,
 Ziemia zielona białe śpija rosy,
 Grają barwami opalu Niebiosy.

Wszystko ożyło: król świata zawitał,
 Jego świataniem każdy twór zaświtał,
 Niebios muzyką drży śmiertelnych dusza,
 Zda się myśl jedna, świeża, światem wzrusza;
 Ale te hymny dziękczynne po globie,
 Komu brzmią słońce, czy PANU, czy tobie?

OLIZAROWSKI.

USTĘP O SŁOŃCU I ŚMIERĆ CEZARA.

WYJĄTEK Z KSIĘGI I. *GEORGIKÓW*.

To też, gdy słońce wschodzi, i Olimp przebieży,
 Najszczególniej w pamięci zachować należy:
 Że, gdy z różnych farb, w twarzy blask mniej przezroczysty
 Miewa, modry dęszcz znaczy; a Eury, ognisty.
 Gdy zaś błyskotny ogień zmiesza się z odmianą,
 Ujrysz wtedy, jako dżdże i wiatry powstaną.
 Nikt mię tej nocy płynąć na morze nie zagni,
 Ni z lądu rwać kotwicę, i wziąć się do żagli.
 Lecz gdy słońce i niesie, i zeszyły odwoździ
 Dzień w czystym świetle, próżno dęszcz ciebie obchodzi:
 Ujrysz miotane jasnym Akwilonem bory.
 Nareszcie, co nam późne przyniosą wieczory,
 Z których stron wiatr pogodne obłoki sprowadzi,
 Co duma Auster mokry, słońce ci zaradzi.
 Któż się odważy słońce fałszywem nazywać?
 Słońce następne zwykło zamieszki odkrywać,
 Zdrady i wojny skryte: słońce się smuciło
 Z losu Rzymskiego, kiedy twarz swoją okryło
 Okropnym kirem, na zgon Cezara zbyt tkliwy,
 Lękał się wiecznej nocy, wiek ów niecnotliwy,
 Acz wtedy, ziemia o tém i morze, i ptaki,
 I psy złowrogie, smutne dawały oznaki.
 Ileż widzieliśmy Cyklopów skaliste
 Grunta złane, gdy Etna, kule płomieniste
 Buchając z siebie, a swych pieców łamiąc stropy,
 Ciskała z dna kamieni płynących roztopy,
 Germany szczęk oręża w powietrzu słyszały,
 Góry Alpy niezwykłym wstrząśnieniem zadrżały,

Głos ryczał w głuchych puszczach, a brzydkiej szkarady,
 W noc ciemną dziwnych poczwarał snuł się poczet blady;
 Rzeki w pędzie stanęły, i (dziwne widziadła)
 Wół gadał głosem ludzkim, ziemia się rozpadła,
 Posąg w świątyniach płakał z słońcia kości ryty,
 A miedź rznięta od smutku pot łała obfity.
 Zatopił lasy, kręcąc szalejące wody
 Król rzek dumny Erydan, a stajnie i trzody
 Zaniósł na przestwór pola: często groźne żyły
 Bydłęcych trzewów, smutne nieszczęścia wróżyły;
 Krynice krwią płynęły: a wyciem gromady
 Wilków nocnych, brzmiały miast rozległe osady;
 Nigdy więcej w dni jasne grom bełtów nie ciskał,
 Ni tylekroć Kometa krwawym światłem błyskał;
 Ztąd więc Filipskie grunta powtórnie widziały,
 Jako się hufce Rzymian wzajem wyrzynały;
 Ztąd, nie niegodną ta rzecz bogóm się byźdź zdała,
 By dwakroć Emalia krwią się naszą zlała
 I pole Hemu... Przyjdzie czas, że na tej ziemi,
 W krajach tych orząc kiedyś kmieć pługi krzywemi,
 Z bródz rolnych grot wyrwie rdzą bezecną zżarty,
 Lub trąci ciężką broną w szyszak nic niewarty,
 A dobywszy z zamierzchłych mogił kruche kości,
 Dziwić się będzie mężów poległych wielkości.

z *WIRGILIUSZA*;przekładał *ALEXANDER KOTIŁOWSKI* Pijar.

WSCHÓD SŁOŃCA W LECIE I JEGO
DOBRODZIEJSTWA DLA NATURY.

WYIĄTEK Z POEMATU *PORY ROKU*.

Oto król dnia wstępuje na wschodnie błękity,
Ustrojony w promieni złotych wieniec lity,
Ucieka chmurek drobnych gromada zuchwała,
A cały lazur niebios żywym ogniem pała;
Strumyk, który złożone kryształ z gór leje,
Wita słońce, i czule do niego się śmieje.
Wszystko, na co się tylko spojrzy, okrąg złoty,
Wraca do swego kształtu i do swej istoty.
Pyszne słońce przechodzi w całej swojej chwale,
Spogląda się na całą Naturę wspaniałe,
I wylewa dzień jasny, którego blask złoty,
Odbija się o skały i o wież błyskoty,
I o strumienie, których szkło szybko ucieka,
A które słodko szumiąc, świecą się zdaleka.

O światło! Źródło pociech, najcelniejsze ciało
Z tych wszystkich, które kiedy Bóstwo utwarzało!
Promieniu od świetności Bóstwa odłamy!
Pyszna szato natury, którą świat odziany!
Bez twojej pięknej twarzy, Naturaby cała,
Grubą nocą okryta, martwa spoczywała.
Słońce! ty duszo światów wiszących nad nami,
Których bieg i porządek, oko ludzkie mami,
Wizerunku twojego Stwórcy doskonały!
Oby me usta godnie śpiewać cię umiały!

W tobie pociągająca siła utajona,
Spokojnie rządzi wirem światów miliona,

Zacząwszy od obwodów Idejskiej bogini,
Która w pięćdziesiąt wiosen, raz swój obieg czyni,
Aż do Merkura, co się w twoje światło włącza,
I kryje się przed okiem natury badacza.
Twórczo planet! bez twojej ożywnej potęgi,
Niekształtnemi bryłami byłyby ich kręgi;
Z tobą odwiecznym trybem idą, życia duchu!
Wszelkie rodzaje istot, w rozciągniętym łańcuchu,
Poczynając od duszy Boskiego obrazu,
Do najnikczemniejszego owadu i ptazu,
Których ród, miliony ma swoich postaci,
A któremi kraj ziemski, twój promień bogaci.
Rocznych pór, ojcze! pod moc twego panowania,
Jeszcze świat żywiołowy głowę swoją skłania!
Pływa w lazurze niebios twarz twoja wesola,
A okazałość tron twój otacza do koła;
I stroi najprzepyszniejszy od brzegu do brzegu,
Cały pas iskrzący się swego równobieg,
Świetnym blaskiem, któremu Natura jest rada.
Tu niezliczona istot czeka cię gromada,
Różnaitego kształtu wszelkie płody ziemi,
Wzywają twój dobroci modłami swojemi,
Albo wdzięczne za łaski, które odebrały,
Niosą ci zwykle pieśni, wdzięczności i chwały;
Gdy za twym wozem złotym w spokojnej czeredzie,
Swe towarzyski każda roku pora wiedzie,
Młodzieńcze z różowemi palcami godziny,
Zefirków najprzyjemniej dychających gminy,
Wolne dęszce, po których zielenieje trawa
Perłową łąką jutrzenki, co kwiaty napawa,

I chmury złagodzone, których czarna sadza,
 Straszy niwę, ale jej niczem nie uszkadza.
 Ten dwór tronu twojego, kolejno wylewa
 Liczny zapach i owoc, na kwiaty i drzewa;
 A twój wzrok, pokrzepiając go mocą promienia,
 W najprzepyszniejszy ogród cały świat zamienia.

Ale nie tu się kończy twoja wielka władza!

Nie samą ona powierzchnię okręgu zapładza,
 Nie cała się wylała z darami swojemi,
 Na pagórki i lasy śliczne włosy ziemi;
 Twój promień ziemnych świata wnętrzości dosięga,
 I w kraju ciemnym kruszców, władnie twa potęga!
 Tu przepyszne marmury mają swoje żyły,
 Dalej drogie narzędzia, co ziemię zbudowały.
 Tam broń połyskująca, i grzmotliwe spiże,
 Co w bojach wyrzucają groty śmierci chyże;
 Owdzie inne bogactwa szlachetniejsze ziemi,
 Które ludzi w pokoju czynią szczęśliwemi,
 I które pierwsze życia sprawują wygody,
 Zwłaszcza ten drogi kruszec, co wiąże narody.
 Twoim ogniem jałowa skała zapłodzona,
 Poczyna drogi kamień wóród dzikiego łona.
 Z twego daru diament czystym ogniem gore,
 I ciska zimnych światła iskry różnowzore,
 A dumny z swej czystości i z świetności swojej,
 Wiedzie spór z okiem pięknej, której łono stroi.
 Za twoich czystych ogniów dobroczynną sprawą,
 Bierze poważny rubin suknią na się krwawą.
 Tyś wylało na szafir te czyste błękity,
 Które niebieskich sklepień malują strop lity;

Topaz żywym goreje ogniem twego wzroku;
 Że się cząstką powietrza zgęstą zdaje oku.
 Ty wsączasz w ametysty purpurowe plamy,
 Z których je od kamieni innych rozróżniamy,
 A z których żywy szkarłat krwawo się czerwieni,
 Jak o czasie zachodu blask twoich promieni.
 Tyś zmaczało szmaragdy w czystej zieloności,
 Której im sama wiosna zdaje się zazdrości.
 Lecz wszystkie twe promienie połączone zgrają,
 W łonie mlecznym opalów przyjemnie igrają;
 Często z nich oddzielona niewielka gromada,
 Za powierzchnią kamienia, najręczniejszą wypada;
 Roni blask, dwój farby, i patrzącym zbliżając,
 Za każdym poruszeniem iskry w oczy ciska.
 Z twojego wpływu martwa odbiera istotą
 Udział jakiegoś czucia, jakiegoś żywota;
 Strumień czysty, co płynie przez lasy błędzące,
 Słodko mruńczy i igra na zielonej łące;
 Szumna trawę, co w nocy przeraża łoskotem,
 Łagodzi wściekłość swoją za twoim powrotem;
 Ponure nawet ścieżki odludnej pustyni,
 Twarz twoja weselszemi i miłszemi czyni.
 Nieforemne ułomki, niekształtne zwaliska,
 Igrają z światłem, które twój krąg na nie ciska,
 A z wierzchołka przyłaski spostrzeżone wały,
 Spokojną powierzchnią mają, skoro cię ujrzały,
 Tocząc się po całego poziomu przestrzeni,
 Świetny blask odbijają twych złotych promieni.
 Lecz to wszystko, co Muza moja w swym zapale
 Mogłaby odmalować, choć niedoskonałe,

Całej nawet Natury najpiękniejsza postać,
 Nigdy twojej piękności nie potrafi sprostać.
 Zródło obfite światła! w którym nam udziela
 Dusza świata łask swoich, życia i wesela!
 Chociażby głos nasz słaby nie śpiewał twój chwały,
 Tweby ją własne dzieła wymownie śpiewały;
 Ojcie powszechny! martwych istot miliony
 Wielbiłyby cię wszędzie, przez głos połączony;
 Zastęp najdzikszych borów brzmiałby twoją chwałą,
 A imię twoje grodów niebieskich sięgało!

z THOMSONA,

przekładał KONST. TYMIENIECKI.

JESIEN I POCZĄTKI ZIMY.

z POR ROKU.

Zkądże ten szum powstaje? te straszne hałasy?
 Pełne ich brzegi morza, doliny i lasy.
 Co za okropny odgłos? przeraźliwe wrzaski?
 To zmieszanie powietrza! żywiołów niesnaski!
 O ty! żyjących matko! i groźna i tkliwa!
 Naturo! ciebie człowiek w tym przestrachu wzywa!
 Jedną ręką nam sypiesz swe obfite dary,
 A drugą zsyłasz klęski, nieszczęścia i kary:
 Uwięziony Boreas potargał łańcuchy,
 I po zaćmioném niebie pędzi swe wydmuchy.
 W górach, w odludnych puszczech, wyjąc nieprzerwanie,
 Przypuszcza krętym wirem szturm po oceanie,
 Grube chmury swą siłą rozrywa i porze,
 Na polach jakby nowe rozlało się morze,

Coraz nawałnych dęszców bystre lecą strugi,
 A potok wód zebranych wpada jeden w drugi.
 Ta powódź szybkim pędem przez łąki, ogrody,
 Na pochyłe niziny niosąc wściekłe wody;
 Topi pożarte szczątki w swém bezdenném łonie,
 Domów, które obali, drzew, które pochłonie.
 Co za napaść okropna na wiejskie zacisze?
 Bojaźliwego ludu krzyk i jęki słyszę.
 Zda się, żeśmy upadkiem świata zagrożeni.
 Dźdźla nie da widzieć słońca ożywnych promieni,
 I ten wodnisty żywioł, swą siłą zuchwałą,
 Rozpostarł panowanie nad Naturą całą.
 O straszna nawałniço! wstrzymaj twe zapędy
 Ileż okropnych śladów po tobie znać wszędy?
 Jesteśmy dziełem Stwórcy, On jest Panem ziemi,
 Czyliż się nie zlituje nad dziećmi swojemi?

Słońce skryło swe czoło między gęste chmury,
 Noc nadeszła tak ciemna, jak był dzień ponury,
 Byłem wtedy sam jeden i bez przyjaciela,
 Który nam w przykrym razie pociechy udziela,
 I bez tego motłochu pospolitych ludzi,
 Których zmieszana wrzawa, choć nas często nudzi,
 Przecięż przerywa smutek, przykre czucia zmienia.
 Opuszczony od wszystkich na łup przyrodzenia,
 Tkliwy widok zniszczenia grożącego światu,
 Ten obraz posępnego Nieba majestatu,
 Ślepa ciemność i wichru świst zapamiętały,
 W mém sercu przełęczoném smutek pomnażały.
 Szukałem jakiej ulgi, a ufny w nadzieję,
 Że mi w stroskaną duszę nowe siły wleje,

Wśród tego pomięszania i ciężkiej zgryzoty,
Do najwyższej myśl moję zwróciłem Istoty.

Znikła przecież nawałność, czas nastał wesoły,
I na rozkaz Natury umilkły żywioły:
A mokre się chimur łono osuszyło burzą,
Rozerwane na sztuki mgły się już nie kurzą.
Strop nieba wpośród nocy, gwiazdami złożony,
Dzień wskazał na powierzchnią blade oświecony;
Lekkie obłoki szybko skryły się w przestrzeni,
I zda się, że widzieli ludzie zadziwieni,
Jak jeszcze lasy, góry, i jak ziemia drżała.
Znikły w górze planety i niebieskie ciała.
Głuchy gwar, który zwykle burza z sobą niesie,
Słabo się już rozlegał, konając po lesie.

Uczułem w sercu radość, ustąpiła trwoga,
Spokojny wówczas umysł podniosłem do Boga;
A widząc jak odmiana Natury nas mami,
Chciałem znaleźć stosunek myśli ze skutkami,
Na które z podziwieniem codziennie patrzymy.
Te burze, rzekłem, smutne towarzysze zimy,
Praca ludzka i roskosz, szczęście i zgryzoty,
Mrozy albo upały, dni jasne lub słoty,
Mają w odwiecznym rządzie właściwe przyczyny,
Jedno z drugim związane nie chybi godziny.
Przez te zmiany, Mądrości najwyższej się zdało,
Zgodność naszej powierzchni utrzymywać stałą.
Szturm, przez który okręty w głębi morza toną,
Przynosi suchym brzegom wodę upragnioną,
A z nią ożywe szczątki saletry i soli,
Rozrzucone przez wiatry po jałowej roli,

Opladają swym sokiem rozległe płaszczyzny,
Niosąc obfite żniwo i urodzaj żywny.
Sroga zimo! ty, której śmiertelni się boją,
Ty nam jednak użyzniasz ziemię mocą twoją!
Kiedy śnieg, ostre mrozy i posępne szrony,
Z początkiem Listopada zsyłasz w nasze strony;
Mieszkańcy innych krajów mają wdzięczne lato.
Natura świat ten różną przyodziewa szatą,
A słońce postępując w ślady przyrodzenia,
Nowe im daje życie, i smutny czas zmienienia.
Wkrótce znowu i do nas wróci jaśniejące,
Przyjdą piękne dni wiosny, i lato gorące,
Chcemyż, abyśmy sami światło jego czuli,
Którém obdziela wszystkie części ziemskiej kuli?

Z SAINT LAMBERTA,
przekład MICHAŁA WYSZKOWSKIEGO.

ŚMIERĆ WIEŚNIAKA

zabłąkanego w górach w porze zimowej;

USTĘP Z POEMATU POD TYTUŁEM

TRZY KRÓLESTWA NATURY.

WIEŚNIAK, co go zbyt długo zatrzymała praca,
Nieszczęsny do swój chatki wieczorem powraca.
Znikła przed nim dolina, zniknął strumień kręty,
Wzrok jego zaślepiony, sam trwogą przejęty,
Błąka się, przez te groby ruchome przebiega.
Przez gąszcze w ciemnej dali swój domek spostrzega,
Na ten obraz przyjemny, na powrót wstąpiły,
W serce dawna odwaga, w ciało dawne siły.

Lecz poznał, że się ludził nadzieją daremną,
 Gdy zamiast drogiej chatki, ujrzał chmurę ciemną.
 Wśród burzy postępuje strwożony i blady,
 Napróżno śledzi wszędzie ludzkiej stopy ślady,
 Na około o drzewa wiatr potężny bije,
 Ryczy straszliwy niedźwiedź, wilk zgłodniały wyje;
 Dzień kona, noc nastaje; zgromadzone chmury,
 Zgęszczając coraz bardziej cień nocy ponury:
 Przeróżającym mrokiem okryły pustynie.
 Trwoga co chwila wzrasta, a nadzieja ginie;
 Postrach mu wystawiając bliską zgonu chwilę,
 Każdy członek w dreszcz wprawia, bieży w każdej żyłę.
 Lęka się udadź ścieżką wijącą się zdrańdnie,
 Sądzi, że wszędzie w przepaść, że w zasadzkę wpadnie.
 Że niepewnej płaszczyzny ofiarą się stanie,
 Że się pod nim otworzą bezdenne otchłanie;
 Że bagnisko zdrażliwym ubielone szronem,
 Zagroza mu co chwila nieochybnym zgonem;
 Rozumieć, że pod lodem wrzące kryjąc tonie,
 Jezioro go w niezgłębne przepaści pochłonie.
 Co chwila go przeraża zguba mu grożąca,
 Już trwożna wyobraźnia w jej otchłan go wtrąca...
 Drży, staje, wsparcia w całej nie widzi naturze,
 Pustynię ma przed sobą, a nad sobą burze.
 Nareszcie, pełen trwogi, sobą już nie włada,
 Obok straszliwej zaspasy osłabiony pada.
 Napróżno, tak napróżno! żona nieszczęśliwa,
 Dobroczynnego ognia z krzemienia dobywa;
 Skromną ucztę i ciepłe suknie przysposabia,
 Próżno go tklivym żalem do siebie przywabia.

Dzieci płacząc zbolałą otoczyły matkę;
 Nakoniec zdjęte trwogą otwierają chatkę,
 Czyli upragnionego ojca nie zobaczą;
 Drżąc od zimna i trwogi, nieszczęśliwe płaczą,
 Lecz płacząc nadaremnie. Ojciec ulubiony
 Już nie ujrzy ni chatki, ni dzieci, ni żony.
 W serce zdrętwiałe zimnem już śmierć się wcisnęła,
 Członki jego stężały, krew się w żyłach ścięła.
 Sen śmierci go otacza, nieszczęsny umiera,
 A wiatr na martwem ciele swą wściekłość wywiera.

Z DELILLA,

przekład Fr. SAL. DMÓCHOWSKIEGO.

WYJĄTEK Z POEMATU OPISOWEGO POD TYTUŁEM

G Ó R A.

CACKO hojnej Natury, kraśnych doli coko,
 Zielonym strojna płaszczem, witaj wdzięczna goro!
 Witaj kochanko światła! Z ciebie chłodne rosy,
 Naprzód słońce złotemi pociera włosy...
 U stop jedwabny dywan rozstała łąka;
 Stado się po niej owiec rozpieczętnione błaka,
 A prosty flet pastérza o twe bijąc ściany,
 Na okoliczne strony rzuca głos łamany.
 Z czoła wieś szykowana dolinę osiadła,
 Tu się płynne kanałów wahają zwierciadła,
 A porwawszy twój obraz na oblicze swoje,
 Dwojąc się, miłszy widok sprawują we dwoje.
 Tam, kędy czysta struga stopy gaju liże,
 Zpomiedzy brzoź płaczących czarne stają krzyże;

Mogilnik, kres podróży i starań człowieka!
 Czemuż odeń lekkie spójrzenie ucieka?
 Tu nam, prędzej czy później, po życia obiegu,
 Pościelą zimne łoża wiecznego noclegu:
 Zasnijem, by czuć trwałej — o szczęśliwy z ludzi!
 Kto zaśnie bez obawy, bez trwogi się zbudzi!
 Czegoż się lękać śmierci, trudnych cierpień końca?
 Co nam wzrok na wspanialsze ma otworzyć słońca!
 Co nam odda na wieki, z czem na chwilę dzieli,
 I życie nieśmiertelne niebem rozweseli?
 Ona jedna śród świata niezwykłych kolei,
 Położonej na sobie nie zmyli nadziei.
 Niestety! czemuż człowiek, w czczych omamień tłumie,
 Najpewniejszą rzecz, tylko niepewną rozumie?
 Miotany namiętnością, świętym prawóm sprzecznie,
 Żyje, nie jak umierać, ale jak żyć wiecznie?
 A smakując w obłędach śliskiej uciech drogi,
 Cóż za dziw, że jej kresu nie dójrzy bez trwogi.
 Ach! nie znali jej pewnie poczciwi wieśniacy,
 Co w tych grobach zaledwo spoczęli po pracy;
 Gdy ich dusza, cielesne stargawszy kajdany,
 Równa panóm, wleciała przed Pana nad pany.
 Płatne chory, dźwięk smutny miedzianego gromu,
 Nie głosiły ich kroków do wiecznego domu.
 Lecz spłakane sieroty, lecz stroskana matka,
 Lecz owdowiała żona, lecz smutna czeladka,
 Bez udanego żalu, bez kupnego wrzasku,
 Ostatni dział śmiertelnych, garść żółtego piasku
 Rzucili mu na oczy, którym dzień nie świeci,
 Które już nie obaczą ni żony, ni dzieci,

Co z załamana dłonią, płacząc pokryjomu,
 Do opustoszałego powrócili domu.
 Lecz ży ich szczere, wlane na zbawienia szale,
 Duszę jego ku wiecznej podwyższyły chwale.
 Zlepku kruchej istoty, zuchwały człowiecze!
 Czyż się za tobą pycha aż do grobu wlecze?
 Cóż ci nada ta pompa, ta można wspaniałość,
 Ta chcąca się przed światem pokazywać żalność?
 Mniemasz-li, że te wrzaski, co przechodniów głośzą,
 Do litości nad tobą Wszchemocnego zmuszą?
 O! jak godzin zawiści ten, nad czym zgonem,
 Jęk przyjaciół jest chorem, żal ojczyzny dzwonem;
 A tam, kędy Archanioł we słonecznej zbroi,
 Strzeże diamentowych zbawienia podwoi,
 Ze własnych cnót każdego złoty klucz ulany,
 Może tylko otworzyć wchód między niebiany.

WYJĄTEK DRUGI Z TEGOŻ POEMATU.

ALE po co samemu roić żal? lecz po co
 Swit niebieskiej pogody ćmić podejrzeń nocą?
 O! pójdźmy kiedy raczej w te gaje zielone,
 Odnowić po nich sceny, w ich cieniu rojone,
 I jak przed lat dziecińczy wierzym przyjaciółem,
 Pochłubić się przed niemi sprawdzonem weselem.
 Pójdźmy kiedy! lecz jeszcze ze szczytów tej góry,
 Przypatrzmy się urokom sąsiedniej Natury.
 Puść oko z biegiem fali, gdzie w skoku zuchwały
 Most się półkolnym łukiem przerzucił przez wały;
 Gdzie po brzegach, jak dzieci wolnie igrające,
 Drzewa się bez porządku rozpierzchnęły po łące;

Gdzie nadzieje roloika falami złotemi,
 Gnane wiatrem, żywiącej niosą pokłon ziemi.
 Tam przez gęsto splecionych sosen las ponury,
 Bielące się Klasztoru przegładają mury.
 Miejsce święte, gdzie z trwogą oddalone ludy
 Biegą kornymi modły zakupować cudy;
 Gdzie kopiąc w źródle łaski duszę złém skalana,
 Pokutnie święte prochy ściera ich kolano.
 Żaden się tu bezbożnik zuchwale nie zbliża,
 Nie uzbroiwszy piersi świętym znakiem Krzyża;
 Znak ten, gdy mu pobożność na sercu wypala,
 Ma wejście; zatwardziały musi minąć zdała.
 Lecz ich widok wspomnienia budzi we mnie tkliszę;
 Tu słodko przeżywałem życie najszczęśliwsze,
 Ranek dzieciństwą mego; gdy umysł spokojny
 Z namiętnościami jeszcze nie brał się do wojny.
 Serce jak lew uśpiony, lub jak ciche morze,
 Gdy się w niem ranne życia przegładało zorze;
 Mało znając, lecz rado przestawając na tém,
 Domowych społeczeństwem, dóm muiemato światem.
 A jako w ugładzone jeziora krysztaly,
 W czystym chłodzie strumienie srebrne leją wały,
 Radość w nie zewsząd biegła, a największa żałość,
 Gdy się którego cacka rozkruszyła całość;
 Lub gdy kładąc wędzidło rozigranej chęci,
 Litery nieznajome bito do pamięci.
 Wtenczas to z pod czujnego umknąwszy dozoru,
 Rad z przywłaszczonęj władzy ranka lub wieczoru,
 Na tobiem zwykły o góro! w równienniczym lasku
 Wydymać wąle banki mieniouego blasku.

Te wznosząc się lub nękając podług wiatru woli,
 Nie smuciły mię ludzkiej podobieństwem doli.
 Ni twórca Watykanu nie był więcę dumny,
 Gdy myśl jego olbrzymie dźwignęła kolumny,
 Jak ja, gdy mi się czasem szczęśliwie udało,
 Z gałęzi albo chróstu sklecić budkę małą.
 Z jakąż wtenczas radością w moje niską chatkę
 Wiodłem czczonego ojca i kochaną matkę!
 Co dzisiaj, o wspomnienie ze wszystkich najkrwawsze!
 W ciśniejszym jeszcze domku spoczywa nazawsze.
 Ach! z nią i szczęście moje i wesele moje,
 Razem się za wieczności zamknęły podwoje.
 Zostałem jako żeglarz w bezwiosłowej łodzi,
 Przeciw nawałnej świata łamiac się powodzi.
 Nie wiem gdzie stér nawracać: czarna żalu żmija
 Coraz ciśniejszym serce pierścieniem obwija;
 A wysawszy zeń radość we wszelkim przedmiocie,
 Żadłem powód ku nowęj wskazuje zgryzocie.
 Gdzieżes mój wieku złoty, mój dziecinny wieku!
 Nieoceniony gdyś płynął, płakany u ścieku;
 Gdzieżes mi znikł tak rękto? Czas porwawszy ciebie,
 Kazał ci na mnie czekać w nieśmiertelném niebie.
 Tam duch po onót i cierpień przychodząc zapłatę,
 Przywdzieje znów dziecinnej niewinności szatę.

ANT. EDWARD ODYNEC.

Ś M I E R Ć.

Po Wszystkich zakątkach ziemi
 Zwłoki człowieka Filonie!

Noga twa płąsa nad niemi
Niepomna o swoim zgonie.

Te plenne pól twych zarody
Zgnilizna ludzi sprawiła:
Doliny, góry i wody,
Świat cały — ludzka mogiła.

Wala się dęby stoletnie,
Jak jednodzienne róż kwiaty;
Czas stary kosą swą zetuń,
Wsi, miasta, trony i chaty.

Zniszczył już lata i wieki
Ten tyran w mocy udzielny,
Pełne w łup śmierci zasieki;
Filonie! tyś nieśmiertelny?

Zginiesz — lecz pomnij to przecie,
Że choć natura ustanie,
Chociaż już będzie po świecie,
Bóg i twa dusza zostanie.

LUDWIK OSINSKI.

DO PĄCZKA.

Powoli pączku! powoli
Rozwijaj twoje pątki,
Obrazem jest twojej doli
Kwiat przy tobie rozwinięty.

Cóż on zyskał, że się śpieszył
Wydobyć listki z ukrycia?
Nadzieją się nie nacieszył,
I krótką chwilę ma życia.

I ja niegdyś tak nadobny,
Nieznany sobie i światu,
Byłem do pączka podobny,
Podobny byłem do kwiatu.

Dzisiaj, cóż mi po tym świecie?
Cóż doświadczenie mi nada?
Oto wzdycham przy tym kwiecie,
Z którego listek opada!

Powoli pączku! powoli
Rozwijaj twoje pątki,
Obrazem jest twojej doli
Kwiat przy tobie rozwinięty.

S. KONOPACKI.

BANKA NA WODZIE.

SŁABYŚ! o ludzki narodzie,
Tak do mnie prawda raz rzecze,
Jesteś jak bańka na wodzie;
Ach, poznaj siebie człowiecze!

Szedłem ku wodzie w tej dobie
Ujrzałem bańkę — i znikła.
Ach prawda! równiśmy sobie,
Sroga mię rozpacz przenikła.

I płynie do oceanu —
 Tak nigdy i ja nie zginę,
 W bezpiecznej łodzi przy Panu;
 Morzem wieczności popłynę.

AND. BRODZINSKI.

DUMA NAD GROBEM.

Kogo nadzieja zwodziła
 I wielu zdradzało ludzi,
 W walce gdy opadnie siła,
 Daremnie gdy się utrudzi;
 Idzie nareszcie ku tobie
 Po opiekę cichy grobie!
 Tobie znosi Król korony,
 I pęta swoje więziony.
 Tobie skąpiec odda zyski,
 I nędzarz swoje uciski,
 Wszystko zagrzebie pospołu
 Ręka grabarza do dołu.
 Słaby tu składa ubóstwo,
 Tkliwy marzenia cnotliwe,
 Rozumny pocisków mnóstwo;
 Tu idą starce sędziwe,
 I młódź płasząca w kole,
 Przed niemi zapada w dole.
 Oczy, co się ogniem tliły,
 Krew, co burzyła człowiekiem,
 I te uwodzące siły

Góra i morzem dalekiem,
 Gdzież są teraz? w ciemnym lochu
 Uchowane w garstce prochu.

Serce, co biło do cnoty,
 Rozum, co znał gwiazd obroty,
 Co w pracy i walce śmiały,
 Wszędzie sięgał marnéj chwały,
 Zniknął jednym oka mgnieniem.
 Gdzież ślad za nim? pod kamieniem.

Liche z namiętności szczątki
 Uwiędły nadziei kwiatek,
 Saméj próżności pamiątki,
 Łez niedolany ostatek;
 Oto całe nasze mienie,
 Co przynosim w to spocznienie!

Grabarze stoją u grobu
 A ludzie od połów obu
 Z trudem, przemysłem i bronią
 Przez prochy ojców się gonią,
 Zmierzywszy ziemię i wieki,
 Do ich wracają opieki.

.

Ludzie! życie na tym świecie
 Bezdenne jest to naczynie,
 Wy dzień i noc w nie lejecie,
 A dzień i noc z niego płynie.
 Nie spełnimy nigdy miary
 Danaidek cierpim kary.

Wielkość kończym na pozorze;
 Moc badania na pokorze,
 Piękne czucie na marzeniu,
 Siły tylko na walczeniu;
 Wszystko na tośmy poznali,
 Aby wiedzieć jak my mali.

Zazbyt wielcy na tej ziemi,
 Byśmy na tém przestać mieli,
 Zazbyt także i słabemi,
 Byśmy więcej mieć nie chcieli.
 Trzeba dodać, co ujęte,
 Doskonalić, co zaczęte.

Cóż! że szczęścia czełk dogoni,
 Gdy w zerwaniu go uroni!
 Nie nam jeszcze są te lata,
 Więcej one są dla świata.
 Co nie można sobie sprawić
 Zacząć innym i zostawić.

Któż bez tego przekonania
 Łożyłby drogę dla ludu,
 By, kiedy go czas pogania,
 Chciał obcego nie czuć trudu?
 Aby ciężar niósł nie sobie,
 I padł pod nim wiecznie w grobie?

Gdyby myślał ten na groby,
 Kto chce użyć życia doby,
 Którażby kropla słodyczy
 Nie zniknęła mu w goryczy?

Bo cóż jest mienie, co życie?
 Walka z życiem, lub o życie.

Kto chce czasu dobrze użyć,
 Na dwoje go musi dzielić:
 Przez swą wielkość świata służyć,
 Przez swą płochosć się weselić.
 Wielkość nasza jest dla świata,
 Płochosć dla nas wieńce splota.

Dwa nas bóstwa uskrzydłone
 W przeciwną mijają stronę:
 U przeszłości rokosz stawia,
 Do przyszłości dąży sława:
 Do cnej sławy mierząc wodze,
 Chwytaj rokosz po twej drodze.

KAZ. BRODZINSKI.

KOLĘJ ŻYCIA LUDZKIEGO.

O D A.

PEWNY strumyczek biegąc po kwiecistej łące,
 Uwiedziony pozorem rokosznej krainy;
 Tam się bawi swobodnie, wijąc kół tysiące,
 I z żalem idź mu z lubej przychodzi gościny.

Wpada potem z szelestem na okropne skały,
 Tocząc po twardych głazach zapienione wiry:
 Już, co go pierwój słodkiem mručeniem głaskały,
 Zabiegły w obcą stronę ucieszne Zefiry.

Wściekły gdzieś z Eolowej wiatr wyparty prasy;
Zasępił czysty kryształ czarnych deszczów mrokiem:
Przecie nasz pielgrzym i te wytrwawszy tarasy,
Wolnym pod jakieś miasto przypłynął potokiem.

Tam wchodzi, ztamtąd znówu na błonie wypada,
I w podróży spokojne mija kmiotków chaty,
Sliczne trzody po wzgórkach, po dolinach stada,
I z ról żyznych obfite do stodół intraty.

Alić powtórnie w smutne zagnany pustynie,
Sam nie wie, kędy dąży; jak się ztąd wywiezi:
Zkąd zaledwo po długich zakrętach wypłynie,
W bujnej drzew rozłożystych odpocznie gałęzi.

Nakoniec między piaski skrywszy się nadbrzeżne,
W nieprzebytym na wieki zniknął oceanie.
To mi staruszek mówił, co miał włosy śnieżne,
A ja westchnawszy na to: tak się z nami stanie!

Po różnych niestatecznej igrzyskach fortuny,
Po troskach marnym szczęścia przeplecionych blaskiem;
Przyjdzie nakoniec człeku wleźć do srogiej truny,
I skończywszy wędrówkę, zawrzeć oczy piaskiem.

A. NARUSZEWICZ.

WYJĄTEK Z POEMATU
O CZŁOWIEKU.

Wznoś się dziwne stworzenie w nauki przestworze,
Mierz ziemię, waż powietrze, śledź w odmianach morze,
Wskaż planetom, przez jakie mają koła dążyć,
Popraw czas zastarzały, naucz słońce krążyć.

Niech się wzbije z Platonem do nieba myśl płodna;
Gdzie piękność, doskonałość, dobroć pierworodna;
Lub zblądziwszy wraz z jego naśladowców mnóstwem,
Sądź, że tracąc rozsądek porównasz się z bóstwem;
Jak ów Bramin na wschodzie kręci się do koła,
Tusząc, że tak bieg słońca naśladować zdoła.
Idź, popraw Najwyższego rząd świata tajemny,
Potem spójrz na siebie, patrz jak jesteś ciemny!

Kiedy niedawno wyższe niszczały stworzenia,
Jak jeden człowiek zgłębiał prawa przyrodzenia,
Zdziwiły się po takim ziemskich nauk cudzie,
Wskazując na Newtona jak na małą ludzie.

On, który bieg komety wyrachował ściśle,
Czyż potrafił objaśnić jaki ruch w umyśle?
Tamtego światła zorze i zachód oznaczył,
A czyż własny początek i zgon wytłumaczył?
Niestety! gdy człowieka wyższa pnie się władza,
Nic jej postępom w licznych sztukach nie przeszkadza;
Lecz gdy badać sam siebie jaką chęć okaże,
Co rozum przysposobi, to namiętność zmaże.

Naukę więc z skromnością poznawać przystoi,
Obnażyć z ozdób, w które ją pycha ustroi;
Wszelką próżność i barwę należy odrzucić,
W czym mądrość chęć zbytkować, albo bałamucić.
Bnija rozum, by dowiódł jak daleko sięga:
Lecz to czcza jest ciekawość, uczona mitrega.
Poobcinaj od razu wszelki szczep przerosły,
Zkąd ułomności nasze nowe sztuki wzniosły;
Potem przypatrzyć się szczupłym zostałym zapasom,
Które przeszłym i przyszłym wystarczają czasom!

Rząd podwójny na ludzkie przyrodzenie wpływa,
 Miłość własna popycha a rozum wstrzymywa.
 Próżno tę jedni ganią, drudzy tego winią,
 Każda z tych sił jest w skutku bodźcem lub mistrzynią.
 A w miarę jak z nich która jest słuszną lub zdrożną,
 Tej wszelkie dobro nasze lub złe przyznać można.

Miłość własna najpierw budzi duszy władze,
 Rozum ma rząd ogólny na rozsądku wadze;
 Lecz on sam działań naszych wzniecić nie jest w stanie;
 Tamtej zaś samo przez się bez celu działanie.
 Człowiek, jako roślina krzewiąc się na roli,
 Żywiłby się, rozmnażał i gniłby powoli;
 Lub jak kometa świecić nawiasem na niebie,
 Niszczyłby wszystko, w końcu zniszczony przez siebie.

Potężna do działania władza nas zniewala,
 Zawsze czynna, pobudza, nagli i zapala;
 Tę zaś, co porównywa, rostopność prowadzi,
 Ona hamuje tylko, rozmyśla i radzi.
 Miłość własna za bliskim ob staje przedmiotem,
 Rozum widzi zdaleka, i myśli na potem.
 Tamta dobro w obecnych uważa pobudkach,
 Rozum więcej w przyszłości i w następnych skutkach;
 Lecz niełatwy mu przystęp, gdzie ponęt jest tyle!
 On w baczności celuje, miłość własna w sile,
 Ażebyś więc przemocy poskromił zapędy,
 Pilnuj zawsze rozumu, na rozum miej względy;
 A doświadczenie, nałóg, i ciągła uwaga,
 Wstrzymuje miłość własną, i rozum wspomaga.

Niech w szkołach tych sił zgodnych sprzeczności dowodzą,
 Tam do samych rozróżnień przyczyny znachodzą;

Tam wojnę zmysł z rozumem, łaska z cnotą toczy:
 Tam niech mędrcy o słowa kłócą się w zapale,
 Które lub jedno znaczą lub też i nie wcale.
 Miłość własna jak rozum tę chęć w sobie mieści,
 Żeby roskosz otrzymać, uniknąć boleści.
 Lecz tamta natarczywa swój przedmiot pochłonie,
 Ten kosztuje słodczy mając kwiat w ochronie.
 Roskosh, jak nam się słuszenie lub mylnie wystawia,
 Tak też największe dobro lub złe nasze sprawia.

Namiętności są własnej miłości rodzaje,
 Istotne lub pozorne dobro im wzrost daje.
 Nie każde jednak dobro dzieleniu podlega,
 A rozum o swém własnym pamiętać ostrzega.
 Namiętność samolubna, uczciwością wsparta,
 Należy do rozumu, względów jego warta;
 Ta zaś, co w szczęściu drugich godnej szuka mety,
 Bierze cnoty nazwisko z szlachetnej zalety.

Nie zgjętą gnuśny Stoik cnotą się nadyma,
 Lecz ta jest nakształt lodu, który ściska zima:
 Wszystko kurczy się właśnie w sercu obojętnem,
 Wszakże ruch, nie spoczynek, mocnej duszy piętnem.
 Nawałność do czynności sposobi duch mężki,
 I całość utrzymuje przez cząstkowe klęski.
 Rozmaicie żeglujem po morzu żywota,
 Rozum jest łódką naszą, namiętność nim miota.
 Nie spoczywa w zaciszy i sam Bóg w Naturze,
 On z wiatrem postępuje i kieruje burze.
 Namiętności wśród jego łagodzą się tworów,
 Choć równie jak żywioły zrodzone do sporów:

Więc ich tylko poskromić i użyć wypada;
Nie zniszczy tego człowiek, z czego sam się składa.
Dostateczna Natury dla rozumu droga,
Tamte powściągać w mierze, słuchać jej i Boga.

POPE,

przekładał z angielskiego LUD. KAMINSKI.

NIC NA SWIECIE NIE MASZ STAŁEGO.

P I E Ś Ć.

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje,
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złej chwili piękny dzień przychodzi.

Patrzaj teraz na lasy,
Jako przez zimne czasy,
Wszystkie swą krasę drzewa utraciły;
A śniegi pola wysoko pokryły.

Po chwili wiosna przyjdzie,
Ten śnieg zniemagła zejdzie,
A ziemia, skoro słońce jej zagrzeję,
W rozliczne barwy znowu się odzieje.

Nic wiecznego na świecie;
Radość się z troską plecie:
A kiedy jedna weźmie moc największą,
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprędszą.

Ale człowiek zhardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje.

Więc też, kiedy go fortuna omyli,
Wnet głowę zwiesi, i powagę zmyli.

Lecz na szczęście wszelakie,
Serce ma bydź jednakie;
Bo z nas fortuna w żywe oczy szydzi,
To da, to weźmie, jako się jej widzi.

Ty nie miej za stracone,
Co może bydź wrócone;
Siła Bóg może wyrzucić w godzinie;
A kto mu kolwiek ufa, nie zaginie.

J. KOCHANOWSKI.

O USPOKOJENIU Z CNOTY.

P I E Ś Ć.

Kto cnotę smutną maluje,
Wiele jej wdzięków ujmuje,
Ona się mile uśmiecha,
Ocz nie zawraca, nie wzdycha;
Wszystkie przygody zarówno przyjmuje:
Szczęście, nieszczęście, równie ją kosztuje.

Próżno zaostrza swe strzały
Przypadek na nią zuchwałszy;
Jak skała falą tłuczona,
Burze swym statkiem przekona:
Albo jak ogień, im bardziej się wzmaga,
Tém do piękności złotu dopomaga.

Sokrates pije truciznę
Za to, że kochał ojczyznę.

Wypił; i daje bez trwogi
 Swym przyjaciółom przestrogi;
 Anitus (*) bardziej mięsza się i mruczy,
 Że mu i śmiercią nawet nie dokuczy.

Czego ten biega stroskany?
 Rwie włosy, łzami zalany!
 Za tém mu się płakać zdało,
 Co bydź koniecznie musiało.
 Niechaj się jeszcze choćby sto lat smuci,
 Na jeden fenig szkody nie powróci.

Łańcuch od wieków związany,
 Każdej na świecie odmiany;
 Ten go przerobić sam zdoła,
 Który powiązał te koła.
 Na cóż się smucić? co jest, albo było,
 Wszystko przedwieczny wyrok uiszcza.

My bardzo krótko żyjemy,
 I nie o jutrze nie wiemy,
 Za cóż ten kwasieć czas mały!
 Nieba nie na to go dały.
 Niech niewolników złota strach obleci:
 Czego się trwożyć mają Boskie dzieci?

Po drodze tkanęj cierniami,
 Kwiaty rzucając przed nami,
 Idźmy, niedbając na bole,
 Choć nas co czasem ukole.

(*) Anitus fałszywy oskarżyciel Sokratesa.

Tam, powiadają, gdzie z kolecami różę,
 Każda się rana prędko zgoić może.

F. KARPINSKI.

ŻYCIE W OSOBNOŚCI.

P I E Ś N.

Szczęśliwy! co na roli żyjąc w osobności,
 Bez bojaźni, bez żądań blasku i zazdrości,
 Komu lata jednako przepędzone płyną,
 Co go jeden dach widział starcem i dzieciną!...

Kiedys po tymże brzegu pacholę igrało,
 Gdzie mu dziś wyniszczone odpoczywa ciało;
 A kij, na którym biegał w zawody z drugiem,
 Teraz podpięra starca zgjętego ku ziemi!

Niedaleko od jego domu las zarosły,
 Którego drzewa wraz z nim rodziły się, rosły;
 A ten dąb gałęzisty, który mu chłód sprawił,
 W dziecinnych jego rękę żółdzą go bawił!

Chytra zawsze fortuna, kiedy inszych truła,
 Do wozu go swojego nigdy nie przykuła.
 Po krajach nie włóczył się dla marnych pieniędzy,
 Aby, szukając szczęścia, nacierpiał się nędzy.

Jego ogród do sytn stół mu opatruje,
 W wodzie zdroju swojego najlepszy smak czuje;
 A do miasta bliskiego, kiedy inszych bodła
 Ciekawość, nigdy go tam widzieć nie powiodła.

Pracą i odpoczynkiem dni swych robił przedział;
O Rzymian historii nie wcale nie wiedział.
I gdy przygodę jaką chciał wspomnieć przed laty,
To rachował na żniwa, nie na konsulatory.

KARPINSKI.

SAD I OGRÓD.

WYJĄTEK Z POEMATU *p. t. WIOSNA.*

Sad bliski nowych we mnie budzi tłum uniesień.
Kwiciem wiosna, owocem ozdabia go jesień.
Tam płonki szczepi w tarkach gospodarz troskliwy;
Stary pień kiedyś pewnie zostanie zdumiały,
Że gałęzie tak piękne owoce wydały.
Pod lipą, co swym cieniem przyjemny chłód czyni,
Kwiaty na płótnie sieje zręczna gospodyni;
Cnota, skromność, spokojność, jasnieją w jej twarzy;
Jej dziecię pełne wdzięku uściskiem ją darzy;
Drugie na miękkiej trawie bawiąc się pod płotem,
Myśl jeszcze niedojrzałą wydadź chce bełkotem.
Trzykroć szczęśliwy ludu, co rzuciwszy tłumy,
Usuwasz się od siedlisk zazdrości i dumy.
Twoje życie w ustroniu tak wesoło płynie,
Jak strumień po okrytej kwiatami równinie.
Temu przychylne nieba, co bez próżnej troski,
Szczerpłe uprawia pola, skromnej ojców wioski.
Nóci pienia; dlań słońce promienie rozsiewa,
Dlań łąka się zieleni, dlań skowronek śpiewa.
Ani smutek z bojaźnią jemu towarzyszy,
Czyli to trzody swojej odgłos zdala słyszy,

Czyli w polu prac swoich zbieraniem się trudzi,
Wieczór mu sen przynosi, poranek go budzi.

Z KLEJSTA,

przekład JANA ZAWADZKIEGO.

OGRÓD W KRZEMIENCU.

W ogrodzie ulubionym i Florze i oku,
W miłym tobie siedlisku, witaj nowy roku!
Witaj wiosno! Jak tylko twój pobyt nastaje,
Wnet zakwitną ogrody, zazielenią gaje,
Odmłodnieje Natura, Nieba się rozśmieją,
Świat nowy, nową pieśń człowieka nadzieją;
A jak ten obraz słońca po wodach upływa,
Tak się w sercu maluje natura szczęśliwa;
I człowiek obce szczęście za swe szczęście bierze.
Gdziekolwiek stąpie krokiem, gdzie oczyma zmierzę,
Wszystko mi kroki pęta, wszystko oczy więzi:
Tu błękit nieba zdobi zieloność gałęzi,
Tu kwiaty wpośród łąki technieniem wiosny dyszą,
Tu murawy biegącym ścieżkóm towarzyszą.
O! jak słodkie te chwile, jak miłe te kraje!
Trzykroć ogród przebiegam, i zawsze się zdaje,
Choć wszystkim kwiaty przejrzał, wszystkie ścieżki przebył,
Zem jeszcze nie nie widział, jeszcze nigdzie nie był.
Raz, do mego obrazu gdy myśl rozpościeram,
Te ogrody, te góry i te nieba zbieram;
Drugi raz, zapomniawszy o ziemi, o świecie,
Wielkim się cudom wiosny w jednym dziwie kwiecie.

Ależ ja ich tu widzę! Ogrodzie bogaty!
 Ze czterech światas końców pozwoływał kwiaty!
 Cokolwiek się pod skwarnym rodzi gwiazd zwierzyńcem,
 Co w skałach, żadnym prawie niedoszłych gościńcem,
 Co się rodzi w bezdennym oceanu wirze,
 Lub pod twemi śniegami, zamarzyły Sibirze,
 Co tylko może rosnąć w jakiegokolwiek sferze,
 Gdzie sięga światło słońca, lub twoje Besserze (*),
 Zeszły się wszystkie ziola; a ziemia z zdumieniem,
 Nieznany obcych światów okrywa się cieniem.
 Któż je razem obejrzeć, kto nazwać je zdoła!
 O wy ozdoby Flory, wy ogrodów czoła!
 Zachwycające dziwy w tych dziwów ogromie,
 Rododendrze, kaktusie, oleandrze, flomie!
 Niech równy wam bogactwem pędzel Woronicza,
 Wdzięki malując wasze, swoich wam użycza.
 Muza moja pozioma nie zrówna tym kwiatom,
 I dumna, nie poniesie hołdu obcym światom;
 Wspomni ziółko rodzinne, wspomni polny kwiatek,
 Który niegdyś przystrajał czoła naszych matek.
 Więc witam was ojczyzne bławatki i dzwonki,
 Zbierane niegdyś ręką naszej Jagiellonki,
 Kiedy ta córka królów, lubiąc się w nstroniach,
 Do zielników na Polskich rwała kwiaty błoniach.
 Witaj i ty murawo, pierwsza przed innemi!
 Ty zapowiadasz wiosnę utęsknionej ziemi,

(*) Wilibald Besser D. M. professor Botaniki w Krzemienieckim Liceum.

Tobą się zdobia góry, tobą łąki śmieją,
 Ty się nawet na grobach zielenisz nadzieją!
 Dla zgasłego człowieka, czémże są potomni?
 Wyrze się go niewdzięcznik, przyjaciel zapomni;
 Imię jego światową zatłumi się wrzawą;
 Ty tylko na popiołach ścielesz się murawo!
 Więc, gdy i mego życia minie cichy strumień,
 Przyjdź na grób mój, i moich przyjaciół zarumień.
 Ciesz mię w tej smutnej myśli, ciesz niebieski kwiatku,
 Który wierność miłości przynosisz w zadatku;
 Wy, co uczuć wzajemnych nie macie za bajki,
 Zasadzajcie w ogrodach niezapominajki,
 Niechaj zawsze przywodząc łube sercu wzmianki,
 Kwitną cechą zakłęcia, pod okiem kochanki.
 Lecz moja ręka ciebie nie dotknie się kwiecie.
 A jeśli w jakiej wiośnie... jeśli w jakim lecie...
 Ta, której... resztę usta domówić nie śmieją.
 Łatwa trudnego szczęścia cofnij się nadziejo!

Kiedy myśl tak bolesna serce moje tłoczy,
 Od niemojego szczęścia, gdy odwracam oczy;
 Czegoż mię z zadumienia mojego wyrwa,
 Ten ostry cierń bodiaka, ta zdradna pokrzywa?
 Widok tych ziół niemiłych smutną pamięć budzi,
 Ze podobne wyrodku widać i u ludzi;
 I że nie samę cnotę cierpią tylko Nieba.
 Cóż robić? czyż się wyrzec dla tego potrzeba,
 Ze chytrość i cykuta za truciznę służy,
 Przyjaciela, murawy, kochanka i różę?
 Nie, sam widok dobroci, pamięć złości zatrze:
 Nie myślę o pokrzywach, gdy na różę patrzę.

Chwała wiosny! nad tobą któż się nie zdumiewał?
 Któryż cię malarz minął, poeta nie śpiewał?
 Któryż kochałek, ciebie zbierając na wianki,
 Nie widział w twoich wdziękach, wdzięków swej kochanki?
 Przypatrując się twojej niestałej urodzie,
 Tak nucił lotny śpiewak w Armidy ogrodzie:
 „Patrzcie! już się wychyla róża pięknicola;
 „W pączku wstydliva jeszcze, i jeszcze dziewica;
 „Niewidziana połową, połową rozwita,
 „I piękniejsza tém więcej, im więcej ukryta.
 „Wnet się cała rozwija, świeża i ozdobna,
 „Rozwija się i wędnie, i już niepodobna!
 „Niepodobna już róży chwytanej do wianków,
 „Od tysiąca kochanek i tysiąc kochanków.
 „Tak równie z dnia przelotem niezwrotnie ucieka
 „I zieloność i kwiaty wątych dni człowieka.
 „Znika chwila za chwilą, i wiosna za wiosną;
 „Lecz one nie odkwitną, ni więcej odrosną.
 „Zbierajmy kwiat miłośny póki jest rumianym;
 „Póki można i kochać i zostać kochanym.“

A was z przed moich oczu wzgardliwież odtrąca,
 Samotnie w tym ogrodzie, i smutnie rosnące,
 Zyto! pszenico złota! jęczmieniu wasaty!
 Któręmi kraj ten zawsze sławny i bogaty,
 Zasiewając rozległe bujnych niw przestworza,
 Przez tyle wieków karmi dwa sąsiedzkie morza;
 Cóż wy mi wspominać: dawnymże to czasem,
 Gdy w poranku dni moich byliście mi lasem;
 Gdy góra z zachodzącym dzieląca mię słońcem,
 I Nieba mi i ziemi zdawała się końcem;

Gdy m nie pojmowałam skacząc wśród rodzinnej chatki,
 Jak można żyć daleko od ojca, od matki?
 Minęła już ta chwila, i wrócić nie zdążyła;
 Dusza jednak stęskniona często na nią woła;
 I chciałaby przynajmniej, by żalu ukrócić,
 Jeżeli nie w te czasy, to w te miejsca wrócić.

KAROL SIENKIEWICZ.

POŻEGNANIE KRZEMIEŃCA.

Tu mi płynął czas nauk, nadziei, swobody,
 Tu mi mój najpiękniejszy, tu został wiek młody!
 Tam polubił to niebo, przywykł do tej ziemi,
 Tu otom dzień ostatni, dzień ostatni z niemi!
 Zegnaj mi więc Krzemieńcze! — Jak puszczonego strzała,
 Kryła lot swój, aż póki w celu nie zadrżała.
 Tak mi tu lata zcicha czas wykradał rączy,
 Milczały! Aż przemówił dzień, który je kończy.
 Stój choć ty dniu wymowny, i pozwól niech jeszcze
 Miejscem, które porzucam, oczy me napieszczę.
 Niech patrzę na Przybytek tak znany, tak drogi,
 Tak nowy dzisiaj dla mnie! Zał odnawiasz srogi!
 Lecz jakże czas ubłagać? dzień przeszedł za góry,
 Młde tylko nad zachodem płomienia się chmury;
 Pośród jarów zapadłych, mrok sunąc się błądy,
 Rzucił pierwsze czarnego sklepienia posady.
 Już się zaćmiło Niebo! po tej słońca drodze,
 Gwiazdę mojej młodości myślą tylko wodzę!
 Wstępuje noc do świata, jak smutek do duszy,
 Zaciera, co jaśniało, co mówiło głuszy;

A wywodząc sen niemy z pod grobów ukrycia;
 Zatyka godło śnierzki na dziedzinie życia!
 Wszystko gaśnie przed okiem, przed uchem się kryje,
 Wszystko śpi — wszystko milczy; — samże tylko żyję?
 Samże więc tylko żyję w ogromie stworzenia,
 Wśród obumarłej ziemi, wśród światów milczenia?
 Ta myśl, ta uroczysta nocy światłoblność,
 Rozdrażnionej już duszy wzmagają dotkliwość.
 Wszystko dla niej jaśnieje, mówi i ożywa;
 Iskrę, co przy niej mignie, wnet jak wir porywa;
 Wszystko roztrąca, mięsza, odrzuca, przemienia,
 I zdaje się raz pierwszy czuć roskosz myślenia;
 Zmęczona potem wrzawą, lecz pracy niesyta,
 Jednym się puszcza lotem, jednej myśli chwytą.
 Widzę tę noc, ten obłok wieczności ponury,
 Tę przestrzeń niewzruszoną wśród ruchu Natury.
 Ta noc, ta przestrzeń, nawet ten jej punkt zdrobniały,
 Który ja na chwil kilka sobam zajął, trwał,
 Trwał wiecznie; — słyszały głos, co się przebijał
 Przez przepaści zamętu, gdy światy rozwijał,
 Kiedy nieskończoności zaludniał pustynie!
 Pod ich strażą zdroj światła i zdroj czasu minie;
 Obojętne, obaczą wszystkie światła burze,
 I zmordowanej życiem dadzą grób Naturze!
 Te świadki wielkich robót Wszechmogącej siły,
 Oto, dziś w oczach moich, jak przedwiecznie były:
 Porywa mnie ich dawność — lecę, gdzie od wieka,
 Nieprzeparte westchnienie pędzi myśl człowieka...
 Obląkany w bezdrożach, patrzę, widzę ciemność,
 Szukam — i własną tylko znajduję nikczemność;

A gdy wzdychać nad sobą słabość ta przymusza,
 Wierna pocieszycielka podnosi się dusza:
 Z kręgów wieczności cofa rozsypane myśli,
 I w koło siebie okrąg czarnoksiężski kryśli.
 Błąka się i upada, kto za krąg ten sięga;
 Lecz w tej granicy — twoja prawda i potęga.

Tu jest punkt główny świata, tu godność człowieka,
 Tu twierdza, która wszystkie napaści przeczeka;
 Tu ci w uczuciach cnoty, chwały, szczęścia, Boga,
 Świata nieśmiertelności, unosząca droga;
 Tu jesteś

Wtém zegaru ozwały się dzwony.
 Oto jużem jak nie ten, jak ze snu ocknięty;
 Rozkołysanej duszy umilkły wzruszenia,
 I tylko miedzi drżące liczę uderzenia.
 Zadumany na chwilę wracam sam ku sobie,
 Przypominam, gdzie jestem, w jakiej jestem dobie;
 Tu przeszłość żal obudza, a tu przyszłość trwogę:
 Natętna już mi zewsząd zastąpiła drogę!
 Dokoła jakieś mary snują się zdaleka,
 Myśl je roi, i sama przed niemi ucieka.
 Tak lekliwy w ciemnościach, wśród pustego gmachu,
 Gdy go schwyci za serce zimna ręka strachu,
 Drżąc ucieka przed echem, które sam obudził.
 Zbytek się już tą trwogą dziecinną utrudził;
 Postępujemy z odwagą. Wędrowni daleka?
 Po kilku łzach, westchnieniach i jękach człowieka,
 Posępna pewność kończy te przelotne dzieje;
 Tu nad twém szczęściem wdziczące słońce zajaśnieje,

Tu cię z nieszczęściem burze wywiodą w zawody,
 Burze, nie miesające niczyjej pogody...
 Lecz oto, już na twoim zapomnianym grobie,
 Obcy liczy jutrzeńki wschodzące nie tobie!
 Zasmuca cię ta szybkość! Spójrzyż wesoło,
 Na nędze wstrzymujące bystre życia koło!
 A jeszcze zegar cierpień wieki ci wybije.
 Jakież się w moich oczach czarne pasmo wije!
 Igrają niepojęte przeznaczenia z nami!
 Wszystkie roskosze serca stają się wrogami:
 Czułość jadem jest tylko, przyjaźń czczem imieniem,
 Dręczycielką nadzieja, szczęście urojeniem;
 Płodna niesprawiedliwość najdroższa z katuszy,
 Ocuca wszystkie zbrodnie na zgębnienie duszy!
 Chyba z pogardą w nędzy, ze sztyletem w nocy,
 I w uśmiechach chytrłości, i w gromach przemocy,
 Dając serce na pastwę piekielnych udręczeń,
 Witaj morze obłądy, tęsknoty i jęceń!
 Chodź! woła los zdradliwy, i puszczaj się ze mną!..
 Rozstap się raczej ziemio! i zamknij nade mną.
 Powstań ostatnia burzo! porwij mię, gdzie człowieka,
 Albo przemiana bytu, albo nicość czeka!
 Pod czarnym dni obrazem, znika śmierci trwoga,
 Przystaję błogosławić Stworzyciela Boga,
 Który ciężarem życia człowieka przywala;...
 Ale On jest mym Bogiem, On umrzeć pozwala!
 Niestety! cóż wyrzekłem? przełknięta dusza
 Cofa się, i na własny zapęd się obrusza.
 Jakiegoż usta moje tknęły się inienia?
 O Ty sprawco i świadku mego uniesienia!

Którego tcho myśli śmiertelników słyszy
 Wśród grających piorunów i wśród nocnej ciszy,
 Boże litości! przebac! jeśli dusza tkliwa,
 Bojąc się przyszłych nieszczęść, gromu Twego wzywa.
 Przebac! jeszcze udręczeń ciężaru nie znoszę;
 Co mówię? jeszcze dla mnie zostają roskosze:
 Błogosławieństwa Twoje, i szczęścia zadatki,
 Miłość dobrego ojca i łyżki tkliwej matki.
 O najdroższe Imiona! Na wasze wspomnienie,
 Znikają wszystkie troski, jak przed słońcem cienie,
 Myśl się szczęściu otwiera, łyżki się słodkie leją,
 I dusza w nowe wchodzi przymierze z nadzieją.

Jakże mi w czas przybywa to światło wschodzące,
 Wstaje, jak sen spokojne, jak łyżka w oku drżące;
 Dalekiego w niem słońca widać mdłe promienie,
 Jak w zimnej duszy starca miłości wspomnienie.
 Wstaje — około niego i noc odskoczyła,
 I uśpiona Natura wpół się rozbudziła.
 Rozpędza ciemność oka, ciemność serca słodzi,
 I po cichych promieniach dumanie rozwodzi.
 Ach! nad jakimże miejscem ten księżyc się toczy!
 Ileżkroć ten sam widok zachwycał me oczy!
 Zwolna już gmach wspaniały z cieniów się dobywa,
 Gdzie nadzieja i wieczna młodość przemieszkiwa!
 Są i w nim burze życia i przygód tysiące,
 I troski bydź roskoszą przyszłych dni mające.

Na tej wysokiej wieży spoczywa w milczeniu
 Dzwonek, co w wielowładnym i chrapliwym brzmieniu,
 Zwołujące nas echa, obudzał po górach.
 W tym obszernym dziedzińcu, przy tych świętych murach

Młody i niespokojny naród się zgromadzał;
 Któż pod temi lipami z nas się nie przechadzał?
 Na tej skale tych gruzów nie badał się zdarzeń,
 Nie osadzał w tym Zamku rycerza swych marzeń?
 Gdzie ta góra po niebie rysuje się w cieniu,
 Tam nie raz mię więziły w odludnem milczeniu
 Samotność i westchnienia nieznane nikomu,
 Tędy mię lato co rok wracało do domu..
 Ach! gdzież mię porywacie śmiejące się mile
 Czarodziejskiej młodości niepowrótne chwile!
 Wszystko, co już minęło, w duszy mojej staje;
 Wszystko się tam słodyczą, wszystko szczęściem zdaje:
 Myśli były weselsze, było słońce żywsze,
 I nieba pogodniejsze, i dusze szczęśliwsze!..
 Jakże mi niespodzianie mijasz wieku młody!
 Mijasz, jak podróżnego sen w czasie pogody;
 Zrywa się nagły wicher, a grom, który rzuca,
 Marzącego o szczęściu wędrowca ocuca.
 Ach! przestańmy już myśleć o tym żalu błogim;
 Cóż mi żąd, prócz tęsknoty? a w tém miejscu drogiem,
 Gdzie dni mego poranku dowiął się watek,
 W miejscu, zkąd tyle lubych zabieram pamiątek,
 Nie zostawiam tu może żadnego wspomnienia,
 Coby choć w jednem sercu przyspieszyło drżenia.
 Tak wierzba nad lejącym potokiem wisząca,
 Gdy straci jeden listek z swych listków tysiąca,
 Ten upada na strumień, płynie... już upłynął;
 Jak zieleniał nieznanu, tak nieznanu zginął.

K. SIENKIEWICZ.

WYIĄTEK Z POEMATU p. f.
 FRANCISZEK KNIAŻNIN.

I.

BLADY jak marmur człowiek odpoczywał,
 Na czarno kirem usłanej pościeli,
 Strój narodowy pięknie go odziewał,
 Gromnice ogniem pały nad głową,
 Któręć wiek późny swęć użyczył bieli;
 Płaczliwe pieśni brzmiały między dziady:
 I tu i ówdzie ludu błędzące gromady
 Szeptaly pacierz ze łzami na oku,
 Dzwon się rozlegał... — w uroczystym stroju,
 Przy głuchych jękach różnego natłoku,
 Księża parami weszli do pokoju,
 Krzyża chorągwie na wiatr postawione
 Chwiały się pełnym tonem to w tę, to w tę stronę;
 Niewiedząc jeszcze co to wszystko znaczy,
 Spokojućm okiem do koła patrzałem;
 Ale, jak biędną matkę mą ujrzałem,
 Upadającą z rozpaczcy,
 Takie za serce żale mię ścisnęły,
 Że dotąd w piersiach ciężką boleść noszę.

„O! płacz za ojcem, płacz biędne pacholę!
 „W świat on weselszy poszedł po roskosze;
 „Gdzie, ani słońce upałem nie ziele,
 „Ani mróz w żyłach krew ścina,
 „Ani grad siecze, ani powódź leje,
 „Ni przyjaźń sideł pokątnych napina,

„Ani wróg na twe dostatki łakomy
 „Ostrzy żelazo i podpala domy:
 „Leez ciebie rzucił, jak łódkę bez wiosła,
 „Aby ją burza między skały niosła.“
 Tuląc do serca taką mowę prawił
 Człowiek nieznany, a bardzo sędziwy,
 Pewnie mu dawno ziemia nakryła włos siwy;
 Lecz słowa, które w mém uchu zostawił,
 Ileć wiatrem tamta chwije strona,
 Brzmia jak w posagu Memnona.

Ubrani w wieńce i szaty godowe,
 Obchodzą wszyscy uroczyste święta,
 A matka moja w ustroniu zamknięta,
 Tylko popiołem posypuje głowę,
 Niesie jałmużnę, rzewne łzy wylęwa
 I hymny nabożne śpiewa.
 Zarosły ścieżki dawnych przyjacieli;
 Lecz za to, która do Cmentarza zmierza,
 Coraz się bardziej rozszerza:
 Bo, czy jutrzeńka widnokrąg weseli,
 Czy to noc dniowi przygasa promieni,
 Matka tamtędy przechodzi,
 I gdzie płacząca brzoza warkocze zielone
 Nad ukochanym grobowcem rozwodzi,
 Klęka, na piersi blade ręce składa,
 Posyła w Niebo modły i westchnienia.
 I ja z nią odwiedzałem tę smutną ustronę.
 Ukośny promień cichego zachodu,

Ptaszek, którego hałas nie odgania,
 Kwiat, co nadzieją grobowiec osłania,
 Przelatujące motyle,
 Uczucia moje tak stroiły mile,
 Żem nie czuł z ludźmi rozvodu.
 Kiedy już jesień potrząsała liście,
 A zima roniąc i lody i szrony,
 Na świat zewnętrzny zawierała wniście,
 Czytała matka, jak dawniejsi ludzie
 Rzuciwszy pyszne pałace i gródy,
 Radzi mieszkali w pustelniczj budzie,
 Ich pokarm, leśne owoce i miody,
 Ich napój, czysta krynica,
 A cały ubiór, dawna włosienica:
 Długo stęsknieni za ojczyzną świętą,
 Gdy świat uparty w zabobonach tonie,
 Męczeńskim wieńcem ozdobili skronie.

Inni szkolnym naukom ukradzione chwile
 Gubili, łowiąc ptaki i motyle,
 Lub na swawolnych tak jak sami koniach,
 Gonili wiatry po błoniach;
 Ja gałązkami uwieńczywszy skronie,
 Błądziłem między gaje i strumienie.
 A kiedym ujrzał w kryształowém łonie
 Zielone pasmo i wzgórków i lasów,
 I błękit niebios, i słońca promienie,
 I własną postać w majowej koronie,
 Myśla do dawnych wzlatywałem czasów;
 Aż złudzonemu omamieniem oku,

„Ani wróg na twe dostatki łakomy
 „Ostrzy żelazo i podpala domy;
 „Leez ciebie rzucił, jak łódkę brz wiosła,
 „Aby ją burza między skały niosła.“
 Tuląc do serca taką mowę prawił
 Człowiek nieznan, a bardzo sędziwy,
 Pewnie mu dawno ziemia nakryła włos siwy;
 Lecz słowa, które w mem uchu zostawił,
 Ilekroć wiatrem tamta chwieje strona,
 Brzmia jak w posagu Memnona.

Ubrani w wieńce i szaty godowe,
 Obchodzą wszyscy uroczyste święta,
 A matka moja w ustroniu zamknięta,
 Tylko popiołem posypuje głowę,
 Niesie jałmużnę, rzewne łzy wyléwa
 I hymny nabożne śpiewa.
 Zarosły ścieżki dawnych przyjacieli;
 Lecz za to, która do Cmentarza zmierza,
 Coraz się bardziej rozszerza:
 Bo, czy jutrzeńka widnokrąg weseli,
 Czy to noc dniowi przygasa promieni,
 Matka tamtędy przechodzi,
 I gdzie płacząca brzoza warkocze zielone
 Nad ukochanym grobowcem rozwodzi,
 Klęka, na piersi blade ręce składa,
 Posyła w Niebo modły i westchnienia.
 I ja z nią odwiedzałem tę smutną ustronę.
 Ukośny promień cichego zachodu,

Ptaszek, którego hałas nie odgania,
 Kwiat, co nadzieją grobowiec osłania,
 Przelatujące motyle,
 Uczucia moje tak stroiły mile,
 Żem nie czuł z ludźmi rozvodu.
 Kiedy już jesień potrząsała liście,
 A zima roniąc i lody i szrony,
 Na świat zewnętrzny zawierała wniście,
 Czytała matka, jak dawniejsi ludzie
 Rzuciwszy pyszne pałace i grody,
 Radzi mieszkali w pustelniczéj budzie,
 Ich pokarm, leśne owoce i miody,
 Ich napój, czysta krynica,
 A cały ubiór, dawna włosiennica:
 Długo stęsknieni za ojczyzną świętą,
 Gdy świat uparty w zabobonach tonie,
 Męczeńskim wieńcem ozdobili skronie.

Inni szkolnym naukom ukradzione chwile
 Gubili, łowiąc ptaki i motyle,
 Lub na swawolnych tak jak sami koniach,
 Gonili wiatry po błoniach;
 Ja gałązkami uwieńczywszy skronie,
 Błądziłem między gaje i strumienie.
 A kiedym ujrzał w kryształowém łonie
 Zielone pasmo i wzgórków i lasów,
 I błękit niebios, i słońca promienie,
 I własną postać w majowej koronie,
 Myślą do dawnych wzlatywałem czasów;
 Aż złudzonemu omamieniem oku,

Wieszcza się widzieć wydało,
Srzód Elizeum i sławy uroku.

Lubiłem sobie dumać na mogile,
Albo zdobywać w niej dawne pamiątki,
Pancerzy, mieczy, pordzawiałe szczątki;
Jeślim kiedy odkopał te waleczne kości,
Co się oparły dotąd czasu sile,
I z grobu, gdzie im wieczna sława świeci,
Miłości kraju uczą słabe dzieci,
Płakałem z żalu, pogardy i złości.

Jak dziś pamiętam słońce na zachodzie,
Cichym promieniem i rolą pożąca,
I wieśniaka, co z roli do domu powraca,
I trzodę, która w okrąg stanęła przy wodzie,
I dzieci igrających z piłką na wygonie,
I Krzyż i Zbawiciela w cierniowej koronie,
I zamek, co tam za lasem pod chmurą
Bieli się właśnie, jak łabędzie pióro.
Ten piękny chaos i światła i cieni,
Z mogiły, której czoło się zieleni
Gajem na kościach nieznanych rycerzy,
Tak jak ten bujny orzeł pod obłokiem,
Lub jak poeta z niebotycznej wieży,
Chwytałem rozczulonem i sercem i okiem.
Schylone słońce nocy ustępuje,
Tumany żenią ziemię z niebiosami,
Księżyc prowadzi gwiazdy gromadami,
I po błękitnym stepie rozsypuje;

Te błędząc, nie raz uchybiają drogi,
I upadają po pod moje nogi.

Nikt nie wydała wybrać wody z rzeki,
I myśli naszej wyczerpać nie można;
A jak ta woda tajemnymi ścieki,
Równie myśl nasza niewiedomie płynie,
Wzbiera dopóty, aż w niej człowiek zginie.
Ginałem w myślach...

Wietrzyk liśćmi zakolysał w borze,
Przepiórka wabi po sąsiedniem życie,
Bąkacz się czasem ozwie na jeziorze,
A zając dzienne rzuciwszy ukrycie,
Na drodze w piasku bawi się jak dziecię.
Pożno być musi... przez zioła i trawy
Idę z milczącym jak sam towarzyszem,
Z olbrzymim cieniem własnej postawy.
Wszyscy śpią — gdzie tam! jest jedna osoba,
Któręj nie daje snu wieczna żaloba;
Przed wizerunkiem Najświętszej Dziewicy,
Dzień i noc lampa goreje w świetlicy;
Tam moja matka modli się, łączy leje.
O! jakikolwiek grzech ciąży jej duszy,
Tak wielką skrucą piekło się porusza;
Dopieroż Niebo, ojezyzna litości:
Przyjm, matko moja, do serca nadzieję,
Tyle lat płaczu, modłów, cierpliwości,
Niech wszelką trwogę z umysłu rozwieje,
Wszak Bóg nasz Ojciec!..

— „Tak, Ojciec, mój synu!
 Ażaliż tylko ten ma wznosić modły,
 Którego, żądła występnego czynu
 Sumienie grotem zabójczym ułodły?
 Z światobliwego domu mojej matki,
 Pod strzechę męża tak przyszedł niewinna,
 Jak te na polu lilie, bławatki;
 Zycia mojego nie minęło lato,
 Ja byłam męża opłakać powinna,
 I moje drobne ukochane dziatki;
 Tyś mi pozostał i czyste sumienie.
 Pokłon i chwała Panu Bogu za to!

Z oczu mi płyną hojne łez strumienie,
 Bo łzy najbardziej tu ludziom przystoją.
 Cóż szczęście nasze? piękny krzew nadziei,
 Wschodzi, bo nasze marzenia go poją,
 Co dzień bujniejszy po nim liść się chwieje,
 Co dzień poranek w śliczne stroi kwiecie;
 Lecz gdy już wiosny ma zostać korona,
 Uderzy burza, i z prochem rozmiecie!
 Czemuż mię, ucząc powszednio pacierze,
 O niestałości losu nie uczono?
 Wiek mój zamknąwszy między cztery ściany,
 Jak obojętnie na lody i szrony,
 Takbym na świata patrzyła przemiany!

Kto ma szlachetne, pełne czucia serce,
 Mieszka wśród ludzi, a jeszcze ubogi;
 Taki za życia piekłem umęczony,
 Podłość i duma, pokoju morderce,
 Dniom jego noszą gniewy, żale, trwogi,

Łzy i bezsenność do nocnej pościeli:
 Umysł, ta cząstka niepojęta Bóstwa,
 Znużony walką przeciwnego mnóstwa,
 Pada, z nim gaśnie szlachetna istota,
 Tak kiedy piorun maszt główny ustrzeli,
 Zaleje korab' batwan, co nim miota.

Gdybyś się sercem opatrzył tygrysim,
 Lwią siłą, dowcipem lisim,
 Scieląc pod nogi nieszczęsnego brata,
 Stanąłbyś w górze sławiony, przekłęty;
 Ale dla ciebie szczęście nie u świata:
 Bo twoje serce na bliźnich niedolę
 Drży, jak ten puszek wietrzykiem dotknięty,
 Siły podobne do owadzych sieci,
 Co lada muchy zrywają swawole,
 Umysł do pięknych wzwyczajony marzeń,
 Z rospaczą śledzi powszechnych wydarzeń.

Różność zamiarów rodzi różne chęci;
 Ztąd taka wrzawa śród światowych ludzi:
 Ale gdzie wieki jedna myśl w pamięci,
 Tam, jakby w raju, harmonia czucia,
 Tam skromna cisza aż do dni wysnucia;
 W zgodzie i ciszy gdy nasz duch usiedzie,
 Już sąsiad Nieba... Gdzież szczęście jak w Niebie?
 Mój synu! czyliż nad wszystko u ciebie,
 Nie będzie Niebo na najpiérwszym względzie?...

ALEKSANDER GROZA.

R O C Z N I C A.

NIESTETY... po trzech latach zuów dnia dożyć trzeba,
W którym drogi duch ojca powrócił do Nieba.

Bije godzina... słucham... czas w żalu ubieżył,

Gdy ta biła godzina... już mój ojciec nie żył.

Łoże jego śmiertelne czarny kir zastronił,

On śpi, mówiono do mnie, jam żył tylko ronił.

Lecz gdy bliskiej świątyni straszne brzmienie dzwonu,

Wydało smutne hasło śmiertelnika zgonu;

Każdy odgłos w ściśniętą duszę mą się wdzierał,

Jam również wtenczas umierał.

Wszystko w koło o strasznej świadczyło mi stracie,

Gdy noc posępna w czarnej wystąpiła szacie,

Jużem przy jego boku siedzenia nie zyskał,

Czekałem, pusto było za chatą i w chacie,

Już mnie na noc nie pieścił, czule nie uściskał.

Każdej nocy. cień ten święty

We śnie ku mój dąży stronie...

Ja ciągle żalem przejęty,

Lat trzy minęło, a ciągle ży ronię,

Lat trzy, a dotąd boleść moim jest udziałem;

Nie mogę widzieć syna na ojcowskiem łonie,

Abym nie westchnął sobie, i ja ojca miałem!

Obraz jego tkwi ciągle w mój czulej pamięci.

Ach! kiedy blada jesień usamotni lasy,

Drogi ojcze, to miejsce serce me uświęci,

Gdzie ze mną przez ostatnie przebywałeś czasy;

Pójdę tam, gdzie śmiertelnych z innym łączą światem,

Grób twój skromnym wienieczyć kwiatem.

Tam ku twojemu uczczeniu,

Zamiast wystawiać mogiłę ozdobną;

Łzę smutku roniąc na twoim kamieniu;

Pieśń tę powtórzę żałobną.

Z MILLEVOYE,

przekład J. ZAWADZKIEGO.

CÓRKA TĘSKNIĄCA DO OJCA.

P I E Ś Ń.

OJCZE! z twęj łaski niczemom nie głodna;

Aleś zapomniał, żem sama została!

Wyczerpaj dla mnie twoje dary do dnia,

Gdy cię nie widzę, jakbym nic nie miała.

Ciebie najpierw witam obudzona,

Dziennę tęsknocie, z ciężkością wydałam;

Kiedy co piszę, twe kręśle imiona,

I kiedy śpię, ciebie ja to wołam.

Często żałość poglądam w tę stronę,

Kędy podróżny podróżnego goni;

I po szlaku mi kurzawy wzniesione,

Nadzieję czynią twych wozów i koni.

Ale poznawszy, że ktoś mi nieznany,

Myszę: „Ojciec to jakowś bez mała,

„Może do córki śpieszy ukochanej,

„Co mu się lepiej zasłużyć umiała.“

Ta myśl duszę mi przenika stroskaną!

I chociaż mało nadziei odbieram;

Chociaż nie warta, bym była kochaną,

Szodkiem leż w oczach jeszcze cie uziaram;

Powracaj ojcze! powracaj zaklinam;
 Patrzeć mi na cię największą pieśczęcią.
 Bo wtenczas tylko o tęp zapominał;
 Że nie mam matki i jestem sierotą.

KARPINSKI.

BIEDNA MARYNIA.

CZARNEM wóród nocy nękana marzeniem,
 Przed snami nawet zmuszona uciekać,
 Wstała Marynia, i z ciężkiem westchnieniem
 Poszła na górę wschodu słońca czekać.

Na pierwsze całęj Natury ocknienie,
 Tkliwie się w gnieździe ozwał ptaszek mały,
 Matka mu słodkie niosła pożywienie:
 Oczy Maryni łzami się zalały.

„O! jakże, rzekła, szczęśliwe życie!
 „Czemuż ja nigdy matki mój nie znałam!
 „Nic nie masz mego na tym wielkim świecie,
 „Kołébki nawet nie miałam.

„Na tym kamieniu, u drzwi tęp kaplicy,
 „Tu mnie znaleźli porzuconą srodze;
 „Tu ja z tęp wioski do Boga-Rodzicy
 „Po łzy pociechy przychodzę.

„Nikt mnie tam w swojej nie chce znać rodzinie,
 „Nikt cierpiącemu sercu nie odpowie;
 „I żadne dziecię w tęp całęj dolinie
 „Siostrą mnie swoją nie zowie.

„Widzę ja zdala wieczorne uciechy,
 „Patrzę na ojców i matek pieśczęć,
 „Ale nikt do swęj nie zawoła strzechy,
 „Biédnej, nieszczęsnęj sieroty.
 „Tutaj więc, tutaj idę ze łzami mojemu.
 „Kaplico!... ty mi świat ten zastępujesz,
 „Ty mi się jedna otwierasz na ziemi,
 „Ty mnie jak córkę przyjmujesz.

„Ileż ja razy nad tym głazem płaczę,
 „Tu, gdzie przez matkę porzuconą była,
 „Patrzę, czy śladu łez tych nie obaczę,
 „Które tu może roniła.

„Nie raz ten Cmentarz błędną zwiedzam nogą,
 „Co w innych wzbudza tyle uczuć rzewnych,
 „Ale cóż groby obchodzić mnie mogą?
 „Ja i w grobie nie mam krewnych.

„Ach połów koniec mojemu cierpieniu!
 „Nigdyż cię, nigdy nie ujrzę w tęp życiu?
 „Wróć matko! czekam cię na tym kamieniu,
 „Gdzieś mnie rzuciła w powiciu.“

Na tęp uciechły jęj skargi i żale,
 I wszystkie razem cierpienia i troski;
 I już jęj odtąd nie widziano wcale,
 Ani na górze, ani wpośród wioski.

Mówiono o nięj tylko, że po kilku latach,
 Jakaś nikomu nieznaną niewiastą,
 Z zakrytą twarzą i w żałobnych szatach,
 Przybyła do nięj z dalekiego miasta.

Z łzami o Cmentarz pytała wieśniaków:
Poszli z nią pełni uczynnej ochoty,
Lecz już nie mogli wpośród traw i krzaków
Rozpoznać grobu sieroty.

F. M.

W A S I L E K.

BALLADA.

PORANNE słońce na wioskę blask roni,
Dokoła złoci się zboże,
I żółte fale płyną po błoni,
Jak płyną fale przez morze.
Szczęśliwa wioska! szczęśliwe zagony!
Trzecia tu jesień z kolei,
Najświeższe łąki, najbujniejsze plony,
Wraca rolników nadziei.
Widzisz tę miedzę, co zagon pszenicy
Zielonym przerzyna paskiem?
Dalej dwie kładki leżą na krynicy,
Za nią mogiłnik pod laskiem?
Wiedz, że tę miedzę, mogiłnik i kładki,
Wioska jak święte poważa,
Zponad krynicy dziewczęta rwą kwiatki
Na równianki do Ołtarza.
A kto obdarzył biednego pielgrzyma,
Sierotę przyjął w gospodę,
Wzięty z tej miedzy bławatek otrzyma
Od całej wioski w nagrodę.
Bo trzecia jesień, jak w ranną chwilę,
Przebiegłszy miedzy tej paskiem,

I po tych kładkach; na matki mogile,
Płakał Wasilek pod laskiem.
„Niedobras mamó! dawniej bywało
Chęć mą umiałaś zgadywać,
Dziś cię tak długo twe dziecię wołało,
Nie chciałaś mu się odzywać.
Pukałem do drzwi twój kamienną chatkę,
Daremne łyż i wołanie.
Milczysz, a mnie tu tak smutno bez matki,
A mnie już i łyż nie stanie!
Ciebie nie stało, wszystkiego nie stawa,
Bo z tobą moje wesele.
Niosą mi strawę; do czegoż mi strawa,
Kiedy jęć z tobą nie dziele.
Niosą mi cacki; na cóż mi te cacki,
Cóż w nich miłego zobaczę,
Ciebie nie widząc. Wziąłem strój żebracki,
W żebrackim stroju tu płacząc;
Bo odzież, jaką obaczyłem w chacie,
Wyniosłem, siadłem na progu;
Przyszli ubodzy: Weźcie, wszystko macie,
Polecajcie mamę Bożę.
Biedni sąsiedzi, weźcie nasze zboże,
Ach! mam kapotkę, wspominałem,
A i to mamy duszeczce pomoże,
Na Mszę dla Księdza oddałem.
Potem poszedłem do naszój obory:
Trzódka! do czegoż cię chować;
Odparłem wrota — Bieżcie krówki w bory,
Nie ma was komu pilnować.

Ojcie mój, matko! wy gdzieś obok siebie
 Latacie skrzydłem motylka,
 Ach! jak tam dobrze musi być w tém Niebie;
 Weźcie do siebie Wasilka;
 Tak się żyć nie chce. Ach! z życia przewłoką,
 Dla sieroty nędza sama,
 Pan mój daleko, Pan Bóg mój wysoko,
 Druga nie znajdzie się mama.
 Smutno mi, smutno; wy twardo śpicie,
 A ja tu wołam co chwila,
 O matko! ojcie! przytulcie swe dziecię,
 Weźcie do siebie Wasilka!“
 Klęka na grobie, rączki w górę trzymaj,
 I milczy i łzy nie biegaj;
 Tylko u Nieba pytał się oczyma,
 Czy wysłuchało prośb jego.
 A przez to Niebo, jak mgła przez jezioro,
 Białe się chmurki ciągnęły,
 I w oddaleniu znikwały nie skoro,
 I nowe jak dym płynęły.
 Lecz jedna chmurka samotna i biała
 Nie płynie razem z innemi;
 I coraz niżej na powietrzu siada,
 I coraz bliżej do ziemi.
 Scichł wietrzyk, nie śmie blasku wód zatrzeć,
 I liści ustało drżenie,
 Zdaje się na to umilkł świat, by patrzeć
 Na osobliwsze zjawienie.
 Oto na chmurze było dwóch gołąbków,
 Białych jak księżycy promyk,

Skrzydełka miały z promienistych rąbków,
 Nad niemi drżał siny płomyk.
 Wleciały, siadły na dziecka ramieniu,
 Woń miłszą wychnęły kwiaty,
 Słyszał Wasilek w gołąbków gorzeniu
 Głos swojej mamy i taty.
 „Wasilku! cnotę Bóg hojnie zapłaci;
 Patrz, nie poznasz ojca, mamy,
 Taki blask bije z ich nowych postaci,
 Kłopotów ziemskich nie znamy.
 Nad dolą naszą nie ma szczęśliwszej,
 Dóm nasz na niebios błękiecie,
 Czém u was chwila rokoszy najżywszej,
 Tém u nas całe jest życie.
 Jako my teraz, zmienisz się w gołąbka,
 I będziesz Raju ozdobą,
 Z róży na różę, od dąbka do dąbka
 Lećmy z sobą, zawsze z sobą!“
 Jakoż się w chwili ziścił wyrok Boski,
 Wasilek ginął i ginął;
 Z główki tak małej jak orzech włoski,
 Różowy dziobek wypłynął;
 Gdzie dwoje oczu, błysły dwa światełka,
 Piersi uszchrzył puch biały,
 Z ramion promienne strzeliły skrzydełka,
 I trzy gołąbki wleciały.
 Widzi to pasterz z bliskiego ugoru,
 I z oznajmieniem wnet bieży;
 Na ten cud zeszli ze wsi i ze dworu,
 Znaleźli resztki odzieży.

A gdzie kolaniem weisnął grób głęboko;
 Wyrósł (dotychczas nieznanym)
 Kwiatek błękitny jak u Egli oko,
 Podwójnie u nas nazwany.
 My go bławatkiem, gmin wasilkiem zowie,
 My dla barwy, gmin z powieści,
 Chętnie on wiejskiej zakwita dąbrowie,
 I wieśniaczek oczy pieści.
 Starce, dziewczęta, i prostszy gmin ludu,
 Wierzą w powieść pastérzową,
 Kto ślepém sercem nie widział w tém cudu,
 Wznosił ramiona, trząsł głową.
 To jednak pewna, że od tego czasu,
 Wsi tej nie rzuca stan błogi;
 Zawsze tam zboża podobne do lasu,
 I na łąkach jak mur stogi.

ALEX. CHODŹKO.

J A Ł M U Ź N A.

LEGENDA.

Litość ku biednym, wdzięczność sieroty,
 Jakiegoż serca nie wzruszą?..
 Alinko! wszystkie piękne są cnoty,
 Lecz litość wszystkich cnót duszą.
 Widziałem wczora, gdyś przez okienko,
 I za tom wdzięczność ci dłużny,
 Zebrany dziatkom rączką maleńką
 Hojne sypała jałmużny.

Jak Anioł, na pół skryty w obłoku;
 Zwiastunnik Bożej litości,
 Taką się memu wydałaś oku,
 Słodkiej pełnemu radości.

Po krés żywota szczęśliwym będę
 Miłą tej chwili wspominką,
 A za nagrodę moję Legendę
 Tobie poświęcam Alinko!

Lubisz Alinko w porankach Maju,
 W rokosznych bawiąc Giełwanach (*),
 Biegać po łąkach, igrać po gaju,
 Lub zbierać kwiatki po łąkach.

Maj to był właśnie: ledwo jutrzeńka
 Rozlała blaski i wonie,
 Gdy, jak ty piękna, jak ty maleńka,
 Biegła dziewczynka przez błonie.

Niedając spocząć strudzonej nodze,
 Przebyła większą część drogi:
 Aż gdzie drewniany Krzyż stał przy drodze,
 Pod Krzyżem siedział ubogi.

„Pan Jezus z tobą! miła dziewczynko!
 Dokąd to sama, o świecie?
 Ze łzami w oczach, z żałosną miną?
 Co tobie? powiedz me dziecię!”

(*) Wieś w powiecie Wileńskim JW. Prezyd. Zaby.

Na taki widok, na głos staruszka,
 Dziewczynka nagle się wstrzyma;
 A łyż otarłszy końcem fartuszka,
 Mierzy go długo oczyma.

„Co ci dziewczynko, czego tak stoisz?
 Rzekł starzec, ukoj łyż woje;
 Co ci, mów śmiało, czy się mnie boisz?“
 — „Ja się ubogich nie boję.

„Bo oni biedni, kochać ich trzeba,
 Często słyszałam od matki;
 Zawsze im sama wynoszę chleba,
 Jak który przyjdzie do chatki.

„Ale mój dziadku! matka mi chora,
 Chce mnie, jak mówi, porzucić:
 Nie spała, ani jadła od wczora,
 Ach! jakże nie mam się smucić!

„Całą noc cierpiąc żal nieustanny,
 Klęcząc, prosiłam ze łzami
 Pana JEZUSA, Najświętszej Panny,
 By mieli litość nad nami.

„I ty staruszkę módl się do Boga,
 Proś go za zdrowie mej matki;
 A przyjm to; choć ja sama uboga,
 Choć to me wszystkie dostatki.

„Chciałam dziś za to kawałek chleba
 Kupić dla siebie; lecz lepij
 Tobie to oddam; prosź tylko Nieba,
 Niech moję mamę pokrzepi.“

— „Tak jest, pokrzepi! będę go prosić,
 Nie próżna moja otucha.
 Przestań dziewczynko ocz łzami rościć,
 Bóg szczeręj prosby wysłucha.

„Bo kto biednemu poda jałmużnę,
 Cierpiącym boleść osłodzi;
 Temu, rzekł CHRYSTUS, Niebo jest dłużne,
 I Bóg go hojnie nagrodzi.“

Zaledwo skończył, aż w mgnieniu oka
 Blask nagły błysnął dokoła,
 Z pleców szat grubych spadła powłoka,
 Starzec się zmienił w Anioła.

Z ramion mu złote skrzydło wystrzeli,
 Trzy gwiazdy młodą skroń wieńczą;
 Dokoła długi strój śnieżnej bieli,
 Jasną przepasan był tęczą.

Pogoda wiosny śmiała się z czoła,
 Róża kwitnęła we technieniu;
 Gdy mgłą przejrzystą oblan dokoła,
 Wzłatał ku Niebu sklepieniu.

A gdy dziewczynka nagle widzeniem
 W dłoni strwożony wzrok chowa;
 Z tkliwym uśmiechem, z wdzięcznym spójrzeniem,
 Te jeszcze do niej rzekł słowa:

„Nie płacz dziewczynko, powróć do chatki;
 Bóg twoję żalność obaczył,
 I drogie zdrowie wrócił dla matki,
 I tobie szczęście przeznaczył.“

„Bo kto biednemu poda jałmużnę,
Cierpiącym boleść osłodzi,
Temu i Niebo zapłatę dłużną,
I Bóg go hojnie nadgrodzi.“

To rzekł, i coraz, i coraz chyżej,
Wznosił się we mgle obłoka,
I coraz wyżej, i coraz wyżej,
Aż całkiem zniknął z przed oka.

Długo dziewczynka drżąca i zbladła,
Jak wryta na miejscu stała;
Przez nadzwyczajne złąkła widziadła,
Wracać do chatki nie śmiała.

Wróciła wreszcie — o! co za radość!
O! co za szczęście tam było!
Stało się wszystkim życzeniom zadość,
Matce jej zdrowie wróciło.

Ale Alinko! jeszcze nie na tém
Koniec Niebieskiej nagrody:
Bóg ją opatrzył zbiorem bogatym,
Rozmnożył stada i trzody.

A gdy w szesnastym żyła już Maju,
Taka ją piękność odziała,
Ze była, jak ów posłaniec Raju,
Co go przed laty widziała!

Raz, gdy w orszaku równiennych dziewic,
Zbiierała kwiatki w dąbrowach,
Ujrzał ją trafem młody Królewic,
Co się tam bawił na łowach.

Ujrzał, pokochał, wzajem kochany,
Wziął ojca błogosławieństwo,
I wkrótce, mimo nierówne stany,
Pojął dziewczynkę w małżeństwo.

Długo im, długo szczęśliwe lata
I uciech płynęły zdroje;
Aż utrudzeni marnością świata,
Do Nieba poszli oboje.

Litość ku biednym, widzisz Alinko;
Jak hojnie Pan Bóg nadgradza!
Z każdym to będzie, co z tą dziewczynką,
Kto bliżnim nędzę osładza.

Bo wiedz, że tylko litości droga,
Wiedzie do szczęścia świątyni!
W niej cię postawi ojca przestroga,
I rady mądrzej mistrzyni.

ANT. EDW. ODYNIEC.

J A Ł M U Ż N A.

Noc była ciemna, wieja, ślizgawica,
Szedł jakiś młodzian porządnie ubrany;
W tém, jakby na złość, gdzie wązka ulica,
Stoi staruszek okryty łachmany,
I żebrze. „Wstydź się, czyż to żebrać pora,
Któżto jałmużny prosi śród wieczora?
— „Panie po licu mojem spojrz wybladłem,
„Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem.“

— Ej daj mi pokój, nie mam, nie mogę.“
 Ofuknął młodzian, i szedł w dalszą drogę.
 Idzie i myśli: oj! znam was, filuci,
 Miejsy próżniacy, ze wszydu wyrzuci:
 Wziął lichą odzież, by tém litość wzbudzić,
 I léez gwałtem, żeby co wyłudzić.
 Lecz potem myśli: można w gniewie zbłądzić:
 Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.
 A może biedny, może ma i dzieci,
 Zajdę, gdzie w bramie tój ogień się świeci,
 Dam mu co. Zaszedł. — Lecz coś szuka długo;
 Nie ma nic drobnych; dam mu razą drugą.
 Słabość jest, zbytnią uwieśdź się szczodrotą;
 Nie tak to łatwo nabywa się złoto.
 Idzie, znów myśli: choćbym dał dukata,
 Niewielka dla mnie byłaby to strata;
 Wszak mam ich kilka, a bez méj pomocy,
 Może staruszek i zamrze w nocy.
 Lecz gdzież już wracać, spożnię się na wiska;
 Ale biednego tego głód przyciska.
 Wrócę się. — Wrócił. — Ledwo dał trzy kroki,
 Ucichło, księżyc błysnął przez obłoki.
 Bieży młodzieniec, dziwi się tój zmianie,
 Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie,
 Dał mu dukata. „Ten co rządzi w Niebie,
 „Oby dla ciebie był też litościwy!
 „Oby cię wspierał gdy będziesz w potrzebie!“
 Westchnął, i zniknął staruszek sędziwy.
 Zdziwiony młodzian patrzy dookoła,
 Lecz nic nie widać pośród nocnej ciszy:

„Któż jesteś starcze!“ przelekły zawoła,
 Wtém jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:
 „Co dasz ubogim, synu mój, nie zginię,
 „Oddam ci w sądu straszliwej godzinie;
 „Uważać każdy twój krok dobroczyunny,
 „Do mnie należy; lecz jest anioł inny,
 „Zbiera co trwonisz, rozrzucasz daremnie:
 „Pomnij, by więcej nie zebrał ode mnie.“

GORECKI.

NĘDZARZ.

PRZEPLACIWSZY w błyskotnym sklepie fraszkę modną,
 Siadał Pan miljonowy w karétę wygodną.
 Wtém przypelza na szczudłach, bez ręki, bez nogi,
 I prosi wsparcia, z głodu wyżółkły ubogi:
 „Idź precz! ofuknął z gniewem, z drogi obszarpańcze,
 I kiedyż zbiorą z ulic tę podłą szarańczę?
 Płacim Dobroczyńności towarzystwu drogo;
 Otwórcie pojazd!“ — „Z BOGIEM jedź, rzecz kaleka,
 „Nic nie daj; ale nie hańb równego ci człeka.“
 Tu złotem skłiniący pojazd wyruszył wśród huku,
 A łyzy nędzarza cicho pobiegły po bruku.
 Szedł wyrobnik; wstrzymuje go widok kaleki:
 „Niechay będzie nasz CHRYSTUS pochwalon na wieki.“
 Rzekł; dobywa chleb czarny, pracy owoc dniowy,
 I nie żałował bratu swemu dadź połowy.

GORECKI.

ŻEBRAK PRZY DRODZE,

PIEŚĆ.

Dawne człeka panowanie,
Niewyniszczzone do końca!
Zostało mu używanie
Wolne powietrza i słońca.

Resztę rękami twardemi
Dała możnym przemoc krwawa!
Na cóż mię było na ziemi
Gdy nic do niej nie mam prawa?

Ptastwo wolno przelatuje,
I wyżywia się z tej niwy;
Tu robak część swą znajduje,
Wziął wiele chciał zwierz pierzchliwy!

Ja równym człekiem stworzony,
Próżno pokarmu wyzieram,
Na bujne patrzę zagony,
I z głodu przy nich umieram!

Oto tłum ludzi i koni
Przydrożne zboże wyłacza;
Szum się po powietrzu goni!
Wozy to idą bogacza.

On nad innych roztargniony,
Z gorącem, z pyłem się biędzy;
Chmurą prochu otoczony,
Ze go i Niebo nie widzi!

Pochlebca go fałszem truje!
Co zjadło me wyżywienie,

Ulubione Pańskie szczenie
Na rękę przed nim piastuje.

Bogacz mym głosem zwrócony,
Na tę stronę głową skinał,
Gdzie ja leżę zapomniony!
Widział kalękę — i minął.

Boże! przy mém prawie stoję,
Zwę Cię ojcem ze wszystkimi:
Nie widzisz!... ja dziecko twoje
Poniewieram się po ziemi!

Już mi się oczy ztepiły,
Próżno lejąc łzy codzienne;
Nieba się z ziemią zmówiły,
I stały mi się kamienne!...

Nic mię w tém życiu nie cieszy,
Wszystko mija mą koleję...
Śmierć się tylko ku mnie spieszy,
Za rękę wiodąc nadzieję.

KARPINSKI.

MŁODY ŻEBRAK.

W NĘDZNEJ odzieży chłopak zapłakany,
Ślepego ojca podpora jedyna,
Długą wędrówką i głodem znękany,
Siadł na kamieniu i śpiewać zaczyna:
„O wy! na których niebo dary zlało,
Ślepego starca chcecie wesprzeć nędzę,

- Wszystko już stracił — tylko mn zostało
 Przykre kalectwo, i dziecko w siermiędze.
 Wiek swój w usługach krajowych przepędził,
 Ciągłe nieszczęścia zebrać go zagnaliły,
 Póki mógł, pracy i trudów nie szczędził,
 A ja pracować nie mam dosyć siły.

Przewrotny sąsiad naszedł jego niwy,
 Zboże stratował, ogniem domy strawił,
 W zbytku dzikości okrutny i mściwy,
 Katował starca i wzroku pozbawił.“

Tak śpiewał chłopiec, ufając marzeniu,
 Ze litość w którym z przechodniów obudzi;
 Przejechał bogacz, w dzikim uprzedzeniu,
 Złajał natręctwo nieszczęśliwych ludzi...

Szedł stary żołnierz, co w lichej odzieży
 Znalazł nagrodę za trudy Marsowe;
 Spostrzega starca, ze łzami doń bieży,...
 Dobył chleb z torby, i dał mu połowę!...

XAWERY GODEBSKI.

O NĘDZACH LUDZKICH.

WYJĄTEK Z PÓR ROKU.

Ach! jak mało pamięta zgraja rozpuszczona,
 Uciechy, roskoszami, zbytkiem otoczona,
 Co przy stołach, biesiadach, i nocnej ochocie
 Trwoni bezmyślne życie w szalonym zawrocie;
 Nie pomni, gdy do skocznych tańców się zabiera,
 Wiele na łożu nędzy nieszczęsnych umiera?

Wiele losu próbując kolei odmiennych,
 Tonie z rozpacz w pośród bałwanów bezdennych?
 Wiele z dziećmi, majątkiem, wśród pożarów ginie?
 Wielu tysięcy ludzi krew na wojnach płynie?
 Tak nie jeden z spółziomków ciągle nieszczęśliwych,
 Od domu i przyjaciół oderwany tkliwych,
 Nie za zbrodnie, lecz dla cnót rządcom nieprzyjemnych,
 Żywcem w grobach zamknięty, pośród więzień ciemnych!
 Tam łzami twarde łoże bezsenny obléwa,
 Spełnia kielich goryczy, chleb czarny pożywa?
 Nie wie ten, co go światel grzeje szereg mnogi,
 Jak w lichej chatce z mrozu drży nędzarz ubogi?
 Wielu szaleństwo, wino i zgryzot katusze,
 Okropnemi mękami udęcają dusze?
 Nawet i w tych schronieniach, w tej lubej dolinie,
 Gdzie w pokoju przyjaźni, słodko życie płynie,
 Nie raz źródło jego czysty tysiąc smutków męci.
 Niewzajemnem kochaniem, zazdrością przejęci,
 Tracą sen i spokoju: idą płakać skrycie,
 Zatrute piołunami, nieznosne im życie.
 Nie pomną rozpustnicy, czas pędząc wesoło,
 Wielu; łoże śmiertelne otaczając w koło,
 Patrzy, jak ten przyjaciel, co wiek spędził z nami,
 Pasuje się z ciężkimi konania mękami?
 Ach! gdyby lekkomyślny chciał rozważyć kiedy,
 Te nędze, te zgryzoty, nieszczęścia i biedy,
 Te troski, których człowiek tysiącami liczy,
 Co życie pasmem czynią ustawnej goryczy;
 Stałyby w zapędzie swoim chuci zdrożne,
 Postrzegłby lekkomyślny roskosze swe próżne,

Myślićby się nauczył: bliźniego cierpienie
 Łzęby mu wycisnęło, wzbudziło westchnienie;
 I poznałby tę prawdę co nam życie słodzi,
 Ze człowiek w szczęściu drugich swe szczęście znachodzi.

z TOMPSONA, przekład N.

PIELGRZYM.

BALLADA.

„PRZEZ litość otwórzcie wrota!
 Wiatr z północy wieje srogi,
 Na dworze ciemność i ślota
 Zakryła ścieżki i drogi!

„Nie jestem ja ten, co w borze
 Cudzą zwierzyńcę wypłenia,
 Chociażby i on w tej porze
 Miał prawo żądać schronienia.

„Byłem ja w świętej Solimie,
 Czyniąc pokutę za grzechy,
 Byłem w Lorecie i Rzymie
 Szukając dusznej pociechy...

„Święte pamiątki przynoszę:
 Część krzyża, wodę z Jordanu;
 Otwórzcie, otwórzcie proszę,
 Chętnie udzielię ich Panu.

„Skrył się w gni ździe ptak pierzchliwy,
 Jaskinia strzeże jelenia;
 A ja starzec nieszczęśliwy
 Nigdzie nie znajduję schronienia!

„Słyszysz jak szumią potoki;
 Widzisz na dworze jak ciemno,
 Mam przebydź strumień głęboki;
 Panie! miej litość nade mną!

„Czy twego serca nie wzrusza
 Błaganie starca, jęk żalu?
 Czy od żelaznych wrót dusza
 Z twardszego w tobie metalu?

„Lecz próżno... bądź zdrow, mój Panie!
 Nie masz litości nade mną;
 Obyś nigdy w moim stanie,
 Nie błagał równie daremno!”

Na miękkim złożon atłasie
 Pan wzgardził starca prośbami;
 Lecz nieraz za to po czasie
 Gorzkiemi zalał się łzami.

Bo skoro słońce powstało,
 Gdzie potok nad brzeg się wzdyma;
 Znalezione skrzepłe ciało,
 Ciało to było Pielgrzyma.

WALTER SKOTT.

Tłumaczył A. E. ODYNIEC.

ODA do JW. K. P. C. W. M. Ch. A.

Na cel człowieka niepomny,
 Piekielnej uległy woli,
 Niebu — cnocie wiarołomny,
 Ród ludzki jęczał w niedoli:

Duma w sztyletach i złocie
 Przybranej w wieńce niecnocie
 Kazała korném bć czołem;
 Świat, odurzony ślepotą,
 Upadł przed dumy kościołem
 I zbrodnią mianował cnotą.

O straszny obrazie piekła!
 Tam z głodu kalęstwo kona,
 Owdzie nędza — rozpacz wściekła
 Topi miecz zbójezy do łona...
 Niewinność cnót zapomina...
 Ubóstwo, losy przeklina,
 Samemu Bogu złorzeczy.
 A wśród tych klęsk i cierpienia,
 Duma, deptąc ród człowieczy,
 Wyteża ramie zniszczenia...

Słaby jest rozum człowieka,
 Kiedy Ty nie wspierasz Boże!
 Geniusz — talent ucieka
 W błędnych manowców bezdroże...

Próżno się dowcipy siłą,
 Giną z urodzenia chwila;
 Marność — marnością się gubi. — (*)
 Lecz — ukorzyć się nędzne plemię!
 Już się Judzka ziemia chlubi:
 Bóg — Mądrość zesłała na ziemię!

(*) Rozmaite systemata starożytnych filozofów o moralności.

Niepojęty! Nieskończony!
 Święty! wziął postać człowieka:
 Nie poszedł gdzie dumne trony,
 Lecz gdzie nędza wsparcia czeka;
 Nakarmił tysiączne tłumy;
 Zawstydził ludzkie rozумы:
 Dobroczynnymi bydlę kazał.
 Rozesłał swoje posłańce,
 Nauczać dumne pohańce,
 I jak bydlę człekiem — pokazał.

Chrystusa posłańko droga!
 Przyjmij hołd winnego uczczenia,
 I Ty — jak niegdyś Syu Boga
 Ośladzasz bliźnich cierpienia.
 Otoć ubogie sieroty,
 Wielbiąc czyny Twojej cnoty,
 W ofierze wdzięczność przynoszą.
 Światu, Twój czyn utajony,
 Wdzięczne ci serca ogłaszają,
 A nadgrodzi — Nieskończony!

JAN CZARNOBEJ.

MATKA I DZIECIĘ.

Dokądże ta woda płynie?
 Powiedz mi matko kochana:
 Czyli ona gdzie tam ginie?
 Czyli też po długim biegu,
 Znowu przez nas z tego brzegu
 Będzie widziana?

— Ta woda płynie daleko;
 A tam moje lube dziecię,
 Z wielką połączy się rzeką.
 Z nią wpadnie w morskie głębiny:
 Nie ujrzym jęj z tęg doliny
 Przez całe życie!...
 — Wszakże to niewielka szkoda,
 A ty płaczesz moja mamó!
 Zawsze płynąć będzie woda...
 — Prawda; ale jak te zdroje,
 Ja i ty, kochanie moje,
 Znikniem tak samo!...

K. BRODZINSKI.

SYNEK I MATKA.

— Drżą w powietrzu straszne dzwony;
 Zdala pochodnie migają,
 Słychać księży smutne tony;
 Kogoż to mamó chowają?
 Czy nie malutką Malwinę
 Niosą do Nieba w gościnę?
 Ach! tak jest, mamó, to ona!
 Jakże pięknie ustrojona;
 W bielszej od śniegu odzieży
 W malutkiej skrzyneczce leży,
 I kwiateczki przy niej kwitną
 Związane wstążką błękitną;
 Lecz tu, gdzie jęj białe ręce,
 Plamka jakaś na sukience.

Czy nie zwalana od kwiatka?
 — Nie, rzekła mu na to matka;
 Plamkę tę za to dostała,
 Ze raz mamy nie słuchała:
 I w Niebie na ukaranie,
 Z splamioną sukienką stanie.
 „Strzeż się więc synu małeńki,
 „Niewinnej zwalać sukienki,“
 Aby, gdy przyjdzie potrzeba
 Wyrwać się z objęcia mamy,
 Ulecieć prosto do Nieba,
 Z sukienką bez żadnej plamy.

AL. KARŁOWICZ.

MATKA DO CÓRKI.

Pójdź córko, zważaj twojég matki słowa,
 Różne cię losu czekają koleje,
 Niech rostopności gwiazda ci jaśnieje,
 To cię od przygód, od błędów zachowa.
 Niechaj cię skromność ozdabia jedynie,
 Obcą ci będzie płocha mody sztuka;
 Prawdziwa piękność wytworu nie szuka,
 Sam tylko talent urodę rozwinie.
 Między kwiatami wonna róża błyszczy,
 Pomnij, że zwiędnie wraz z zachodem słońca,
 Pierzechliwą piękność jedna chwila niszczy,
 A tylko cnota wytrwa aż do końca.

Jeśli cię kiedy obarczą cierpienia,
 Zbyt nie fortuny nie lękaj się ciosów,
 Niech boleść twoja w rozpacz się nie zmienia,
 Wyższym bydź trzeba nad niestałość losów.

Jeśli ci niebo nie odmówi złota,
 I szczęścia, czystej należnego duszy;
 Niech w tobie wsparcie ma nieszczęsna cnota,
 Niech żyły cierpiących twoja dłoń osuszy.

Płochęj miłości nie ulegnij sile,
 Bo możesz doznać okropnej goryczy;
 Jeżeli chcesz w życiu szczęsne pędzić chwile,
 Niech czuciom serca rozum przewodniczy.

Bądź miła, słodka i rostopna razem,
 Niech ci zalotność obcą będzie zwodna,
 A skromna postać, twarz zawsze pogodna,
 Serca twojego niech będzie obrazem.

Obym w ostatniej życia mego dobie,
 Cóрко! tych przestroż ujrzyć mogła skutek,
 To mi umniejszy pożegnania smutek;
 Bo trwałe szczęście zapewniłam tobie.

tłumaczył z francuskiego
FRANCISZEK SALEZY DMÓCHOWSKI.

NA ŚMIERĆ CÓRECZKI SWOJÓJ RÓŻI.

Czy już cię powołano w młodych dni twych kwiecie!
 Dobrze ci będzie tam córeczko droga!
 Nic nie zrobiłaś złego na tym świecie,
 A już umiałaś modlić się do BOGA.

Matki to owoc cierpliwości długiej,
 Z jej modlitewkę umiałaś opieki,
 Ja i tej nie mam u ciebie zasługi,
 Żem ci zawierał powieki.

Modl się za nami, o nasze kochanie!
 Widzisz jaka w domu trwoga;
 Niech reszta dzieł przy nas już zostanie,
 Poproś małeńka u BOGA.

Gdzież wy idźcie chcecie dziatki nasze miłe?
 Dziatki kochane! zostańcie wy z nami,
 Wam to usypać rodzicom mogiłę,
 Wam to oblewać ją łzami.

Spokojną śmiercią powieki zamrzemy,
 Gdy już ujrzym nasze wnuki,
 Biorące od was przestrogi nauki,
 Jakże wam dzisiaj dajemy.

GORECKI.

NAGROBEK DZIECIĘCIA.

Spój spokojnie moje dziecię!
 Aniś ty świata użyło,
 Ani za dane ci życie
 Uśmiechem nas obdarzyło!..

Tak, po niedługiej podróży,
 Strumyczek znika w dolinie,
 Tak młodziuchny pączek róży,
 Jeszcze nie rozkwitł... już ginie!..

XAWERY GODZESKI.

DWIE GWIAZDKI.

Dzień przeminął, noc nastała,
 Gwiazdy błyszczą, wietrzyk wionie,
 Wyszła matka, i zadrżała
 W niebo wznosząc śnieżne dłonie.

I wlepiła oko łzawę,
 Gdzie tysiące gwiazd rozwisły;
 I westchnęła, gdy bladawe
 Dwie od wschodu gwiazdki błysły.

„Czegoż płaczesz patrząc na nie?
 Cóż cię smuci, coż cię boli?“
 — „Ten płacz gorzki, to wzdychanie,
 Są dowodem mej niedoli.

„Patrz na gwiazdkę, co od wzgórka
 Słabo błyska w odległości;
 Tam ma pobyt moja córka,
 Pierwszy owoc mej miłości.

„Patrz na gwiazdkę, co nad łany
 Wdzięcznie płynąc, blask mdły nieci;
 Tam jest syn mój, syn kochany;
 Tam Bóg przeniósł moje dzieci.

„Co dzień, co dzień patrzę na nie,
 Skoro błysną wpośród mroku,
 Słę mym dzieciom całowanie
 Na promieniach, na obłoku.

„Co dzień, co dzień błagam Boga,
 Niech mnie weźmie do swęj chwały;
 Tam mnie czeka córka droga,
 Tam mnie czeka synek mały.
 „Niech z żywotem się rozstanę,
 Niech cierpienia me zakończę,
 Niech, o gwiazdki ukochane!
 Prędzej z wami się połączę“...

LEON ROGALSKI.

DZIECI U MATKI.

SIELANKA.

GAŁĘZIE lasu obsypał szron siwy,
 Pościął rzeki Luty przeraźliwy,
 Pławne na brzegi pozarzucił łodzie,
 I kazał chodzić po zdrętwiałej wodzie.

W tak twardej porze Kloryda z Filonem,
 Piękną Palmira z swoim Korydonem,
 Małe ich dzieci i przyjaciół grono,
 Wyszli odwiedzić matkę oddaloną.

Próżno ich sypkie zatrzymują śniegi,
 I lodem zdęte odpychają brzegi,
 Przeszli zawady: bo miłość szła wpródy,
 Zmiałała śniegi, i topiła lody.

Już się nakoniec po długiej podróży,
 Znajomiej sobie dobrali ostróży.
 Filon, co w młodych latach tędy bywał,
 Znaczniejsze miejsca dzieciom pokazywał.

„Ta, mówi, miedza końcem gonitw była;
 „Gdy się ruchawa Kloe rozegziła.
 „Temu, co pierwój przy nogach jej stanie,
 „Dawała jabłko i pocałowanie.

„Tu często Filiś przy tém źródle spała,
 „Tu różno-wzorą kosę zaplatała,
 „Tu ją Korydon raz napadł w kąpielu,
 „Za co się potem długo nie widzieli.

„W tym lesie Oront od swych psów zjedziony.
 „Stracił na psiarnią swój byt, wiano żony;
 „A potem chodził od głodu wybladły.
 „A cóż, nie prawda? że go swe psy zjadły!“

Tak rozmawiając, wreszcie u wrót staną,
 I powitają zagrodę kochaną.
 Ale Korydon zaczął im rozwodzić:
 „Mnie się nie zdaje całym tłumem wchodzić.

„Wielkie pociechy szkodliwe bywają,
 „Że nam się bardzo rzadko przytrafiają;
 „A do nieszczęścia człek przyzwyczajony,
 „Zniesie go łatwiej, jak z nim oswojony.

„Niechby Palmira ze mną, z dzieckiem małym,
 „Weszła najpierwój; a wy potem całym
 „Przyjdziecie tłumem. Tak idąc powoli,
 „Radość nie cięży, i smutek mniej boli.“

Poszli za radą, i wnet się w kąt wkradną;
 Ale ich czujne sobaki opadną,
 Bryś wysłużony uszyma postrzyże:
 Poznał swe pany, i ręce im liże.

Strach się dopiero w pastérkach ugasi,
 Gdy widzą, jak się Filonowi łasi;
 Skacze do góry w radości niezmierniej,
 Ten, co miał kąsać, wzruszył ich pies wierny.

Palmira z swoim miłym Korydonem,
 Wiadomym jemu przebiegła uchronom.
 Przyszli pode drzwi nie niepostrzeżeni,
 I mroźną odzież strzepywali w sieni.

Justyna wtenczas modły gorącemi,
 Błagała Boga za dziećmi swojemi:
 „Jeśli, powiada, choroba im szkodzi,
 „Jeśli nad niemi zły człowiek przewodzi.

„Jeśli zamysłóm ich opak się wiedzie,
 „Jeśli zmartwienie mają w złym sąsiedzie;
 „Ty, który lubisz wspierać łaską człeka,
 „Odmień to Boże! coś dobrego od wieka!

„Niech się rozrodzą w mnogie pokolenia,
 „Jako te drzewa ich ręki szczepienia.
 „Niech pamiętają na twoich łask siła;
 „A potem na mnie, com ich porodziła.“

Gdy matka takie nabożeństwo trzyma;
 Weszła Palmira z siwemi oczyma,
 Dziecię na rękę, gładka w twarzy, w stanie;
 Za nią Korydon przyszedł niemieszkanie.

„O dzieci moje! (zawoła Justyna)
 „Jakże to prędko Bóg na mnie wspomina!
 „On mnie wysłuchał! Ledwie wymówiła,
 „Daje mi łaskę: jam nie zasłużyła!

„Niechże tu całe sąsiedztwo o się zgarnie;
 „Niech wezmą owcę najlepszą z owczarnie,
 „I niech to wino dobędą coprędj,;
 „Coby go mógł pić, choćby syn ksiądzęcy.

„O Wielki Boże! cóżbym jeszcze dała,
 „Zebym Filona dzisiaj oglądała!“
 Na to Korydon: „Matkę wszyscy znamy;
 „Filon tak kocha, jak i my kochamy.“

Wtém wejdzie rzeźwa Kloryda z Filonem,
 Z pięknymi dziećmi i przyjaciół gronem;
 Rzuci się matka, łza jej z ocz wytryska,
 Mówić nie może, i tylko je sciska.

Kiedy tym zbytciem radości się poja,
 I dzieci matkę otoczyły swoją;
 Dawszy coś czasu na płacz pożądany,
 Wreszcie zaczęli śpiewać na przemiany.

P A S T E R K I.

Zważyła zima piękne nasze zioła,
 Cośmy z nich wili wielofarbne pleci:
 Otaczając cię z radością dokoła,
 Oto masz, matko, wieniec z twoich dzieci.

P A S T E R Z E.

Miłe koszary i słodką zagrodę
 Porzucił pastérz; do matki się śpieszy.
 Któż za swe trudy miał większą nagrodę?
 My jej śpiewamy, a ona się cieszy!

WSZYSCY RAZEM.

Święta miłości ku rodzicom dzieci!
 Co pierwsza świecisz pomiędzy gwiazdami!

Jeśli do ciebie ten głos nasz doleci,
 Mów tam za matką naszą, i za nami!

Bóg wtenczas spójrzyał z wysokiego Nieba;
 Nadto, co jeszcze żyć im było trzeba,
 Przyczynił wszystkim wieku tyle drugie,
 Żeby z nich przykład brały lata długie.

KARPINSKI.

POCHWAŁA LASÓW I ŻYCIA PASTERSKIEGO.

SIELANKA.

ZWAŻYWSZY życia ludzkiego obroty,
 Uchodzę w lasy i wesole knieje,
 Mając w nich więcej gustu i ochoty;
 Niech, kto chce, z mojej dzikości się śmieje;
 Nie dbam nic na to, wolę z swęj prostoty
 Las, aniżeli świat pełen niecnoty.

Lasy kochane, zielone chłodniki,
 Drzewa przyjemny szum dające z siebie,
 Trawy, pagórki, biegące strumyki,
 Przy was niech mieszkam, choć o suchym chlebie;
 Zdrowszy mi napój z waszych źródeł żywych,
 Niż drogie trunki, gdy z rak nieżyczliwych.

Jak ranna zorza swój rumieniec śliczny
 Pokaże, rosa perłowe kropelki
 Pozbięra, jużci pastérz okoliczny
 Nie zaśpi, a ptak wyśpiewuje wszelki,
 Ci trzody owiec żoną między wrzosa,
 Te, mokre skrzydła otrzepują z rosy.

Wnet różnych głosów stroją instrumenta,
Po drzewach skacząc wysoko, to nisko,
Krzykną roślejsze i drobne ptaszęta,
Bezpieczne, chociaż słuchamy ich blisko;
Za nie koncerty, i włoskich nót sztuki,
Ich miłsze głosy bez mistrza nauki.

Odpocznie ptastwo, aż zaczną pastérze
Smutne wywodzić dумы na fujarzy,
Inni zaś skoczne mazury na lirze,
Tańcząc z nami, każdy w swojej parze;
My wdzięczne pieśni śpiewamy kolejną,
Lasy słuchają, a gaje się śmieją.

Nie wiem, co tęsknić, pasąc owiec trzodę
Z pilnością strzedz się potrzeba od wilka;
Przebrnąwszy potok, oczyma powiodę,
Aż pastéreczek bieży ku mnie kilka;
Z temi się witam, chwytając za szyję,
Wnet jedna drugą zczesze, spiecie, zmyje.

Usiądziem sobie pod jaworem ciemnym,
Nad czystym źródłem pryskającej wody,
Ze skał fontanny natura foremny
Kunsztem zrobiła pastérzóm ochłody,
Nie nam słoneczny upał nie dokuczy,
Jawor zaszumi, a strumyk zamruczy.

Zacniemy mówić o naszych zabawach,
Na czém dzień cały przemienie godziną:
O pięknym kwieciu, w jakich rosną trawach;
Ta powieć, jest tu miejsce nad doliną,

Na którym kwiaty w rozliczne kolory
Kwitną, posiane od bogini Flory.

Więc wszystkie w zawód biejąc, jedna drugą
Popchnie w bok, by się wyprzedzić nie dała,
Ta w miękką trawę upadnie jak długa,
Ta już tymczasem kwiatów nabierała,
Z tych wieńce wijąc, głowy sobie stroim,
O brylantowe korony nie stoim.

Szczera wesołość, śmiech, żarty niewiune,
Nikogo zgorszyć, owszem cieszyć mogą;
Prostoty naszej niech się uczą inne,
Przystojnych zabaw z nami idą drogą.
To co ma która, wybiera z koszyka,
Jemy sэр z chlebem i inasło z jaszczyka.

Po tym bankiecie ęlcący trunku zażyć,
Spieszno biegniemy do naszej piwnicy,
Którą nad wino więcej trzeba ważyć,
Czystszej nad kryształ, pod skałą krynicy;
Z téj codzien dzbankiem pijąc, nie ubywa,
W pełni zostaje, nikt jéj nie doléwa.

Gdy już z południa słońce niezbyt grzeje,
Wychodim z gęstych lasów na krzewiny,
Tam, gdzie chłód miły od pagórków wieje,
Igramy w babkę pomiędzy jedliny,
Patrząc przez niskie krzaczki i jądłowce,
Czy dobrze nasze napasły się owce.

Samym wieczorem, zbliżając do domu,
Zganiamy trzody społem do gromady,

Poznają owce; eo należy komu,
 Bierzemy swoje bez swaru, bez zwady;
 Żadna nie zbłądzi do cudzej owczarnie,
 Każda do swego sąsazu się garnie.

My zaś pastérki do chaty chróścianej,
 Nad pałac cichszej śpieszym na spoczynek,
 Mléka zsiadłego na misce glinianej
 Podjadłszy, nie śląc po mięso na rynek.
 Nie psują takie potrawy żołądka,
 Dłużej my niż Pan, żyjem niebożątka.

ELŻBIETA DRUŻBACKA (*).

WYJĄTEK Z SIELANKI

ŻYWOT ZIEMIAŃSKI I DWORSKI.

WIEŚ, według przyrodzenia, piękny strój i szaty
 Z jagnięcego mchu daje bez szkatuł utraty;
 Lny, płótna, więc i które zawsze krośna robia,
 Rąbki nad śnieg piękniejsze Pana swego zdobia.
 Tam też zbytnich co świat ma strojów nie zażywa,
 Oprócz co się giermakiem i szubą okrywa,

(*) Poetka ta, pełna wdzięku i prostoty, żyjąca w pierwszej połowie 18 wieku, na tém większy szacunek zaszła u potomnych, że pisała polszczyzną najczystsza wtenczas, kiedy ledwie nie wszyscy w wierszu i prozie pisarze kalęczyli język narodowy przez makaronizmy i styl napuszony. *Nota wydawcy.*

Lam wzorzystych nie szuka, Telet zleca komu
 Lisia mu w ład lub skopia ferezya w domu.
 Potraw dość ma niekupnych, bo mu okoł płodny,
 I obficie daje jeść dostatek ogrodny.
 Nie zna Aptek do potraw, ma smaki rozliczne,
 Ma korzenia ogrodne i zaprawy mléczne.
 Trunku nie chce winnego, bo go smaczniej poi
 Pszeny, który w piwniczym długo chłodzie stoi,
 Lub co pszczołki słodkie mu swe przyniosły dary,
 Ten muszcz radniej wypija z dereniowej czary.

W dworach wrzawa, zgiełk, hałas, różne niepokoje,
 O pańskie ocierają rade się podwoje:
 Trąb, bębnow, wozów, koni, bałuch pomieszany,
 Mięsza miasto, i same aż przenika ściany.
 Tam Bachowi opilecy czynią przykre huki,
 Rąbiąc drzwi i niewinne szablą krając bruki.
 Ten kozim beczy tonem, ów zaś choć nie złodziej,
 Tłucze zawias, lubieżną guly na kradzież godzi.
 Ten pod łóny miesięczne, skradłszy się gdzie z kąta
 Spokojnego napada, lub go z świata sprząta,
 Ten się bije, a ów zaś woła w pojedynku,
 A nie chcieć umrzeć wstyd i szpetny nieuczynek.

Wież spokojna, wieś miła, i lubych skarbuica
 Wczasów; gdzie spojrzysz wszędy pokój się zaszczycą:
 Do niej wielkie się dwory i miasta wynoszą,
 A o żywot spokojny, wsi spokojnej proszą;
 Ni obmierzłych hałasów, przykrego okrzyku
 W niej nie słychać, w myśliwym oprócz kiedy krzyku
 Zgraja psów zwierza goni, lub za bliski szaniec,
 Wilk się skradłszy, czułych psów wyzywa w targaniec.

Tu w wielkiem pomileczeniu cicho ziemia stoi,
 Kiedy ptasza kapela swe muzyki stroi,
 Nieba same śmieją się, wietrzyk obumiera,
 Kiedy słowik lub łabędź dumy swe wywiera.
 Lub kiedy po robotach, za wieczorniej zorze,
 Siadłszy sobie Menalka na polnym ugorze,
 Proste pieśni na inie swęj śpiewa kochanki,
 Albo gra na fujarze, albo dmie w multanki....

JAN GAWIŃSKI.

K Ł O S.

Często gdy Opatrzności szukamy po niebie;
 Stopa nasza najwyższy cud natury grzebie.
 Tu ziarno trafem w zgulił ziemię zarzucono,
 Wnet je matka natura bierze na swe łono,
 Ogrzewa je, przekształca jej czujna opieka;
 Ziarno zmienia się w mączkę, dalej w krople mleka.
 Wnet zapuszcza korzonek i nitki rozwodzi,
 Które ssą matkę zmarłą, aż roślina wschodzi,
 Co jakby srebrnym rylcem lekką ziemię ryje,
 Aż główkę szafirową w śród nocy wykryje.
 Od rzeszy lekkich wiatrów całowaną w koło,
 Ośmielona, wznosi się, kołysze wesoło;
 A natura jak anioł budowę prowadzi,
 Zakłada wewnątrz ściany, urządza i gładzi;
 Cztery buduje piętra, podstawia filary,
 Splata łuk, aby przyszłe udźwignąć ciężary.
 Gdy ktoś widzi nad sobą ususzona ziemia,
 Matka w dziwnej budowie potomstwo rozplemia.

Z jednego mnóstwo tworzy; — wnet kolebki dzieli,
 Spiać jedne nad drugimi w jedwabnej pościeli;
 Tak leżą słodkiem mlekiem karmione od matki,
 Aż silniejsze i śmielsze podnoszą się dziatki.
 Teraz pora kochania — z wesołą prostotą
 Kwitną, igrają, w szatę ustrojone złotą.
 Szczęśliwe; — lecz się razem gromadzą ich wrogie:
 Muchy, ptaszki, robaczki chcą niszczyć plód drogi;
 Lecz matka nie zapomni zbroi i puklerza,
 I las dzid ostrych, w koło swych dzieci najeża.

Tak natura swe dzieci kocha i ochrania,
 Co rok w polach powtarza ten cud zmartwychwstania.
 Człowiek, którego zdobi rozum i nauka,
 Mówi: że Opatrzności nadaremnie szuka!

K. BRODZIŃSKI.

CZĘŚĆ SIELANKI p. t.

Ż E Ń C Y.

OLUCHNA, PIETRUCHA, STAROSTA.

OLUCHNA.

Już południe przychodzi, a my jeszcze żniemy,
 Czy tego chce urzędnik (*), że tu pomdlejemy.
 Głodnemu, jako żywo, syty nie wygodzi,
 On nad nami z maczugą pokrzykując chodzi;
 A nie wie, jako ciężko z sierpem po zagonie
 Ciągnąć się: oraczowi insza, insza wronie;

(*) Dozorca, Ekonom.

Chociaż i oracz chodzi za pługiem i wrona:
Insza sierp w ręce, insza maczuga toczona.

PIETRUCHA.

Nie gadaj głosem, aby nie usłyszał tego:
Abo nie widzisz bicia za pasem u niego...
Lepiej złego nie drażnić; ja go albo chwale,
Albo mu pochlebiuję, i tak grzbiet mam w cale.
I teraz mu zaśpiewam, acz mi niewesoło;
Niesmaczno idą pieśni, gdy się poci czoło.
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ty wstajesz kiedy twój czas: jemu się zda mało,
Chciałby on, żebyś ty od północy wstawało.
Ty bieżysz do południa zawsze twoim torem,
A onby chciał ożenić południe z wieczorem.
Starosto! nie będziesz ty słoneczkiem na niebie,
Inakszy upominek chowamy dla ciebie..

STAROSTA.

Pietrucho, nie rada ty robisz, jako baczę,
Chociaż ci nie młodego w pieluchach nie płacze.
Pożynaj, nie postawaj, a przyspiewuj cudnie,
Jeszcze obiad nie gotów, jeszcze nie południe.

PIETRUCHA.

Słoneczko! śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie,
A on wszystko porobić chce w jednej godzinie.
Ty czasem pieciesz, czasem wionąć wietrzykowi
Pozwolisz, i naszemu dogadzasz znojowi;

A on zawsze: pożynaj! nie postawaj, woła;
Nie pomniąc, że przy sierpie, trój pot idzie z czoła...

STAROSTA.

Pożynaj, nie postawaj, i tybys wołała
Lepszego wczasu zażyć, tyłkobyś igrała;
Zażynaj teraz tego, bardzo widzę śmieszno,
Pociągaj za inszemi i żażynaj śpieszno.

PIETRUCHA.

Słoneczko! śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,
Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią;
A naszemu staroście, nie patrz w oczy śmiele:
Zawsze u niego chmura i kocioł na czele;
Ty roś hojną dajesz z poranku wstawając,
I drugą także dajesz wieczór zapadając;
U nas post do wieczora zawsze od zarania:
Nie pytaj podwieczórku, nie pytaj śniadania.
Starosto, nie będziesz ty słoneczkiem na niebie,
Ni panienka, ni wdowa nie pójdzie za ciebie...

SZYMON SZYMONOWICZ.

MAZUREK.

Rycerz to niewielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Rólnika poniża.

Dziarskiż to nasz chłopiek,
 Dłoń jego obroni,
 W polu wiąże snopek,
 Na wojnie zasłoni.

Pracą jego kosi
 Popsuta jest ziemia,
 Tak on na niej kłosi,
 Jak laury rozplemia.

Z wółkiem on w pokoju
 Uprawia nam błonie,
 Na koniku w boju
 Pośpieszy w obronie.

Te warowne grody,
 Te pańskie pałace,
 Jego to zachody,
 Jego to są prace.

Jego to ciężarem
 Pan skarby dziedziczy,
 On na to pod skwarem
 Ziarukami dzień liczy.

On z dziećmi głodnemi
 Te ziarneczka zgania,
 Które pan po ziemi
 Za cacka roztrwania.

W pomoc kraju bieżał
 Z szlacheckimi syny;
 Wszędzie on należał,
 Prócz zysków i winy.

Sam po sytej stracie,
 Od nędzy nas chroni,
 W swojej tylko chacie
 Mieszkać jej nie wzbroní.

Rycerz to niewielki,
 Krajowi ubliża,
 Który nad stan wszelki,
 Rolnika poniża.

K. BRODZINSKI.

DO ZDROWIA.

SZLACHETNE zdrowie!
 Nikt się nie dowie,
 Jako smakujesz;
 Aż się zepsujesz.
 Tam człowiek prawie
 Widzi na jawie,
 I sam to powie,
 Że nic nad zdrowie.
 Bo dobre mienie,
 Perły, kamienie,
 Także wiek młody,
 I dar urody,
 Miejsca wysokie,
 Władze szerokie;
 Dobrze są: ale
 Gdy zdrowie w cale.
 Gdzie nie masz siły,
 I świat nie miły.

Klejnocie drogi!
Mój dóm ubogi,
Oddany tobie,
Ulubuj sobie!

J. KOCHANOWSKI.

SPIEW DZIEWICY.

WYIĄTEK Z POEMATU *ŻEBRAK.*

CZEMŻE cię zbłagam okrutna doło!
Byś mię już męczyć przestała,
I téj mi chwili łyż nie dozwolą;
Wszystkieś dni moje zabrała...
O Nieba! pocom ja się zrodziła,
W tym stanie, gorszym nad nędzę;
Czyż mię ztąd możność uszczęśliwiła,
Że przez nią smutniej wiek pędzę.
Ród, wychowanie, miękkie pieczyoty,
Dawszy mi serce dotkliwsze,
Zrobiły wszystkie moje zgryzoty
Tém okrutniejsze i mściwsze!
Ubogi chłopku! jakżeś szczęśliwy!
Używasz darów przystojnie.
Czasem cię ścisnie głód przeraźliwy;
Lecz za to żyjesz spokojnie.
Wytworność, przepych, z zbytkiem niesytm,
Nie w twojej chatce ma łożę;
Mnie wszystko pali ogniem ukrytym,
Co jest, i co bydź nie może.

Obym ja nigdy nie znała była
Szumnych fortuny zawrotów!
Słodkoby w stanie pomiernym żyła
Bez zgiełku, i bez kłopotów.
Cóż mi pomoga w zmartwieniu moiém
Ogrody, zbytki, pałace;
Męczą mię bardziej widokiem swoim,
Łzami rokosze ich płacę.
Wzgardzam was odtąd blaski fałszywe,
Kwitnij mój lasku kochany!
I ty strumyczku sącz wody żywe,
Tyś go dzien leczyć me rany.

W. GÓRSKI.

DO WOLTERA.

SŁUCHAJ, gdybym ja tak był, jako i ty,
I kto w swym domu zamieszkał ukryty,
Kontent z drobnego zagona mej roli,
Nie zazdrościłbym ludzi owych doli,
Którym w zamysłach chętne szczęście sprzyja,
I złotem kołem w ich prógi zawija.
Znam, jakie trudy honorów bez miary,
Urzędów, kto im dość czyni, ciężary,
Kłamstwa obłudnych pochlebców wytworne,
Grzeczność zmyślona, i inne pozorne
Nędze, jakiemi ten się ciągle bawi,
Kogo na pierwszym szczeblu los postawi.

Gardzę i sławy znikomą zaletą,
Choć jestem razem Królem i Poetą,
Kiedy dni moich śmierć przędzę usieczę,
I nieprzespaną mgłą oczy powlecze;
Mało dbam, że mnie potomność uświęci,
Gdy żyć przestanę w świątyni pamięci.

Jedna godzina, gdy ją wesół pędzę,
Lepsza jest, niżli tysiąc wieków w księdze.
Niech naszym losóm nikt nie zajrzy, proszę;
Szczera wesołość, prawdziwe rokosze,
Piérzchają temu, jak świat stoi światem,
Kto tylko błysnął berłem, lub szkarłatem.

FRYDERYK II. Król Pruski.
Przekład NARUSZEWICZA.

ARYA OCTCIARZA.

PATRZCIE bogacze świata,
Jak mało człeku trzeba:
Kochanie w młode lata,
Na starość kawał chleba.
Lecz, byś miał to oboje,
Pracuj — i bądź poczciwy:
Ja zawsze pcham taczkę moję,
I jestem z nią szczęśliwy.

Ci się fundują w mury,
Ci w kosztowne ubiory;
Ci biédnych drą ze skóry,
Ci w karty robią zbiory.

Niech mają zbiory, stroje,
Niechaj budują dziwy,
Ja zawsze pcham taczkę moję,
I jestem z nią szczęśliwy.

Gdy na świat zwracam oko,
Widzę go w mojem kole:
To dzwono, raz wysoko,
Drugi raz jest na dole.

Tak często postać swoję
Odmienia los zdradliwy!
Ja zawsze pcham taczkę moję,
I jestem z nią szczęśliwy.

WYRCIECH BOGUSŁAWSKI.

WYJĄTEK Z POEMATU *p. t.*

PRZYJAŹŃ.

NIECH się często samotnik z ustronia wyrwa,
Gdzie go rada, gdzie przyjaźń, gdzie go szczęście wzywa.
Jak mię litość przejmuję, gdy widzę człowieka,
Co się topiąc w naukach, świata się wyrzeka.
Na mądrości się wspiérna trudna życia sztuka;
Lecz mądry, w szczęściu innych, swego szczęścia szuka.
Kto do tego przedmiotu ma w naukach tamę,
Tego mądrość jest głępszą, niżli głupstwo same.
Tak mędrek zasępiony, samotnik ponury,
Więcej mi jest nieznośny, niż głupiec z natury;
Żaden go los nie smuci, ani rozwesela;
Człowiek mądry gruntownie, szuka przyjaciela.

Natura chcąc na zawsze dobrodziejstwu swemi,
 Panowanie przyjaźni utrwalić na ziemi;
 W samym tylko podziale rozkosz i boleści,
 W samém uczuć przelaniu, szczęście samo mieści.
 Gdy radość jest w samotném sercu śmiertelnika,
 Bez lubej mu podniety tłum się i znika.
 Lecz gdy szczerém wylaniem przyjaciela wzruszy,
 I przez tkliwe spojżenia wróci się do duszy,
 O! jak uczuć wzajemnych duchem ożywiona,
 Rzewną poi słodyczą przyjacielskie łona!
 W związku tylko dwóch istot szczęście się ukrywa.
 Lecz niech cię nie uwodzi namiętność zdradliwa;
 Miłość dusze zachwyca, przejmując urokiem,
 Czarownym ją rozkoszy zalewa potokiem;
 Lecz gdy ogniów gwałtownych spełnia się nadzieje,
 Wraca się obojętność i dusza trętwieje.
 Ten ci związek najtrwalszej udziela słodyczy,
 Któremu prawy rozum z cnotą przewodniczy.
 O! jak święta jest przyjaźń, gdy w serca prostocie
 Kochając się walczymy o pierwszeństwo w cnocie!
 Jeśli rozkosz wewnątrzna chlubiym jest zamiarem,
 Te wyścigi najdroższym są przyjaźni darem:
 Niemi wzrasta szacunek, czułość się ożywia,
 Umysł się doskonali, serce uszczęśliwia.
 Nie wszyscy czuć ją mogą, chcąc jej związki robić,
 Trzeba wprzód własne serce do nich usposobić.
 Najpowszechniej zaślepią wyższe ludów stany,
 W tłumie błędów rozlicznych, błąd niepokonany,
 Iż przyjaźń wśród wielkości nabywa się snadnie,
 Iż jeden uśmiech pana skłonnościami władnie.

Tak wdzięczném przymileniem zalotna kobieta,
 Bez udziału własnego, płoche serca chwytą.
 Niech dumni upokorzą pychę nieugjętą,
 Tkliwe serce nikczemną brzydzi się ponętą,
 Marnym blaskiem ich złoto czułem przyświeca,
 Czystą tylko przyjaźnią wzajemność się wznieca.
 Ale próżno — tym węzłem łączą nas zwyczaje,
 Rzadko człowiek istotną wartość mu nadaje.
 Jeśli z wielką trudnością ten skarb się nabywa,
 Trudniój jest go dochować: przyjaźń jest dotkliwa,
 Mimowolnie ją razi nieostrożność nasza,
 Skrytość ją zachwiać może, nieufność obraża.
 Do wszelkiej przyjaciela rozwagi powołasz;
 Lecz rozważaj sam z sobą, nim go wybrać zdołasz.
 Nie zawsze chętne serce znaleźć się wydarzy,
 Gdzie uśmiech przyjacielski pokażą na twarzy;
 Niech cię pozor nie łudzi, lękaj się zepsucia,
 Dośledzaj, niech stopniami zbliżają się czucia.
 Lecz gdy spełnisz twój wybór, odrzuć podejrzenia,
 Czułość serca porusza, sama płochość zmienia.
 Gdyście się raz powierzyć bez obawy śmieli,
 Niech związek przyjacielski grób jeden rozdzieli.
 Ufność was uszlachetni; a jeżeli zdrada
 Na otwartej szczerości swój podstęp zakłada,
 Warto szukać rozkoszy niebezpieczną drogą,
 Nigdy się chwile szczęścia przepłacić nie mogą.
 Ten, co trwoży śwem obliczem,
 Co innym trony rozdziela,
 Wśród wielkości będzie niczem,
 Jeśli nie ma przyjaciela.

Królów mam i żądza płocha,
Nie znają prawej swobody;
Wolę serce, co mnie kocha,
Niżli podbite Narody.

Sz. KONOPACKI.

DO PRZYJACIELA.

P I E Ś N.

Na tém tu miejscu z wami ja żyłem,
Z wami tu wodę niemnową piłem;
Też same brzegi, też same ściany,
Gdzie was kochając, byłem kochany.
 Sciśnij mię Filon wzajem ściśnięty,
 Śpiéwajmy słodycz przyjaźni świętej.

Za co mi stanie! że mówię śmiało:
„Nic mię od ciebie nie oderwało.”
Któs kłóci ludzi, któs miasta wali;
My się w zaciszu stale kochali.
 Sciśnij mię Filon wzajem ściśnięty,
 Śpiéwajmy słodycz przyjaźni świętej.

Niech mi tu twardy kamień postawia,
Którego późne lata nie strawią;
Na nim dam napis niestarty wiekiem:
„Dwóch ludzi było jednym człowiekiem.”
 Sciśnij mię Filon wzajem ściśnięty,
 Śpiéwajmy słodycz przyjaźni świętej.

KARPINSKI.

LESZEK I GOWOREK.

Śpiéwaj Polko ojców dziwy!
Niech śród zbrojnej młodzi grona,
Przypomina głos twój ukiwiy
 Przyjaźni polskiej imiona.
Leszku, Goworku, Sławianie,
Obyście we wnukach żyli!
Za nic wam tron i wygnanie,
 To to przyjaciele byli!

Na dwór Sandomirski weśli
Dumnych Krakowian posłowie,
Leszkowi koronę nieśli,
 A upadek wiernej głowie:
Bo Goworek wrogóm wadził,
Wierny panu w groźnej chwili,
Jednak zawsze dobrze radził,
 To to przyjaciele byli!

Dobro kraju i twe panieł
 (Mówił Goworek do króla)
Każą mi pójsdź na wygnanie;
Lecz mnie nie trapi ta dola:
Ty mój wiary będziesz pomny,
Tak jak twe serce nie myli.
Płakał na to dwór przytomny.
 To to przyjaciele byli!

Teraz Król wziął twarz surową,
Dotąd samym wdziękiem władną:
Powróćcie z niecną umową,
 Niech jej kłeski na was spadną.

Droższy mi przyjaciel stały,
 Nad tron, którychście zhańbili.
 To rzekł posłom Leszek biały.
 To to przyjaciele byli.

LEON BOROWSKI.

DWIE GAŁĄZKI.

GAŁĄZKI, jedna z jesionu,
 A druga z pięknego klonu,
 Rzucone jakąś przygodą,
 Płynęły wodą.

Dalekie od swej rodziny,
 Przez obce błędząc krainy,
 W silniejszym coraz wód biegu,
 Chybiały brzegu.

Napróżno stan ich sierocy,
 W złej toni szukał pomocy;
 Z twardych skał, a głuchych kniei,
 Nie masz nadziei!

Z posłuszném one milczeniem,
 Szły za mruczącym strumieniem,
 Pędził je coraz wart chyży
 Dalej a niżej.

Przemijały się czas długi,
 Niewidzący jedna drugiej,
 Aż jakoś zbliżył nurt wąski
 Obie gałązki.

Szczęśliwy, komu dozwoli
 Bóg towarzysza w złej doli!
 Płynących obok gałązek,
 Ujął mię związek.

Ale coś wodę zamąci,
 Jedna z nich drugą potraci,
 Poszły od siebie zwrócone
 W przeciwną stronę.

Żal mnie ogarnął niemały,
 Gdy się zosobna puszczały
 Na powódź rzeki szeroką,
 I ton głęboką.

Z smutkiem zdały się obracać,
 I niby z gniewem odwracać,
 To bliżej siebie, to dalej,
 Szły podług fali.

Wtém zefir sprawca pogody,
 Jął głaskać błękitne wody,
 I tchem łagodnym ku sobie
 Nakłaniał obie.

Gdy na to ukliwie patrzyłem,
 Złączęcie się z sobą, mówiłem,
 Póki dma wieje życzliwa,
 I was przyzywa.

Aż tu kamień wśród powodzi
 Spoić gałązek przeszkodzi,
 Znów je od siebie zdaleka
 Uciesie rzeka.

Nakoniec, jedna przy lasku,
 Druga zostanie przy piasku:
 Ta uschła, a tamtą marnie
 Splątały tarnie!

KNIAZIENIN.

DZIECIĘ OBLĄKANE.

W BIELUCHNĄ oblókłszy szatę,
 W brylanty, perły bogate,
 Rodzice synka przybrali,
 By blaskiem drogich kamieni,
 Wszyscy przechodnie zdziwieni,
 Po dziecku ojca poznali.
 Lecz źli ludzie pokryjomu,
 Pokazawszy cacek krocie,
 Uwiedli go przez łąkocie,
 I uwięzli z ojca domu.
 Na szkło, na lalkę małą,
 Brylanty z nim zamienili,
 I zdarłszy ojca sukienkę,
 Jednego w puszczy rzucili.

Obdarte i w bosćj nodze,
 Z wiatrami staczając walki,
 Zabrało dziecię swe lalki,
 I poszło płacząc po drodze.
 Straszą je nocne pomroki;
 Wszędzie błędna zwodzi ścieżka,
 Lecz ono, dwojąc swe kroki,
 Na prost pustynię przebiega,

Bo zdala światło spostrzega,
 Gdzie ojciec kochany mieszka.
 — Ojciec niebios sprawiedliwy!
 Otoż to mój obraz żywy!
 Jednem tchnieniem dobroczynném,
 Utworzyłeś mnie niewinnym;
 Ale namiętności srogie,
 Wydarły mi ska by drogie...

Lecz maie odtąd nikt nie zdradzi,
 Światło mię Wiary prowadzi,
 Idę za gwiazdą na niebie:
 Zesłałeś mi ją w pomocy;
 Ach! zginę w przepaściach nocy,
 Kiedy nie trafię do Ciebie!
 Pośpieszam: nie jesteś srogi,
 Jak te nasze ziemskie bogi;
 Upadnę przed Twoim tronem,
 I rzeknę z sercem skruszonym:
 „Od zbrodni byłem dalekim;
 Zwiodły mię świata powaby:
 Przebac mi Boże, żem słaby,
 Wszakżeś mię stworzył człowiekiem“

ANT. GORECKI.

E Z A Ż A L U.

Gdzie ostrą gałąź wznoszą smutne jodły,
 Gdzie wieczna cichość, grobowe mleczenie,
 Błakał się zbójca; strapienia go bodły,
 Sztylet zgryzoty mordował sumienie.

Złęknioném okiem zmierza skał urwiska,
 Spragniony pije wiatrę tchnienia chłodne;
 Spójrzy — tuż przy nim krwi strumień wytryska,
 Tuż przy nim szarpia trupa kruki głodne.

Płynie cień błądy na krwawym obłoku,
 Wzrokiem przebija trwożnego mordercę;
 Straszliwe widma nalegają oku,
 I pamięć zbrodni rozdziera mu serce.

Powróćcie do mnie dni czystej młodości,
 Co wdziękiem mego byliście żywota!
 Boże! złej na mnie balsam Twój litości!
 Trawi mnie skrycie bolesna zgryzota.

Żelazną ręką tłoczą mię cierpienia,
 Dusza co chwila truciznę połyka;
 Boże! lub rozwiń tęczę przebaczenia,
 Lub mściwym ugodź piorunem w grzesznika.

I westchnął ciężko — spadła żalu łezka
 Z stęsknionych oczu na lica bładawę,
 Tak jako rosa upadła niebieska
 Na skwarem słońca spaloną murawę.

I wnet zabłysło promieniem nadziei
 Bóstwo żalości łzami prześląganę,
 I dzień rozjaśniał wśród posępnej kniei.
 Nikną przed zbójcą widma krwią zbryzgane.

Zlał się nań balsam anielskiej pociechy,
 Pamięć o zbrodni w myśli się zacięra;
 Szczera łza żalu głodzi ciężkie grzechy,
 Łza żalu wrota do Niebios otwiera.

LEON ROGALSKI.

T E S K N O T A.

Widzę pola, widzę gaje,
 Widzę ptasząt tłum skrzydlaty —
 Łąkom farby, drzewóm szaty,
 Mnie radości nie dostaje.

Przeszła wiosna, przeszło lato,
 Radość moja uleciała:
 Niwa z barwą, topol z szatą,
 Jak się prędko pożegnała.

Słownik śpiewał piosenkę tkliwą,
 Póki trwała wiosny pora —
 Nocił żalost, i szczęśliwą
 Nocił chwile nam z wieczora.

Teraz więcej już nie dzwoni
 Tu na drzewie lubych pieni!
 I mnie bojaźń śpiewać broni —
 Kiedyż się los nasz odmieni?

Słownik wróci z lubą wiosną,
 Odmłodzię znowu pola,
 Warkocze topolóm wzrosną,
 I moja przejdzie niedola!

Wraca wiosna — słownik wraca,
 Wracają kwiaty na pola, —
 Wieńce drzew słońce wyłata; —
 Mnie jednak dręczy niedola!

Mija wiosna — mija lato,
Ze mną się radość nie znała;
Zuów się uwa żegna z szatą,
A mnie troska nie żegnała.

Widzę pola, widzę gaje —
Widzę ptasząt tłum skrzydlaty —
Łakóm farby, drzewóm szaty,
Mnie radości nie dostaje!

JÓZEF KRZECZKOWSKI.

DO SKOWRONKA.

SKOWRONKU mój ulubiony!
Gdy ci się pilnić wpatruję,
Widzę się być zawstydzony
I w duszy niepokój czuję.

Ty od porannej godziny,
Skoro noc znika z swym cieniem,
W powietrzne wzniesion krainy,
Hołd Stwórcy składasz twém pieniem.

Tyś niewinny w każdej dobie,
Twych powinności nie zdradzasz.
Natura prawem jest tobie;
Z tém prawem życie twe zgadzasz.

A ja, com z Niebós szczodroty,
Tak wielą zbogacon dary,
Cóż znam dawcę mej istoty,
Światłem rozumu i wiary.

Pośród namiętności wrzawy,
Którym oporu nie stawiam,
I łamię Jego ustawy,
I wiundę czei Mu odmawiam.

Jak wielbić Pana nad pany,
Jakim bydź Jego czcicielem;
Bądź moim, ptaszku kochany,
Bądź moim nauczycielem.

A. MOSZYŃSKI Pijar.

POCZĄTEK PIEŚNI DRUGIEJ POEMATU *p. t.* TOBIJASZ WYZWOLONY.

Bóg dał świat ludzióm i nakazał święto,
Stwórca hołd sobie, dzień od prac wyjęty,
Dzień, ludzkiej myśli z Bogiem wierne pęto,
Dzień Boga święty, i dzień z światłem wzięty.
Szczęśliwy! co weń Boga cześć zaczęto,
I wołać z niebem: Święty! Święty! Święty!
Zbyt ten szczęśliwy, kto go umie zażyć,
I będąc prochem, godzien Boga ważyć.

O! z jakim nigdy najpiérwsi ojcowie
Nasi sercem go sobie poważali!
Weń, obyczajni w sprawach, skromni w mowie,
Ciesząc się z bliżnim chleba pożywiali.
Teraz wyrodni od ojców synowie,
I ozięblejsi im dalej, tym dalej.
Každy się dzisia bardziej po zysk śpieszy,
I z cudzej szkody, a nie z święta cieszy.

Z krzywdy bliźniego, bardziej niż z Niedziele,
Powstaje radość, i z niewinnej szyje,
Kto co zwojuje, albo wydrze śmiecie,
Lub poniewolne wojska w polu zbije,
To ma za radość i święte wesele,
Wtenczas, jak w święto, w huczne bębny bije.
A kiedy społem biesiadnicy siedzą,
Bardziej bliźniego, a niż z bliźnim jedzą.

*Stan. Księżę LUBOMIRSKI
Marszałek Wielki Koronny.*

K O L É J.

ZAKWITŁA różana wiosna,
Uśmiecha się ni bo czyste..
Ach! jużci jesień żałośna
Kryje niebo w chmury mgliste...

I życie w ciągłej kolei:
Czułość udręceń jest matką;
Z smutków idziem do nadziei,
Z nadziei do szczęścia... rzadko!

S. WITWICKI.

DUMANIE DO PAULINA.

PATRZ, oto strumień, co płynie
Po tej kwiecistej dolinie,
W górze czysty, tu zmacony,
Tam spokojny, tu spieniony;

Gdzie lasek dolinę kończy,
Z większą się rzeczką połączy.
Ale rzeczka płynąc dłużej
Przez bory, pola i knieje;
Po rozmaitej podróży,
W większą się rzekę wyleje,
I mówią, że gdzieś daleko,
Rzeka przestanie być rzeką...

Pytałem wczora strumyka,
Po co płynie, po co znika,
Pytałem rzeczki i rzeki,
Po co dążą w kraj daleki..
Lecz strumień, rzeczka i rzeka
Nie zrozumiały człowieka...
Borem, polem i doliną,
Same nie wiedzą, gdzie płyną.
Tak życie nasze, Paulinie,
Do celu swojego płynie...
Tak i my, na wzór strumienia,
Pełniąc nasze przeznaczenia,
Z strumieniem, rzeczką i rzeką
Płynmy w krainę daleką;
W bystrym, czy powolnym biegu,
Na wieczności staniam brzegu.

FR. GRZYMAŁA.

JESIEŃ WIESZCZA.

SKRON moje już szrony bielą,
Dni mych jesień przyszła wczesnie;

Troski rychłą zimę ścielą,
 Dni szczęścia nikną jak we śnie...
 Przeżyłem już... — o! nie lata,
 Nie dni liczenie mego wieku!
 Chwila, co drugim przelata
 Jak błyskawicy mignienie,
 Dłużej w mękach cięży człeku,
 Niż nocy bezsennój cienie...

Czasem chyżym grom udarem,
 Jak grot, co w powietrzu świszczę,
 Zajmie stary dąb pożarem...
 Spłonął gwałtownie; lecz zgłiszczę
 Żywią długo żar taiony.
 W zimnem już na pozór próchnie,
 Łada wiatrem poruszony,
 Pień ten znów pożarem buchnie...

Przeżyłem więc... Ciąg dni krótki,
 Jeśli szczęsne chwile liczę;
 Zbyt długi, gdy na me smutki,
 Gdy wspomnę na me gorycze!
 We łzach, o śpiwcy żałośne!
 Ujrzałyście życia zorze...
 Tak cierpi męki nieznosne,
 Gdy ją nurek żywcem porze,
 Muszla dobyta z wód łona...
 Perłę w niej chciwiec znajduje;
 A rad zdobywszy, nie czuje
 Cierpień, w których muszla kona...

A ten wodorzut wspaniały,
 Co w obłoki z szumem tryska,

I zdrobnionemi kryształę,
 Jak deszczem klejnotów błyska;
 Ciosowej więzień sadzawki,
 Tylu wdzięcznych zjawisk sprawca,
 Rosząc kwiaty, żywiąc trawki,
 Ten zieloności rozdawca,
 Ten strumyk w źródle ujęty,
 Czyli sądzisz: że ochoczy
 Rzucił braci swych nurt kręty,
 By tu wasze ludzi oczy?
 Rodziunny jego szmér zginął;
 Ach! radby jak niegdyś w lasku,
 Gdy pod kwiatów cieniem płynął,
 Zrzec się zmuszonego blasku....

Tak i wieszczek szczęsny póty,
 Póki wrzące w nim płomienie,
 Jak ściśnionej wody rzuty,
 Nie wytrysną w głośnie pienie...
 Póki, jak muszla skrwawiona,
 Gdy drogim darzy klejnotem,
 Skarbu nie wydra mu z łona,
 Przyszłego srogim grotem;
 Lub póki, jak ten dąb stary,
 Na którego piorun strzelił,
 Sam płonąc, wrzącemi żary
 Puszczą blaskiem nie obdzielił.

.....

S. STARZYŃSKI.

WSPOMNIENIE.

WIĘRSZ NAPISANY W IMIENNIKU.

Gdy zegar życia bić zacznie,
W grającej wiosny godzinie,
Mile, prędko i nieznacznie,
Strumień dni szczęśliwych płynie.
A gdy się ranku żałuje,
Już południe odlatuje.
Już wieczór... już nocne cienie,
Cóż w tej bystrzej życia dobie
Człowiek zostawia po sobie?
Co go przyjdzie szukać w grobie?

Wspomnienie, tylko wspomnienie!

Te, którym niebo żałobne,
Na złość w krótkiej błysnie dobie,
Dwa serca sobie podobne,
Lecz przeznaczone nie sobie.
Znając się już, choć nieznane,
Gdy się łączą niespodzianie;
By opłakać to złączenie,
Cóż rozdwojone pociesza?
Co ich męczarnie zawiesza,
Krople szczęścia do łez miesza?

Wspomnienie, tylko wspomnienie!

Na nieznajomy manowiec,
Pędzony losy srogiemi,
Kij pielgrzymi wziął wędrowiec,
I idzie błądzić po ziemi.

U progu rodzinnej chatki,
Łzy rodziny, ojca, matki,
Przeklinają rozłączenie.
Już daleki... już zniknięty.
Jakiż anioł utajony,
Przenosi go w łube strony?

Wspomnienie, tylko wspomnienie!

Szczęście, rokosz i zgryzoty,
Co pocieszy, co poruszy,
Miłość kraju, miłość cnoty,
Miłość drugiej swojej duszy,
Dowcip boski, mądrość śmiała,
Drogie skarby, droższa chwała,
Więźnia, królów przeznaczenie,
Rycerzów wędrowka krwawa,
Cichych ludzi cicha sława.
Cóż po tym wszystkim zostawa?

Wspomnienie, tylko wspomnienie!

I ten, co tu zabłąkany,
Mile przyjęty w twe progi,
Wznawia związek ledwie znany,
I tak daleki, jak drogi,
Odbiegając w inne strony,
Dobrocią twą ośmielony,
Jakiż ma inne życzenie?
Jego nadzieją nieśmiałą,
Jego szczęściem, jego chwałą,
Aby tu po nim zostało

Wspomnienie, tylko wspomnienie!

KAROL SIENKIEWICZ.

18**

WYJĄTEK Z POEMATU WE CZTERECH PIEŚNIACH
pod tytułem:

ROLNICTWO.

ACH i ta noc, w pamięci mej nie zginie,
W której obraz nieszczęściom widział w Karolinie.
Czytaj tę powieść, jeśli potrafisz spokojny,
Młodociany Rycerzu, który pragniesz wojny.

W noc późną, przez las gęsty, powracałem z drogi,
Gdzie mnie czekała żona i domowe bogi.
Już głębokie świat cały objęło uśpienie,
Księżyc tylko złociste w okrag siał promienie,
Które w Duiestrowej wodzie światło podwajały,
Lub o siwe się jego odbijały skały.

Wtém postrzegam niewiastę w ponuręj nstroni,
Włos miała zaniedbały na swęj śnieżnej skroni.
Białą jej suknią wstęga czarna przepasała,
Twarzą ku księżycowi obróconą stała.
To znowu uklękawszy przed nim na murawie,
Ręce swe białe wzniosła w najtkliwszej postawie,
A oczy jej błękitne w blask jego wlepione,
Jak dwie przykute gwiazdy były niewzruszone.

Niekiedy tylko smutne słyszałem westchnienie,
Które przez swoje ciche liś powtarzał drżenie;
Bo zefir ledwie go śmiały zlekka skrzydłem trącić,
Bojąc się swym szelestem jej pokój zamącić.

Ciekawością i żalem naprzemian miotany,
Przybliżyłem się do niej, ona obłąkana
Wzrok we mnie z pod powieki wlepwszy nabrzmiałej,
Postać smutną. Nioby miała skamieniałej.

Ktokolwiek jesteś, rzekłem, jakże o tej porze,
Sama jedna w tak dzikim znajdujesz się borze,
Jeśli żądasz pomocy: nie, oziębłe rzekła,
Jam tu do mego brata i męża uciekła,
Którzy wkrótce tu do mnie w tę odludną puszcza,
Na tym światłym księżycu promieniu się spuszcza.

Nagle kolor rumiany skraśli jej jagody,
Cała się zapaliła: jak kiedy w pogody
Jesienne, słońce skwary piekąc gorącemi
Rumieni piękne jabłka farby szkarłatnemi.
Najburzliwsze wzruszenie ogarnęło całą,
Czoło się bydl rozpaczą zaszepione zdało.
Lecz na niem, wśród najgorszej wszystkich zmyśłów zwady,
Znać było przymilenia i dobroci ślady.

O kilka potém kroków ku drzewu cofniona,
Głowę na nie skłoniwszy, stała zamyślona,
Póki jej łzy, które już w słuzach oczu stały,
Uciskającej serce tamy nie przerwały.

Cichym więc i już nieco spokojniejszym głosem
Zaczęła do mnie mówić: ty co nad mym losem
Zdajesz się okazywać litość, i zdziwienie,
Słuchaj okropnych nieszczęść, które przeznaczenie
Wywarło na mą głowę w całej zemsty sile,
Rospaczą trując wszystkie życia mego chwile.

Ledwie pierwsze dzieciństwa zaczęliśmy lata,
Kiedy mnie i starszego rokiem tylko brata
Rodzice zostawili na świata przestrzeni,
W nieśmiertelność oboje nagłe uniesieni;
Jak gdy myśliwiec w potrzask ptaszęta połowi,
Które szukały żyrn swojemu płodowi,

Zostałe pisklą, które kryje chata mchowa,
Opatrzność tylko sama żywi i wychowa.

Płynęły nam dni młode w słodkim obcowaniu,
Z niewinnością i cnotą, a w dalszym wzrastaniu
Przywiązanie i miłość złączyliśmy z niemi;
One były naszymi bogami na ziemi.
Odumartłych rodziców pomierny majątek,
Co go nie podstęp, ani podły zbierał wziętek;
Wystarczał pracóm, które tém nam słodsze były,
Ze nam ni chuć, ni zbytek, serca nie skaziły...
Nigdy mu płoche żądze, ni obce przykłady,
Sidła kobiet, i młodych rozpustników rady;
Podadź z obłąkanej czary nie śmiały trucizny...

Nie zerwał się nasz związek społeczeństwa luby,
Chociaż w małżeńskie weszłam z Władysławem śluby:
Bo przyjeźń ich zaczęta w młodociane lata,
Zamieniła nazwisko przyjaciela w brata.
A kiedy mnie Hippolit oddawał mężowi,
Wylewając łzy słodkie, rzekł mu temi słowy:
O bracie! bierz majątek cały za jej wiano,
Tylko nas nie rozłączaj z siostrą ukochaną.
Lecz niedługo na pasmo szczęścia, przędzy stało,
Parki jej uć przecięły: tak się podobą.
Temu okrutnikowi! wtém wzrok swój zmieniony
Prowadząc obłądliwie w okoliczne strony,
Drżała czegoś się bojąc: to znów ośmielona,
Błąźnierzce Bogu z wzdargą dawała imiona.

Poszedł jej głos wraz z parą powietrzną w niebiosy,
Lecz Anioł, co ustawnie waży ludzkie losy,

Notując w księgę, słowa, myśli, i wzruszenia,
Położył je na karcie złotej odpuszczenia;
A wzruszon jej nędznego serca uciskami,
Zapisując je, swemi zamazywał łzami.

Jak majtki, na wzburzonym wichry oceanie,
Gdy w piętra się puą w niebo bałwan: na bałwanie,
Pryskając z swych gardzieli szumowin pienisty,
Tłuką okręt, i na wir pędzą go laczysty,
Rozjuszeni rozpaczą nieuchronnej zguby,
Klną Boga, wprzód tysiączne czyniwszy Mu śluby.
Lecz gdy Eol swą wściekłość zajądł ukoł,
I morze, i ich serce razem się spokoł:
Tak w Karolinie, burza gdy uciechła sroga,
Łzami żalu przepraszać zdawała się Boga,
I oblana rumieńcem wstydić się swęj skargi;
A przyłożywszy palec na różowe wargi,
Cicho mówmy, wyrzekła: może w tej pustyni
Jaki anioł szpiegując ludzi, straż swą czyni.
To, gdyby doniósł w górze, żem tu jest ukryta,
Nie puściliby do mnie mego Hippolita.

Ja pragnąc ją pocieszyć, rzekłem Karolinie:
Nigdy z rąk tego pana płaczący nie zginie.
Bo któż sił swych ogromnych nad nędznym próbuje?

To rozumiesz, mi rzekła: że się On zlituje?
On! co Go ni płacz mego dziecka nie zwycięża,
Miałby mi tu odesłać i brata i męża?
Ach! jakem się już dawno z nimi rozłączyła!...

Potém, jakby się nagle ze snu obudziła,
Tak swą kończyła powieść. Ledwie w nowym stanie
Rok minął, który wspólne zaczęło kochanie,

A zwiększyła je miłość macierzyńska tkliwa,
Kiedy po całym kraju odgłos się odzywa...

Lecz kiedy moment bitwy fatalny nadchodził,
Każdy strzał armat, prosto w serce moje godził;
Ach! czemuż mnie nie trafił, jakbym chętnie była,
Życiem mojem całą krew ziomków odkupiła,
Co jej tyle wylało! Patrz ze mną w tę stronę,
Widzisz jeszcze na wschodzie obłoki czerwone...
Skoczył między pierwszymi ku krwawej potrzebie
Hippolit, Władysława mając obok siebie;
Gdzie się ruszył, i w którą skęcił koniem stronę,
Wszędy otwór czyniły hufce przestraszone,
Nientękniony nigdy niebezpieczeństw likiem,
Wpadł na wodza, żołnierzy okrytego szykiem,
A przedarłszy się w środek zastępu groźnego,
Stał, z wstrząśnięciem się ziemi, konia z koniem jego.

Jak dwa lwy o zdławioną sarnę pokłuczone,
Rzucają się na siebie srogo rozsierdzone,
Ryk wprzód, nim się schwyca, straszliwy powstanie,
Taka ich była walka, i takie spotkanie.
Odskoczywszy od reszty żołnierzy na stronę,
Już krwią konie, ubiory i bronie zbroczone,
Już przytępione miecze głuchy szcęk dawały,
Skrami więcej nie sypią; gdy Hippolit śmiały,
Raz mu ciężki z oburącz zadał w pośród głowy,
A spadłego koń swemi zratował podkowy.

Już nasi jak lecące bystre z Tatrów śniegi,
Dwukroć złamali zbrojne pierwsze ich szeregi.
Lecz tak przewlekłą bitwą i mordem zużuci,
Kiedy się bydlę postrzegli w koło otoczeni,

Mnóstwu uleż musieli, i groźnemu niebu,
Zostawując pobitych braci bez pogrzebu.

Domawiając te słowa, wstrzymała się razem,
Bo serce przypomnienia wzruszone obrazem,
Tłuc się w piersiach zaczęło, a pot zimny z łzami,
Z twarzy spadał na piersi dużemi kroplami.

Uspokój się, rzekłem jej, Karolino droga!
Zdrój pocieszenia ludzi otwarty u Boca,
Jeszcze ty z niego będziesz czerpała obficie.

Nie chcę pociech, mi rzekła, w jednym Hippolicie
Wszystko miałam, i szczęścia nie pragnę bez niego,
On całą historią składał życia mego.

Czemuż go utraciłam! czemuż srogim losem
Nie mógł się nigdzie schronić przed tyraną ciosem!...

Wszak widziałam w przysionku kościoła klęczącą,
Jego mściwość i gniewy łzami mięczyły chcącą,
Jako anioł niszczyciel, głuchy na me prośby,
Obrócony ku naszemu, błyskał mieczem groźby:
Wtedy harmem rodacy, w mięszaniu i trwodze
Biegli w zawód, a ranni padali po drodze.

Miedzy tymi, o piekło! nie szczędź gniewu twego,
Napadłam Hippolita zmysł już tracącego;

Te tylko do mnie wyrzekł słowa raz ostatni:
„Siostró luba! Władysław uprzedził zgon bratni.“

Padłam na jego martwe już ciało, zemdląca,
Jego duszę ożywić moją duszą chciała:
I wysłuchał Bóg moje żądanie tej nocy.
Wtém cicho rzekła: nie wierz, nie Jego pomocy
Winnam moje nadzieje, umiem takie czary,
Które ludzi z znikomąj mogą stworzyć pary;

Zobaczysz ty sam wkrótce, gdy ten moment przyjdzie,
 Jak tu i brat mój i mąż na promieniu znijdzie,
 I znowu się złączymy: wtém szeptać zaczęła
 Jakieś słowa, i w bok się trochę odsunęła,
 I ja, gdy kilka kroków odszedłem na stronę,
 Serce mając boleścią i żalem ściśnione,
 Pomyślałem: z takimże to gwałtu igrzyskiem
 Mózg, który bydź mniemają rozumu siedliskiem;
 I serce, które wszystkich passyi sprężyną,
 Atakowane jedną bydź może godziną?
 Ach! cóż za niepojęty Mechanik to działa!
 Ze wszystkie poruszenia i organa ciała
 Podał czołowi i myśli? jakimże to zbiegiem
 Jedna tylko myśl smutna zamiejsza krwi biegiem?
 I jak wzajem krew wnosi owo pomieszczenie
 W rozum ludzki! w najlichszym malując go stanie!
 Co to za płyn nieznany, a niezaprzeczony?
 Który prędzej niż światło bieży w wszystkie strony
 Kanałów życia? i w nich rodzi różny skutek,
 Pamięć, czucie, szaleństwo, radość, albo smutek?
 Zachwycony w tych myślach, postrzegłem zbliżonych
 Dwoje ludzi, bytnością moją zadziwionych,
 Z nich jedno, dziecię małe w ręku piastowało,
 Które się tulić z strachem do jej łona zdało;
 Wtém mnie pytać zaczęli, jeżelim w tej porze
 Nie postrzegł młodej w białym niewiasty ubiorze,
 Wskazałem im ich panią. Lecz kiedy ciekawie
 Pytać się ich zacząłem o całej tej sprawie,
 To mi tylko dodali: widzisz to w niej razem,
 Co tylko nieszczęście człowieka może bydź obrazem;

Na tym smutnym przestworze mieszkalnego świata;
 Oderwana od zwłoków lubego jej brata,
 Całą we łzach, rozpaczy ponuręj i jękach,
 W dom jej, na naszych zaniesć chcieliśmy ją rękach.
 Lecz już domu nie było: gruzu i popioły
 Z niedopałonych tylko budynków na poły,
 Wiesz cała zrabowana, sprzęty uwieszone,
 Te widoki jej oczom były zostawione.
 Noc tę w chłewie, który się został od płomieni
 Przepędziliśmy w głodzie, łzami nakarmieni.
 Wtedy już w tak okropnym opuszczenia stanie
 Dokładniej okazała zmysłów obłąkanie,
 Jeżli go obłąkaniem nazywać się godzi.
 Które w tém jest, że nie śpiąc całą noc przechodzi,
 W nadziei, że zobaczy i brata i męża.
 I gdy ją nasza prośba i płacz nie zwyciężyła,
 Aby cokolwiek mogła bydź uspokojoną,
 Wtenczas jej lubie dziecko niesiemy na łono,
 Z którym się ona pieczęjąc upór swój utracą,
 I do spoczynku chociaż na moment się wraca.
 Tej nocy, nie jeszcześmy, ni ona, nie spali,
 Uciekła nam, jakieśmy w tej tu wiosce stali,
 Przez którą ją do krewnych prowadzimy domu.

Do bliskiego więc za nią wszyscy trzej obłomu
 Poszliśmy, a zastawszy ją na drzewie wsparłą,
 I oczekiwać brata powrotu upartą,
 Zwykły, użyli sposób: ona dziecko wzięła,
 Z którym wracając do wsi cackać się zaczęła,
 Obróciwszy raz jeszcze wzrok na księżyc błądy,
 Który posępny rzucał cień swój na jej ślady.
 Już też i słowik, szarém obudzony dnieniem,
 Gotował się jutrzeńkę pozdrowić swém pieniem,
 I mnie też koń w domowe zwolna zawiódł strony,
 Do czekających dzieci i kochanej żony.

DYEMA BONCZA TOMASZEWSKI.

MIŁOŚĆ MACIERZYŃSKA.

Lecz na cóż starożytne wysłédzać nam dzieje,
Kiedy bliższe przed nami zdarzenie jaśnieje,
Kiedy miłości matki odwaga i siła,
Dzikiego Iwa Florencyi wściekłość rozbroiła.

Ztamtąd, kędy wśród mocnej gromadzą zapory,
Dziki lasów mieszkance i pustyń potwory,
Umknął lew... wszystko pierzcha przed jego spójrzeniem:
W powszechnym zamieszaniu, matka z przerażeniem
Unosi łube dziecię... Nieba!... ciężar drogi
Z rąk jej wypada,... matka jęk wydaje srogi...
Staje,... widzi, jak zdobycz w krwawą paszczę wpadła.
Nieruchoma, bez duszy, stręwiła, wybladła,
I ręce z konającym spójrzeniem wyciąga;
Wtém obumarłe zmysły nauowo powściąga:
Trwoga je zgjęła, rozpacz ożywić je w stanie;
O wyrocznio miłości! szczytne obłąkanie!
Upada na kolana: „Oddaj, oddaj syna!”
Na ten krzyk lew zażarty wzruszać się zaczyna,
Wzrok podnosi i staje — już litość przemaga;
Zdaje się, iż zgaduje, że go matka błaga;
Oko jego spokojnem rozrzewnieniem płonie:
A składając najdroższe dobro na jej łonie,
Rozważa tklíwie usnińcie niewinnej dziecińcy,
I spokojnie powraca do lasów gęstwiny.

Tkliwe matki! dozwólcie, obok tych powieści,
Nowy wzór macierzystej skreślić wam boleści;
Może on pieśni moich uroku dokona.
Roskosz najlepszej matki, córka ulubiona,
Tkliwego ojca miłość zarówno zjednała,
Za dzień jeden, dziewiątą wiosnę kończyć miała.
Już i przysposobienia czynić rozpoczęto,
By rodzinna biesiadą miłe uczyć święto;
Już nawet... lecz wtém z lica nadobnej Anieli,
Nikną róże... igraszek dziecińczych nie dzieli,

Stopniowe osłabienie dręczy ją tajemnie;
Miłczy, — troskliwa matka bada nadaremnie.
Wkrótce się objawiają znamiona złowieszcze,
I trawiąca gorączka, i trzęsące dreszcze,
Wszystko grożącą życiu słabość zapowiada:
Niedostateczną sztuką, bezskuteczna rada.
A uczeń Eskulapa, usiadłszy na łożu,
Długo się po wątpliwym błakając bezdrożu,
Tę klęskę obcych krajów poznał naostatek,
Niedawno sprowadzoną na nieszczęście matek.
Zadrżał... nie pomyślał o tém, że spójrzenie chciwe,
Z czoła jego wysłédza wyrocznie straszliwe.
Niestety smutna Julia nadto go pojęła;
Odtąd niezwyczęzona trwoga ją przejęła,
Odtąd wróżyła sobie, rozpacz, zgon, żałobę.
Na domiar jej boleści — raz przez całą dobę,
Niespokojna jej córką gorączka miotła,
Częstokroć obłąkanym głosem powtarzała:
„Opuciła mnie matka, — czyż jej nie zobaczę?”
— Matka jej odpowiada: „Jestem tu“ i płacze.
Znowu dziecię żałośnie poruszając głową:
„Nie mam nie wspominać, czy uczta gotowa?”
„Może się i ja z wami będę mogła bawić?”
„Chyba?... miłczy... Tak serce nieprzestając krwawić,
I coraz więcej ranę rozdrażniając srogą,
Przepełniała ją smutkiem, rozpaczą i trwogą.
Czuwała przecie nad nią matka nieustannie;
Raz w nocy na jej tchnienie zważając starannie,
Usłyszała z boleścią wśród ciemności cienia,
I przerywane słowa, i ciężkie westchnienia,
Te jęki, te westchnienia, wzięła przerażona,
Za straszne okropnego konania znamiona.
„Żegnaj, żegnaj nazawsze“... tklíwe pożegnanie,
Ledwie drżącym Adela głosem wyrzec w stanie...
Zdało jej się, że kona... Matka wpół umarła,
Z piersi rozpaczą zgjętych dziki głos wywarła...

Na jej krzyk wszyscy biegną: choć go żal pożera,
 Mąż ją z miejse tych okropnych z trudnością wydiera.
 Sam przecie oniemiały chciał jeszcze pozostać,
 By scisnąć martwe lice i wybladłą postać,
 Drżąc zbliża się... O cudzie! chwilo omamienia!
 Adela z śmiertelnego budzi się uśpienia.
 Natura, w pomoc sztuce przybawając skrycie,
 Szczęśliwem przesileniem wróciła jej życie.
 „Pójdź, wracaj matko, żyje dziecię drogie!“
 Ona milczy... Strętwienie, obłąkanie srogie,
 Wstępu do zgjętej duszy pocieszenia broni;
 To się smętnie uśmiecha, to znów ży roni:
 Jej nawet obłąkanie rozsądnem się zdaje;
 „Żyje córka“ mąż woła „Bóg nam ją oddaje!“,
 „Litościwego Boga czułym chwalmy dziękciem.“
 — „Żegnuj, żegnuj nazawsze!“ odpowiada z jękiem.
 Odtąd ku Cmentarzowi często kroki zmierza,
 Tam, pod wierzbą płaczącą, oczy jej uderza
 Mogiła, którą święto obcy wystawili:
 „Ona tam! tam jest“ woła; i już od tej chwili
 Co dzień składa kwieć święty na nieznanym grobie.
 „Twa córka nieobecna, znów jest przy tobie,“
 Mówi mąż, przykładając ciągłego starania,
 Aby ją z nieszczęsnego wywieść obłąkania:
 „Chcesz, a przedmiot ten luby pójdzie w twe objęcia;“
 — „Nie“ odpowiada Julia“ próżne przedsięwzięcia:
 „Naprawdę mi rozpacz, próżno też mi bronią,
 „Córka moja nie wróci, sama pójdę po nią.“
 — „Dozwól ją choć na chwilę okazać przed tobą,
 — „Czy chcecie ludzić serce przejęte żałobą!
 „Niech wreszcie i tak będzie — sprowadzić możecie,
 „Tyle wam wszystkim lube, obce dla mnie dziecię.“
 Adela biegnie w ojca objęcia wesoło:
 „To ja jestem, ja sama, rozjaśnij twe czoło;
 „Czyli mnie nie poznajesz, czy nie kochasz weale?“
 Lecz napróżno wynurza wdzięcznym głosem żale;

Matka na nią w strętwiąłém spogląda milczeniu:
 „Tak jest, przynaję... prawda... jestem w omamieniu,
 „Kochanego przedmiotu łudzając pamiętki,
 „Widzę w żywym obrazie obumarłej szczątki.
 „Wybór twój bardzo trafny — nieznajomą młoda,
 „Wszystkich się pewnie oczy — lecz nie matki zwiodą.
 „Oddalcie ją, oddalcie... tym okrutnym darem,
 „Męczarnia większym dla mnie staje się ciężarem.
 „Zostaw mnie dziecię... wzbudzasz rozpacz podniety,
 „Zostaw; wróć do twój matki.“ — „Miałam ją niestety!“
 — „Czy nie żyje?“ — „Nie dla mnie; bo jęczy i wzdycha,
 „Nie zna mnie, od swojego łona mnie odpycha!“
 „Pójdź córko,“ mąż zawoła, „ojciec ci zostaje,
 „Pójdź ze mną.“ To wyrzekłszy, gniew srogi udaje,
 — „Zostań, zostań! zawoła Julia przeraźliwie:
 „Dozwól niech ją uściskę... Spogląda tak tkliwie!
 „Słyszec ją, patrzeć na nią, już się przyzwyczajam.“
 — „Nie, nie: przez to twą rozpacz, twe męki podwajam:
 „Chodźmy.“ — „Bądź zdrowa!.. ach cierpię za wiele,
 „Tracąc cię, dwakroć moje utracam Adela.
 „Czemuż tak chciałam? Mąż mój, wierząc memu słowni,
 „Karze to martwe serce, kiedy czuje znów.
 „Bądź zdrowa“ — Dziecię łzami boleści zroszone,
 Powtarza słowa w strasnej chwili wyrzeczone:
 „Żegnaj, żegnaj nazawsze.“ — Na ten odgłos tkliwy,
 Julia nagle wykrzykuje: „Boże sprawiedliwy!
 „To ona, tak, to ona... nie zwodzą mnie oczy...
 „Toż samo pożegnanie... ten sam dźwięk nroczy!...
 „Ciebie najdroższa córko, ach! ciebie to sciskam...
 „Luby mężu, czy twoje przebaczenie zyskam?
 „Gdy córkę od tkliwego odpychałam łona,
 „Jakże boleśnie była twa dusza dręczona!
 „Niestety! mając rozpacz i jęki w podzieleni,
 „Serce ją odpychało, kochając za wiele.“
 To mówi, łyzy radośne tkliwe ronią oczy,
 A uścisk trzy szczęśliwe istoty jednoczy.

Odtąd, z tklwym uśmiechem, luba matka wszędzie,
O macierzystym swoim wspomina obłędzie;
A gdy wieczór już szarym okrywa się mrokiem,
Często z córką na cmentarz wolnym idzie krokiem.
I tam przedmiot okropnych i tklwych omamień,
Grobowy, obcej córki, kwieciami wieńczy kamień.

z MILLEVOYE,
przekład JANA ZAWADZKIEGO.

WYJĄTEK Z POEMATU

Z ALETY KOBIET.

..... Od pierwszego tchnienia,
Doznajęm płci tej siebie dla nas poświęcenia.
Widzimy, jak w cierpieniach dziewięcio-miesięcznych,
Nosi owoce związków częstokroć niewdzięcznych:
I płód ten, wpośród jęków, które ból wyrwa,
Składa na progu życia, ledwo sama żywa.
Starania o niem, całym dotąd jej zajęciem:
Bez nich, ledwie urodzon, zginałbym dziecięciem.
Co za czuła troskliwość! czy się ma do spania,
Ona budzić mogące owady ogania:
Zda się wstrzymywać oddech, co się z niej dobywa;
Noc nawet jej troskliwych starań nie przerywa.
W cichości głuchych cieni ucho ma na straży:
A jeśli snu konieczna potrzeba przeważy,
Najdalszy dla niej szelest, zda się dla niej bliski,
Zrywa się i skwapliwie bieży do kołyski,
Wlepia oczy, choć widzi, że uśpiony synek,
I cała drżąc jeszcze wraca na spoczynek.
Czy się znówu przebudzi? — wnet posiłek zdrowy
Z czerstwej i pełnej piersi płynie mu gotowy.
Nic zgoła matczynemu sercu nie kosztuje,
W nim żyje, i w nim tylko słodycz życia czuje.

Tém chlubna, że ją czułość męża rozrzewniona,
Widzi piękniejszą z synkiem wiszącym u łona.
Tak to w jej samej oczach, skarb ten drogi matki,
Za ważne do piękności liczy się przydatki:
Cóż, gdy okropna owa nadejdzie choroba,
Co władzę swą na światy rozciągnęła oba,
Tysiąc ofiar zniszczyła, o reszcie pamiętna,
Niestarte życiem całym zostawiła piętna,
Od srogich jej wyziewów ucieka kto może;
Lecz nie odrzęcza matki zaraźliwe łożo.
Dni i nocy pilnuje schorzałego syna,
Wtém szczy się trucizna i wzrok psuć zaczyna:
Odwracając ślepotę niechybną w tym razie,
Trzeba śmiatkami usta odjąć jad zarazie.
Cóż trudne matce? Sama gwałtem się wyrwa,
Wdzięki, mąż, miłość życia — nic ją nie wstrzymywa;
Wstrętą powłokę wargą uporeczywą tłoczy,
Która przed dnia jasnością zasłoniła oczy.
Tak stopniami odkrytą została żrzenica,
I powtórnie z jej łaski światło mu przyświeca.
Któryż ojciec podobnie kocha kiedy syna?
W miarę potrzeb troskliwość zwiększa się matczyzna.
Dziecię coraz to dalej postępuje w życiu.
A tak ów młody orlik, co w skrzydła użyciu,
Kierowany natchnieniem opatrnej Natury,
Wzłata przy gnieździe, niż się wzbija ponad chmury;
Wsparte na słabych rączkach, co się jeszcze chwieja,
To tej, to owej nóżki doświadcza koleją.
Tuż przy nim dobra matka: jej pomocne ramie,
Wielkiego tego dziecka pierwszą trudność łamie:
Ośmiela go powoli o swój mocy chłodzić.
A jak sama karmiła, tak sama chce wodzić.
Wnet i nauczycielką bytć mu się nie leni,
Z nim po sto razy słowo mówione szepleni:
Słowo to *papa* pierwsze z ust jego wymusza,
Tém rzewni ojca, tém się i sama porusza.

Gdy zacznie czytać, głoskę skazuje użycie;
 Dzieckiem się staje, żeby nauczyła dziecię.
 Inszych mu przybrać mistrzów przychodzi już pora;
 Dręczy ją ich surowość do karania skora.
 Pierwsze te trosków życia dalszego zadatki,
 Na czyjś składa łonie, jeżeli nie matki.
 Ona go cieszy w smutku, ratuje w kłopotcie,
 Ważnym pewnie dla niego, choć drobnym w istocie:
 Wreszcie daje mu fraszkę i tём rozwesela;
 W dzieciach radość od smutku jedno nic przedziela.

z *LEGOUFFE*,

przekład *JÓZEF A KOSSAKOWSKIEGO*.

K U K U Ł K A.

Dąbnową szła matka
 i niosła gdzie chatka
 wesoła,

chrztem świętym obmyte
 dzieciątko spowite
 z kościoła.

„Spój aniołku moje dziecię,
 moje szczęście, moje życie!“
 Spoczęła w dolinie
 dadź piersi dziecinie
 dziś wcześniej.

I strugi mruczały,
 i ptaszki śpiewały
 swe pieśni.

A najgłośniejszym miłym śpiewem
 woła, kuka nad śwem drzewem
 *kukulka.

„Ty kiedyś małeńki
 tak zaczniesz piosenki
 twój matce;

I będziesz tak kukać,
 ja będę cię szukać
 po chatce.

Znajdę, a ty znów się chować,
 ja aniołku znów całować
 tak będę.“

I poszła do sioła,
 odnosząc z kościoła
 chłopaczka.

Kukulka kukała,
 matka płakała
 biedaczka....

Aż po roczku śliczne, zdrowe
 biegło dziecię przez dąbrowę
 jej synek.

S. W.

DO MŁODEGO CHŁOPCZYKA.

Póki majem kwitnie czoło,
 Póki nie čmi żadna chmurka,
 Rączę chwile złóżcie piórka:
 Luby malcze skacz wesoło.

Tu kwiat róży, tu bławatku,
 Oba w całej wdzięków chlubie;
 Wiatr zawieje i oskubie,
 Liść po listku, kwiat po kwiatku.

Urok życia przejdzie z wiekiem,
 Czuła matka nie popieści
 W ciągłych troskach i boleści.
 Ach! uczujesz, żeś człowiekiem.

Gdy cię trwoga ze snu zbudzi,
 Chciwość draśnie, pycha trąci,
 Złość najczulsze cele zmaci,
 Ach! uczujesz, żeś wóród ludzi!

Teraz klaskaj w rączki obie,
Teraz wesół szród pustoty,
Póki świeci promień złoty,
Igraj, igray, igray sobie.

L.

K O B I É T A.

Trzy razy żyjąc na świecie,
Świat cały tulisz do łona,
Przy piersiach matki jak dziecię,
Szczęśliwa nie wiesz o świecie;
Kochanka tuląc do łona,
Jak w świecie w nim zatopiona,
Zapomnisz wcale o świecie;
A tuląc własne twoje dziecię,
Świat cały tulisz do łona.

K. BRODZINSKI.

WYJĄTEK Z POEMATU

K O B I É T Y.

DRZĄŻ Kapitol, gdy Niebiosa wola sprawiedliwa;
Losy Rzymu złożyła w ręce Rzymianina;
Od ojczyzny wysłała Weturja przybywa,
O kraju ocalenie dopraszać się syna.

— Rzymianie mnie wygnali; — zrodziłeś się w Rzymie,
Jest on niewdzięczny; chcesz-że dla tego bydź zdrajcą?

Chcesz-że zgubić ojczyznę i splamić twoje imię?

— Zemsty chcę, niech świat cały zwie mnie winowajcą.

— Co? zemsty chcesz nad krajem! — Mój kraj jest wygnanie,
Jestem nędznym tułaczem, Włochy tego świadki,

Obcym teraz jest dla mnie i Rzym i Rzymianie,
Już ja nie mam ojczyzny. — Nie masz więc i matki?

Daj ten oręż. — Co czynisz? — Chcę dni moje skrócić.
— Stój! zatrzymaj się matko! — Zostań Rzymianinem,
Mogę jak matka zdrajcy do Rzymu powrócić?
— Wróć matko, zwyciężyłaś, jestem twoim synem!

BRUNON HR. KICINSKI.

USTĘP DO KOBIET.

O ROSKOSZE serc naszych, naszych serc boleści!
Jak ja wasze powaby, jak cnoty policzę?
Człowiek wam winien życie i życia słodycze.
Czepia się wam przy piersiach, przy ustach się wiesza,
Pieści się z wami w szczęściu, w nieszczęściu pociesza;
Cóż dodam? dla was w dary Natura bogata,
Nadała waszym wdzięków dwie roskosze świata,
Dwie, ukliwości i cnoty święte wychowanki,
Dwa cuda: duszę matki — i duszę kochanki.

KAROL SIENKIEWICZ.

NA POWĄŻKACH.

PRZY GROBIE ŻONY.

Jakież życie otacza ciche śmierci pole!
Kilka kroków przedziela płocność i niedolę.
Ja nad drogim mi grobem łzy rozpaczę ronię,
Tam kwitnie wszystko w szczęściu i radością płonie.
Ach! ileż tam obrazów próżności przelata
Z całym dymem i wrzawą nawałnicy świata?
Grzmią rydwany stołeczne wzdłuż murów cmentarza,
Nie wstrzyma ich płacz sierot, ni prośby nędzarza;
Jak gdyby nie mijali umartych dziedziny,
I nie tu spoczywały ich ojce i syny.
O żono! droga żono, matko moich dzieci!
Może mnie tam nie jeden błąd w twych oczach szpeci?

Możem nie dość twym cnotóm winnej składać cześci,
 Niedosć kwiatów pociechy wplatał w cierni boleści?
 Tej jednej przecież krzywdy nie wyrządę tobie,
 Bym ły żalu na twoim nie zostawiał grobie.
 Niechaj inni od przykrych im pamiątek stronią:
 I, by uciec wspomnieniom, za nadzieją gonią;
 Dla mnie całą rokoszą opłakiwać ciebie,
 Tu cię szukać mym żalem, a nadzieją w Niebie.

F. MÓRAWSKI.

S A M O T N O Ś Ć.

Kto myślą niespokojną wiecznie do gwiazd lata,
 A sercem oderwany od ludzi i świata,
 Uciekłszy na pustynie albo skał urwiska,
 Pogląda jak z ich szczytu strumień w dół się ciska;
 Lub gdy go wyobrażenia ku niebu wybiła,
 Za szybkim orla lotem chciwy wzrok posyła:
 Taki nie jest samotnym — on mową milczenia
 Toczy szczytne rozmowy z duchem przyrodzenia!
 Lecz ten, kto otoczony towarzystwem ludzi,
 Ich obłudą pogardza, pochlebstwem się nudzi,
 I z własnymi myślami wieczne tocząc boje,
 Nie ma serca, przed którym mógłby wylać swoje,
 Nie ma istot któreby z rajskim niośieniem
 Mógł nazwać przyjaciela, kochanki imieniem:
 Ten prawdziwie samotny; śród świata, a przecie
 Wszystko, wszystko dla niego umarło na świecie.

K. GĄSZYŃSKI.

D W A S Ł O W A.

WE WSZYSTKICH mowach i w języku duszy,
 Nad wszystkie — są dwa słowa.
 Jak w kroplach rosy po suszy
 W nich skarb żywota się chowa,

Jak dwie perełki w oceanie życia,
 Jak dwie gwiazdki na Niebie,
 Świecą nam od powicia
 Dwa słowa — — *Kocham ciebie!*

Bóg, kiedy stworzył człowieka
 Na ziemi, żeby uwiecznić go w Niebie,
 Zabłysła nieśmiertelna ponad nim powieka,
 Spójrzał i rzekł: *Kocham ciebie!*

Odtąd szczęśliwy na ziemi,
 Szczęśliwy tak jak w Niebie,
 Kto wyrzekł usta swemi:
 — *Kocham ciebie!*

Szczęśliwy tysiąc razy,
 Kto mówione do siebie
 Mógł usłyszeć wyrazy:
 — *Kocham ciebie!*

Najszczęśliwszy, kto mówił, słuchoł i powtarzał;
 Dźwięk ten na jego duszy pamiatkę wycisnie,
 Będzie mu przypomnieniem boleści umarzał,
 I w chwili zgonu Nieba jutrzeńka zabłyśnie.

Szczęśliwy, kto od matki słysoł: *kocham ciebie!*
 Szczęśliwy, kogo ojciec błogosławił siwy;
 Komu *kocham*, powiedział przyjaciel w potrzebie.
 Kto słysoł z ust kochanki — nad wszystkich szczęśliwy!

Szczęśliwy! — Gdy świat stanął murem między niemi,
 Oni świat łamiąc lecieli do siebie,
 Albo żyć razem, lub nie żyć na ziemi!
 I skonać słysoząc, mówiąc: *kocham ciebie!*

Ty, coś w twém życiu ły tylko wyciskał,
 Komu nikt, nigdy *kocham* nie powiedział:
 Nędzny! chociażbyś ziemię, niebo zyskał,
 Jeszcze o cieniu szczęścia byś nie wiedział!

III.

Bo nie ma na ziemi i w Niebie,
Ludzka i Aniołów mowa,
Dwóch słów, nad te dwa słowa:

— Kocham ciebie!

JÓZEF KRASZEWSKI.

ŚWIĄTYNIA SZCZĘŚCIA.

Równie jak wszystkie bogi i boginie,
Szczęście ma swoje świątynię.
Lecz się od innych różni jej budowa:
Wysokim szczytem nie sięga obłoków,
Okropnych świata nie głosi wyroków;
W cielu nstronu się chowa.
Zaledwie ludzie wieść o niej powzięli:
Przez przepaści nieprzystępne,
Przez góry, skały i lasy posępne,
Hurmem się do niej cisnęli.
Potężny mocarz wśród żądz niespokojnych,
Co się krwią ludów okolicznych zmaszał,
Przybył najpierwszy z milijonem zbrojnych;
Szturmem ją zdobył rozkazał.
Ale straszliwe mocarza oręże,
Jakaś nieznana moc nagle odpięła:
Poznał, że nigdy szczęścia nie dosięże,
Ten, co je innym wdziera.
Zgłębi swych gmachów, z niezmierzonym pośpiechem,
Dąży tuż za nim Krezus znamienity;
I zdala swoje wywodząc zaszczyty,
Zbliży się do niej z uśmiechem;
Chce złotym kluczem otworzyć świątynię,
Weiska go — kręci — coraz silniej wtłacza:
Gdy wtem, na twardej pekajacej sprężynie,
Kruszy się w rękę bogacza.
Taż samą drogą i w też samą stronę,
Gdzie już tyle śladów było,
Sercem i młodą ufnością wiedzione,
Dwoje kochanków dążyło.
O! jakże pewni swego szczęścia byli!
Lecz któż się łatwiej w swych nadziejach zdradzi?
I kiedyż miłość do szczęścia prowadzi?
Już na pół drogi zbłądzili...

Gdzie spojrzą — same zawady!
Groźne skały i urwiska,
Wśród przepaści droga śliska,
I zbłąkanych ofiar ślady;
Tyle wreszcie smutnych zdarzeń,
Spotykali po kolei,
Tyle rozproszonych marzeń,
Tyle rozbitych nadziei:
Iż z ciężką serca żalobą
Wiócili, płacząc nad sobą.
Długo, i długo te pielgrzymki trwały,
Zawsze ktoś nowy przybywał;
To się filozof, to próżniak zuchwał,
Do drzwi świątyni dobywał.
Z starym się wiekiem prześcigał wiek młody,
Dzieci, co ledwie umieć się spodziewać,
A nawet wieszczę, co swojemi Ody
Chciały się szczęścia dośpięwać.
Lecz wszystkich jedna trzymała zawada,
Żadne jej siły nie zmogły,
Ni ły, ni prośby, ni przemoc, ni zdrada,
Świątyni zdobyć już grono,
Aż kiedy całe odeszło już grono,
Zbliżył się człowiek chęci dobroczynnych:
Przybył upraszać o szczęście dla innych,
I poprostu go wpuszczono.

FR. MÓRAWSKI.

PRZY ODDANIU MEDAŁU

KOPCZYŃSKIEMU.

Bogu winien wieszczę zapali,
On jego czucia unosi,
Wielkom mężom część swęj chwały,
Gdy wiernie czyny ich głosi;
Lecz najwięcej winien mówić,
Co czucie innych poruszy,
Gdy w czarownej słów ośnowie
Prowadzi duszę do duszy.
Jako morze, co się wznosi,
Zgarniając rzek miliony,

Obce ludy ludom znosi,
 I łączy świat rozdzielony,
 Jako rodak każdej ziemi,
 Rzek swoich znajdzie w nim wody,
 Tak mowa siły dzielnymi,
 Przez wieki spaja narody.
 Ale jako zdroj po skale
 Małemi płynie wpród scieki,
 Potem dąży okazałe
 Strumienie bratać i rzeki,
 Wnet brzegami dzieli kraje
 I obce niesie im wody,
 Tak granice język daje,
 Cechuje każde narody.
 W tym pobyć śmiertelnika
 Zatruty nie ominie,
 Jako listek człowiek znika,
 Jak człowiek naród zaginie,
 Lecz na gruzach przeszłej chwały,
 Trwa wiecznie kościół pamięci.
 Czas, co wszystko burzy śmiały,
 Jęć w dani wszystko poświęci.
 Płaczą w gruzach dawniej chwały
 Pomniki sztuki i męstwa,
 Gdzież owoców doczekają
 Tysięcznych bitew zwycięstwa?
 W prochu każde dzieło ginie,
 Jak owi, którzy je wzniesli,
 Ale słowo nie przemienie,
 Gdy karta wieków je kręśli.
 Z brzegów starych rzeka wróci,
 Tryumfy przebrzmia po grodach,
 Cnoty ojców syn porzuci,
 Zatonie naród w przygodach;
 Lecz nie uikną takie kraje,
 Gdzie pojąć uczą się syny,
 Że granice język daje,
 A trwałość światło i czyni.

B.

KONIEC SPOSYTU TRZECIEGO.



Stronica.

Oda do fortuny, z Jana Russeau, naśl. A. Naruszewicza	3
Oda namiętności, Adama Naruszewicza	7
Wyjatek z pieśni pierwszej Raju Utraconego, obraz szatana, z Miliona, przekł. Fr. Xaw. Dmóchowskiego	11
Wyjatek z tragedji Mnich, Józefa Korzeniowskiego . . .	14
Bolesław Śmiały, Ballada, Ant. Edw. Odyńca	19
Zródło S. Gandolfa, Legenda, z Kosegartena, Odyńca	27
Obraz pierwiastkowej dzikości rodu ludzkiego, wyjatek z pieśni v. poematu o Przyrodzeniu rzeczy, z Lukrecjusza, przekł. L. Borowskiego	29
Żeglarz powietrzny, Oda, Fr. Móraskiego	31
Żeglarz, M.	34
Łódź rybaczka, Ballada, z Knoxa, przekł. Alex. Chodźki	36
Wyjatek z tragedji Hamlet, z Szekspira, przekł. Fr. Móraskiego	38
Dwa wyjątki z powieści poetyckiej Zamek Kaniowski, z części drugiej, Seweryna Goszczyńskiego . . .	39-47
Obleśnienie Głogowa, śpiew, A. G.	49
Tren Ommii na dolinie Beder, Duma, J. Korzeniowskiego	51
Przeklęstwo na złych Obywateli, pieśń, z Konarskiego, przekł. Ks. Szostowicza	55
Wyjatek z poematu pod tytułem Nocy, z Junga, przekł. Fr. X. Dmóchowskiego	56
Mądrość, Kajetana Węgierskiego	58
Obraz dobrego Kapłana, z Delilla, przekł. Felińskiego	60
Oda na zgon Piusa VII, Ignacego Szydtowskiego . . .	61
Obraz mędrca, Cyprjana Godebskiego	68
Oda na hipokryzję, z Russeau, przekł. Kotinżyńskiego	69
O człowieku, wyjatek z Harmonii świętych, z Lamartina, przekł. St. Rosołowskiego	72
Do Obywatela, Książczona	74
O pochwałach, Krasickiego	76
Oda do Karola Lipińskiego, Fr. Kowalskiego	77
Do Katarzyny z Krasickich Stadnickiej, Krasickiego .	80
Do Izabelli Księżnej Czartoryskiej, Móraskiego . .	81
Do Pani Elżbiety z Książąt Poniatowskich Branickiej w dzień jej Imienin, Obraz enoty, Karpińskiego .	82
Niewinność, Jana Onoski	84
Matka do córki — Do młodej pani, Karpińskiego .	85
Do młodzieży, A. Moszyńskiego	86
Nauki i Sztuki piękne, z Delilla, przekł. Felińskiego	87
Rymotworstwo, z Delilla, przekł. T. Matuszewica . .	88
O Poezji, ze sztuki Rymotwórczej, Fr. Dmóchowskiego	89
Wyjatek z wiersza o sztuce Rymotwórczej, z Horacego, przekł. Mószyńskiego	90

Wiosna, Wespazjana Kochowskiego	91
Wiosna, K. Tymowskiego	93
Opis poranku i wschodu słońca, Fr. Móraskiego	94
Hymn do słońca, Olizarowskiego	95
Ustęp o słońcu i śmierci Cezara, wyjątek z Georgików, z Wergiliusza, przekł. Kotużyńskiego	96
Wschód słońca w lecie i jego dobrodziejstwa dla Na- tury, wyjątek z Pór Roku, z Thompsona, przekł. K. Tymienieckiego	98
Jesień i początki zimy, z Pór Roku, z Saint Lamberta, przekł. Michała Wyszowskiego	102
Śmierć wieśniaka zabłąkanego w górach w porze zi- mowej, ustęp z poematu Trzy Królestwa Natury, z Delilla, przekł. Fr. Sal. Dmóchowskiego	105
Dwa wyjątki z poematu opiewanego Góra, Odyńca	107—109
Śmierć, Ludwika Osińskiego	111
Do Pączka, S. Konopackiego	112
Bańka na wodzie, And. Brodzińskiego	113
Duma nad grobem, Kaz. Brodzińskiego	114
Kolęć życia ludzkiego, Oda, A. Naruszewicza	117
Wyjątek z poematu o Człowieku, z Pope, przekł. z an- gielskiego Lud. Kamińskiego	118
Nie na świecie nie masz stałego, J. Kochanowskiego	122
O uspokojeniu z cnoty, pieśń, F. Karpińskiego	123
Życie w osóbnosci, pieśń, Karpińskiego	125
Sad i Ogród, wyjątek z poematu Wiosna, z Klejsta, przekł. Jana Zawadzkiego	126
Ogród w Krzemieńcu—Pożegnanie Krzemieńca, K. S.	127—131
Wyjątek z poematu Franciszek Książnin, A. Grozy	137
Rocznica, z Millevoye, przekł. J. Zawadzkiego	144
Córka tęskniąca do ojca, pieśń, Karpińskiego	145
Biedna Marynia, F. M.	146
Wasilek Ballada, Alex. Chodźki	148
Jałmużna, Legenda, Ant. Edw. Odyńca	152
Jałmużna, — Nędzarz, Goreckiego	156—157
Zebrać przy drodze, pieśń, Karpińskiego	160
Młody zebrać, Xawerego Godebskiego	161
O nędzach ludzkich, z Pór Roku, z Thompsona, przekł. N.	162
Pielgrzym, Ballada, z Walter Skotta, tłum. Odyńca	164
Oda do JW. K... P. C. W. M. Ch. A., złożona w imieniu osierociłej rodziny, doznającej z rąk tej damy hoj- nego wsparcia, Jana Czarnobaja	165
Matka i dziecię, K. Brodzińskiego	167
Synek i matka, Al. Karłowicza	168
Matka do córki, tłum. z franc. Fr. Sal. Dmóchowskiego	169
Na śmierć córeczki swojej Rózi, Goreckiego	170
Nagrobek dziecięcia, Xawerego Godebskiego	171

Dwie gwiazdki, Leona Rogalskiego	172
Dzieci u matki, Sielanka, Karpińskiego	173
Pochwała lasów i życia pasterskiego, Sielanka, El- żbiety Drużbackiej	177
Wyjątek z Sielanki Zygot Ziemianski i Dworski, Jana Gawinińskiego	180
Kłos, K. Brodzińskiego	182
Część Sielanki pod tytułem Zeńcy, Sz. Szymonowicza	183
Mazurek, K. Brodzińskiego	185
Do Zdrowia, J. Kochanowskiego	187
Śpiew dziewczęcy, wyjątek z poematu Zebrać, Górskiego	188
Do Woltera, Fryderyk II. Król Pruski, przekł. Na- ruszewicza	189
Arya Oetciarza, Wojciecha Bogusławskiego	190
Wyjątek z poematu Przyjaźń, Sz. Konopackiego	191
Do Przyjaciela, Pieśń, Karpińskiego	194
Leszek i Goworek, Leona Borowskiego	195
Dwie gałązki, Książnina	196
Dziecię obłąkane, Ant. Goreckiego	198
Łza żalu, Leona Rogalskiego	199
Tęsknota, Józefa Krzeczowskiego	201
Do Skowronka, A. Muszyńskiego	202
Początek pieśni drugiej poematu Tobiasz wyzwołony, Stan. Książęcia Lubomirskiego Marsz. Wielk. Koron.	203
Kolęć, S. Witwickiego	204
Dumanie do Paulina, Fr. Grzymały	—
Jesień Wieszczą, S. Starzyńskiego	205
Wspomnienie, wiersz napisany w Imionniku, Karola Sienkiewicza	208
Wyjątek z poematu we 4ch pieśniach, pod tytułem Rolnictwo, Dyzym Bończy Tomaszewskiego	210
Wyjątek z poematu Miłość Macierzyńska, z Millevoye, przekł. Jana Zawadzkiego	218
Wyjątek z poematu Zalety Kobiety, z Legouve, przekł. Józefa Kossakowskiego	222
Kukutka, S. W.	224
Do młodego chłopczyka L.	225
Kobieta, K. Brodzińskiego	226
Wyjątek z poematu Kobiety, Brunona Hr. Kichńskiego	227
Ustęp do Kobiety, Karola Sienkiewicza	—
Na Powązkach, przy grobie żony, Fr. Móraskiego	—
Smutność, K. Gaszyskiego	228
Dwa słowa, Józefa Kraszewskiego	—
Świątynia Szczęścia, Fr. Móraskiego	230
Przy oddaniu medalu Kopczyńskiemu, B.	231

Omyłki druku w tym sposzycie.

<i>Str.</i>	<i>wiersz.</i>	<i>jest.</i>	<i>bydź powinno.</i>
81.	10.	Księżna —	Księżno
94.	2.	Leje —	Leci
107.	15.	doli —	doliu
210.	4.	nie zginie —	nie zaginie.

Nota. W poszczególnieniu przy Iszym Sposzycie Autorów, których poezye niniejszy Pieśnio-ksiąg składają, o-
puszczone zostały przez pomyłkę następujące nazwiska:

Aryost.
Dmuszewski A.
Kornel.
Kostewicz Józef.
Molier.
Morsztyn Stanisław.
Opaliński Łukasz.
Pitschman Alexander.
Słowacki Euzebiusz.
Zaborowski Tymon.

12150

